Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 17 (1465) ROK XXIX 26 KWIETNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Meandry reformy
- Dante był niewidomy
- Do czego zmusił mnie Marek M.?
- Taniec w tunelu

Pogotowie na peryferiach

ROMAN KUBIAK

Godzina 20.03. Wyjazd do chorego na serce i do omdlałej. „999" nie milknie.

— *Pogotowie, słucham.*

— *Przyjedźcie! On leży, leży sinv, dusi się, umiera...*

W karetce nie rozmawia się. Nigdy nie wiadomo na pewno do jakiego przypadku wyjeżdża zespół. Wszelkie spekulacje nie mają żadnego sensu. Zamiast *pijaka*, na ulicy leży człowiek z zawałem, potrącony przez samochód, ciężko pobity... Albo odwrotnie. Zamiast konającej staruszki, która słabiutkim głosem błaga o ratunek, wita lekarza rzeska emerytka, której właśnie brakło ulubionych pigułek i syropu od kaszlu. Zamiast mdlejącego, człowiek na granicy życia. Zamiast epileptyka, zwyczajny pijak. Albo odwrotnie...

Więc w karetce nie rozmawia się. Żadnych zbędnych słów, domysłów. Rozczarowań. Trzeba być. Najpierw trzeba tam być, żeby zobaczyć, co i jak. Na własne lekarskie oczy. One nie uznają emocji. Są po to, żeby widzieć jeden odcień prawdy. Zapis w karcie zgłoszenia niewiele znaczy — „ból", „nudności", „krew"... To zaledwie sygnał. Ktoś prosi o pomoc, ktoś alarmuje. Kto? Co można wyczytać z ludzkiego głosu w telefonicznej słuchawce — czy jest spokojny, drżący, czy może bezbarwny lub ostry jak komenda. Ktoś krzyczy, ktoś zawodzi, ktoś nie może wypowiedzieć słowa — ludzkie reakcje, ludzkie temperamenty, emocje. Kim jest ten, który podniósł słuchawkę i wykręcił trzy dziewiątki: przypadkowym przechodniem, nadwrażliwą matką, zrozpaczonym dzieckiem... Bagatelizuje, przesadza — a może...

— *Dzwonię, bo czuję się kiepsko.*

A to zawał.

— *Dzwonię, bo ona traci przytomność. Torsje, ból.*

A to normalna grypa.

6

Foto: Grzegorz Gałasiński

Manewry na szynach

JOLANTA WROŃSKA

Wyciszony, spokojny łoskot wielkiego silnika wypełnia leciutkim drżeniem kabinę „gagarina". Przyćmiona lampka oświetla pulpit sterowniczy. Czekamy na pozwolenie wjazdu. Ciągnięty skład zostawimy na bocznicy toru numer osiem, potem przemanewrujemy się na szóstkę, przyczepimy czternaście wagonów, odwieziemy do rampy przy jedenastym, no a całkiem potem, to poczekamy, aż nam coś wymyślą do roboty. Będzie chwilka czasu, napijemy się herbatki, albo może nawet czegoś lepszego. Skoczy się, tu, niedaleko.

Pomocnik maszynisty, Piotruś, śmieje się bezczelnie i puszcza oko. Wiadomo, że się napijemy. Bez tego nie pojedzie się. Piotruś, lat dwadzieścia osiem, żona, dziecko, mieszkanie w ruderze, właśnie zaczął remont kapitalny i potrzebuje dwóch belek stropowych i z worek cementu, no więc Piotruś nie pije. Wcale. I to jest niestety jego wina. Nie, owszem, koledzy się już przyzwyczaili, w końcu robi tu dziesiąty rok. Zaczynał od robotnika na torach, teraz siedzi w kabinie „gagarina", czyli po ludzku, wielkiej elektrycznej lokomotywy produkcji radzieckiej, za 27 kawałków gołej pensji, no ale ma jeszcze rozmaite dodatki, razem na rękę wyciąga ze trzydzieści pięć. Ale nie zawsze. Różnie jest. Zależy od dnia.

Na początku Piotr miał ciężko. Czasem świnię podłożyli, albo dali najgorszą robotę, na przykład przy rozmrażaniu zwrotnic w dwudziestostopniowy mróz, w nocy, daleko od nastawni. Sam sobie jest winien. Wiadomo. Kto nie pije, ten kapuje. Różnie było. Przedtem to nawet się kryli, teraz już bez krępacji rozlewają, każą się podwieźć do źródełka. Czasem, jak się który zapomni, chce poczęstować. Ale tak w ogóle to nawet szanują Piotrusia. Dyżurny trzeźwy bywa pożyteczny. Można mu na ten przykład zostawić pod opieką manewrowy elektrowóz i kropnąć się na godzinkę spać. Robota jest ciężka, warunki psie, człowiek musi się napić, boby całkiem zdechł. Jak się napijesz — jesteś inny człowiek. A ten inny człowiek też się chce napić.

Maszynista pan Mieczysław przyświadcza. Tak to jest. Jest okazja to się pije, nie ma okazji to się pracuje. A okazja może się pojawić w każdej chwili. Dajmy na to — okocila się

5

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Padre Fernando Cardenal

(Korespondencja z Nikaragui)

1.

Managua.

W poniedziałek, 18 listopada 1985 roku o godzinie dwunastej w południe wysiadłem z samochodu przed nikaraguańskim Ministerstwem Edukacji. Za plecami miałem stołówkę robotniczą. Przede mną, pomiędzy ścianami piętrowych domków, widać było wychłostany słońcem placyk o murach pokrytych hasłami FSLN. Treść owych haseł odbiegała znacznie od konwencji europejskiej: „JANKESIE SKURWYSYNU, TU CIĘ OCZEKUJEMY!" Dzieciaki grały z ferworem w piłkę nożną, przy czym piłką, jak u nas po wojnie, była jakaś zardzewiała puszka; twarze przechodniów wydawały się łagodne.

Po schodach, które biegły na zewnątrz budynku — jednego z kilku, jakie zajmuje Ministerstwo Edukacji — wspiąłem się na pierwsze piętro. Drzwi otworzył mi strażnik w cywilu. Za biurkiem siedział inny strażnik w mundurze. U pasa miał broń.

Podałem mu nazwisko

Sprawdził coś w zeszycie, kiwnął głową i powiedział, żebym czekał.

Spytałem, czy można zapalić. Uśmiechnął się i oświadczył:

— *Można.*

2.

Paliłem więc i czekałem na rozmowę z ojcem Fernando Cardenalem, ministrem edukacji. Byłem przygotowany do spotkania. Przeczytałem w ambasadzie PRL kilkanaście wywiadów, których Padre Fernando udzielił dziennikarzom w różnych okresach swojego życia; zapoznałem się również z głośną książką księdza Teofila Cabestrera *„Ministros de Dios, Ministros del Pueblo"* (Ministrowie Boga Ministrami Ludu), w której poświęcono mu środkowy rozdział.

Fernando Cardenal jest jednym z trzech księży-ministrów w rewolucyjnym rządzie nikaraguańskim. Dwaj pozostali to: Ernesto Cardenal, starszy brat Fernanda, znakomity poeta, prozaik, i eseista, minister kultury, oraz —

Miguel D'Escato, misjonarz, działacz społeczny, minister spraw zagranicznych.

Niegdyś, w 1980 roku, był jeszcze czwarty ksiądz-minister (Dobra Publicznego), ojciec Edgar Parrales, przedtem proboszcz managuański, obecnie po zlikwidowaniu ministerstwa, które przyłączone zostało do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, przedstawiciel rządu sandinistycznego w USA.

3.

Fernando Cardenal, podobnie jak jego brat Ernesto, urodził się w Granadzie (Nikaragua). Było to w roku 1934. Po zdaniu matury w miejscowym kolegium Jezuitów wyjeżdża do Ekwadoru, gdzie w latach 1954 — 1961 studiuje humanistykę klasyczną i filozofię na Uniwersytecie Katolickim w Quito. W 1964 roku zdobywa w Gwatemali tytuł magistra, a w trzy lata później uzyskuje święcenia kapłańskie w Meksyku.

Zasadniczy przełom w światopoglądzie młodego księdza nastąpił w okresie, kiedy został wysłany do Medellin w Kolumbii, aby poddać się tak zwanej trzeciej próbie jezuickiej. Spędziwszy wiele miesięcy wśród biedoty na obrzeżach miasta postanawia poświęcić całą swoją energię i wiedzę walce z niesprawiedliwością społeczną.

Wspomina w rozmowie z Cabestrero: Właśnie wówczas, w trakcie trzystu bez mała dni modlitw, studiów i kontaktów z nędzą, z biedakami, z wyzyskiwanymi i bezrobotnymi, z ludźmi cierpiącymi brud i głód w enklawie pozbawionej elektryczności i jakichkolwiek innych świadczeń zrozumiałem na czym zasadza się posłanie proroków i Jezusa. Bóg, którego objawia nam Biblia, nie jest Bogiem neutralnym, lecz Bogiem, który stoi po stronie biednych. Zatem i my, księża i głosiciele Nowego Testamentu, nie możemy być neutralni.

Do Nikaragui powraca latem 1970 roku i przez sześć miesięcy piastuje godność wicerektora Uniwersytetu Środkowoamerykańskiego w Managui, skąd wyrzucono go jednak za popieranie strajków studenckich. W kwietniu 1973 roku zakłada przy udziale młodzieży Chrześcijańskie Stowarzyszenie Rewolucyjne, z którego wywodzi się wielu przywódców FSLN (Frente Sandinista de Liberacion Nacional). Jednocześnie zostaje mianowany profesorem filozofii i wykłada ten przedmiot na nikaraguańskim Uniwersytecie Autonomicznym.

W czerwcu 1976 roku zdobywa się na akt niebywałej odwagi. Jedzie do Stanów Zjednoczonych, staje przed Kongresem amerykańskim i wytyka palcem morderców, którzy przez pół wieku służyli krwawej i zbrodniczej dyktaturze. Ma ze sobą dokumenty. Przedstawia długą listę rodzin wymordowanych do nogi — z ojcami i matkami, z dziadkami, z młodymi dziewczętami i chłopcami oraz z całkiem malenkimi dziećmi.

Wspomina: — *W ciągu 52 dni ofensywy końcowej zginęło w Nikaragui piędziesiąt tysięcy osób. Była i jest tylko jedna alternatywa: albo przystąpić do tych, którzy są masakrowani, albo do tych, którzy masakrują i są mordercami. Sądzę, że Ewangelia wskazuje w tym wypadku, tylko jedną prawą drogę.*

Kiedy po owym amerykańskim wystąpieniu znalazł się na powrót w Nikaragui, był zbyt zna-

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045--139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1153. B-2.

NA WŁASNY RACHUNEK

Nieprzekraczalne granice

Jak daleko jeszcze naszej gospodarce do całkowitego odzyskania zdrowia, o tym przypominają nam co jakiś czas podwyżki cen. Nawet ci spośród nas, co rozumieją ich konieczność, jako jednego ze sposobów (może nie najlepszego) na przybliżanie równowagi rynkowej, nie udają przed sobą, nie wmawiają w innych, że są to posunięcia dla ogółu bezbolesne. Nikt z nas nie upiera się też, że uczyniono z pewnością wszystko dla lepiej zorganizowanego i oszczędniejszego gospodarowania, wszyscy bowiem ponosimy koszty niegospodarności, z którą nie uporały się dotąd nasze — samodzielne przecież — przedsiębiorstwa. To także pośrednio ich wina, że stopa podwyżek nie jest niższa.

Ale właśnie każdy, kto jako tako rozumie elementarne gospodarcze uwarunkowania i gotów jest cierpliwie znosić wyrzeczenia dla odbudowywania ekonomiki państwa, ma też prawo irytować się na ludzi, którzy nieskłonni są odnieść się do trudności z powagą i godnością. Myślę, że potrzebna jest tylko jedna rzecz: dobra wola do zrozumienia istoty sytuacji. Dowody złej woli, a przynajmniej nieodpowiedzialności są jednak dość liczne, a do najjaskrawszych należy kłamliwe przeinaczanie faktów.

Najczęściej kłamstwo wyraża się w słowach: „Obiecywali, że podwyżek cen nie będzie i znów oszukali", albo: „Stale mówią, że jest już dobrze, a tu znów trudności". Otóż poza jednym, incydentalnym wypadkiem, z czego gęsto tłumaczył się przed telewidzami rzecznik rządu, nikt nigdy z obecnej ekipy władzy (myślę zwłaszcza o okresie od wprowadzenia stanu wojennego) nie obiecywał społeczeństwu szybkiego i łatwego przezwyciężenia kryzysu i wyjścia z trudności bytowych. Przeciwnie, przez cały ten czas mówi się oficjalnie o niepokonanych jeszcze trudnościach i podkreśla — jako warunek konieczny poprawy życia — intensywną, solidną pracę całego społeczeństwa, powszechną oszczędność oraz walkę z marnotrawstwem i niegospodarnością, z niszczeniem mienia społecznego, z kradzieżą. Wystarczy zapytać, czy te warunki są przez ogół społeczeństwa wypełniane należycie....

Tym bardziej nikt nie twierdzi, że mamy już sytuację zadowalającą, na miarę uzasadnionych potrzeb życiowych. A co do podwyżek cen, to w związku z jawnym przecież dążeniem władz (wychodzącym naprzeciw wieloletnim żądaniom społeczeństwa), żeby ceny odzwierciedlały faktyczny koszt wytwarzania towarów czy świadczonych usług i żeby relacja między cenami różnych wytworów ułatwiała racjonalne gospodarowanie, uznano także, za przykładem coraz większej liczby krajów świata, ruch cen w górę za tendencję normalną i zdrową, bynajmniej nie zagrażającą poziomowi życia obywateli, pod warunkiem oczywiście, że wzrost cen jest co najmniej pokrywany przez wzrost płac.

Nikt też nie wyraża opinii, że procesy te przebiegają u nas zadowalająco, zwłaszcza dla zatrudnionych poza przemysłem, np. na państwowych „posadach", ale nie zapominajmy też, że w przemyśle wzrost płac bywa często oddolnie wymuszany i nie znajduje pokrycia w zwiększeniu produkcji czy zmniejszeniu jej kosztów, przybywa więc pieniądza na rynku i spada jego wartość, na co państwo reaguje, jak wiadomo, podwyżką cen na określone towary i usługi. To błędne koło można by rozerwać produkując więcej, lepiej i taniej, a zwłaszcza sprzedając korzystnie za granicą.

Nietrudno pojąć te podstawowe zależności, jakże więc bałamutne jest powiedzonko: „Nie warto dobrze pracować", i to bynajmniej nie dlatego, że nieraz za dobrą i złą pracę jednakowo się płaci, lecz w znaczeniu, że najpierw trzeba dobrze zapłacić, a dopiero po tym wymagać. Znamy jednak z niedawnej przeszłości, te wynegocjowane podwyżki na poczet dobrej pracy, która nie nastąpiła... Ale wróćmy do powiedzonka: Czy doprawdy „nie warto" nam dążyć do uzdrowienia przez pracę naszej gospodarki, po to, by mogła nastąpić poprawa życia społeczeństwa? Po to także, by przyszłe, automatycznie rekompensowane, podwyżki cen dyktowane były jedynie nieuniknionym wzrostem kosztów wytwarzania (np. wzrostem cen surowców), nie zaś smutną koniecznością „drenowania" społeczeństwa z (względnego) nadmiaru pieniądza, żeby towar nie zniknął z rynku...

Zbyt często bywa tak, że komu się nie chce uczciwie pracować, bo leń i pijak, obibok i złodziej, temu „pasuje" zwalać własne grzechy na cudze barki, obarczać winą okoliczności „wyższe", żeby zyskać tani poklask i odwrócić od siebie uwagę.

Czy istnieją dopuszczalne granice ekonomicznego nieuświadomienia i braku dyscypliny obywatelskiej, które można przekraczać bezkarnie, jeśli naród chce dotrzymać kroku innym? Wiemy z historii, że bywają w dziejach narodów okresy zacofania i umysłowo-moralnego upadku, jak u nas w epoce saskiej. Co ciekawe (i chyba pouczające!) nieobce było wówczas Polakom przeświadczenie, że dla swoich zalet powinni wzbudzać podziw i być wzorem dla innych. Ufali też, że moce pozaziemskie nie pozwolą Polsce zginąć.

Ale dobrze się nie skończyło....

JERZY KWIECIŃSKI

Jubileusz PWN

W ubiegłą środę, 16 kwietnia 1986 r. *Państwowe Wydawnictwo Naukowe* świętowało swój jubileusz: 35 lat działalności dla dobra polskiej nauki i polskiej książki.

PWN powołano w 1951 r. Łódzki oddział swoją historię także liczy od tej daty. Początki, jak każde pierwsze kroki, nie były łatwe, ale po dziesięciu latach w Łodzi wydawano już 395 pozycji o łącznym nakładzie 659 tys. egz. Dziś tych egzemplarzy jest już ponad milion. W ciągu minionych 35 lat oddział łódzki PWN zapisał na swoim koncie 10,5 tys. tytułów, a globalny nakład osiągnął 26,5 mln egz.

Co się tu wydaje? Między innymi podręczniki i skrypty akademickie, książki naukowe, monografie, roczniki, czasopisma naukowe itp. Z wielkiego cyklu „Monografie" warto przypomnieć „Szkice z dziejów sieradzkiego", „Tomaszów Mazowiecki", „Rawa Mazowiecka", pierwszy tom „Łódź, dzieje miasta" (dwa kolejne tomy w przygotowaniu), „Dzieje ŁZPB. im. Obrońców Pokoju". Z wydawnictw ciągłych: „Rocznik łódzki", „Przegląd ekonomiczno-społeczny m. Łodzi", „Studia regionalne", „Prace i materiały Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi", ukazujące się w trzech seriach: archeologicznej, numizmatycznej i konserwatorskiej oraz etnograficznej. Ponadto stąd pochodzą publikacje dotyczące napisów na płytach nagrobnych, na dzwonach, tablicach erekcyjnych, na ścianach budynków sakralnych itp., a noszące tytuł „Corpus inscriptionum Poloniae". Tu co roku ukazuje się też „Polska Bibliografia Literacka".

Z łódzkim oddziałem PWN współpracują: Uniwersytet Łódzki, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, Polskie Towarzystwo Historyczne, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Instytut Historii Kultury Materialnej, Instytut Techniki Cieplnej, Muzeum Sztuki, Polskie Towarzystwo Biofizyczne...

Maksymą PWN jest służenie nauce i społeczeństwu. Przez 35 lat założenie to było realizowane rzetelnie, a znając ambicje i przygotowanie fachowe zespołu edytorskiego jesteśmy przekonani, że i przyszłe lata będą równie udane.

E. IW.

Czy możemy wybić się na nowoczesność?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1. Czy możemy? Musimy. Nie wolno nam dłużej wmawiać sobie, że znajdujemy się w światowej czołówce, że jesteśmy „pępkiem świata", że nasze kłopoty, trudności i zahamowania są „naszą specyfiką". Jesteśmy dość daleko poza światową czołówką. W wielu dziedzinach ustępujemy naszym sąsiadom i partnerom w RWPG. Taka jest prawda i im głębiej i dokładniej ją zrozumiemy, tym lepiej potrafimy rozwiązać zadania, jakie stawia przed nami teraźniejszość z myślą o przyszłości.

Za własne powinniśmy uznać słowa projektu „Programu PZPR":

„Polsce niezbędne jest przyśpieszenie rozwojowe. Tylko na tej drodze uda się przezwyciężyć trudności codziennego życia, coraz lepiej zaspokajać potrzeby rosnącej liczby ludności, zapewnić młodemu pokoleniu dobry start, a weteranom walki i pracy — godne warunki życia.

Wymaga to intensywnego wykorzystania zdobyczy rewolucji naukowo-technicznej i zasadniczego przełomu w efektywności gospodarowania, ugruntowania sprawiedliwości i ludowładztwa, pomnażania humanistycznych wartości w życiu człowieka i społeczeństwa. (...)

Mamy do tego niezbędne warunki. Dysponujemy licznymi wykształconymi kadrami, znacznymi bogactwami naturalnymi, silną bazą materialno-techniczną.

Ustrój socjalistyczny stwarza możliwości łączenia rozwoju materialnego i postępu cywilizacyjnego z ideą sprawiedliwości społecznej i ludowładztwa, otwiera drogę efektywnego, wzajemnie korzystnego współdziałania z bratnimi państwami, całą naszą wspólnotą.

Przyszłość zależy od pełnego wykorzystania tych szans."

Co zatem przeszkadza?

2. Odpowiedzi na to pytanie szukano tak w zagajeniach do dyskusji, jak i w samej dyskusji na **IV Dzielnicowej Konferencji Ideologicznej widzewskiej organizacji partyjnej.** Już w czasie przygotowań do tej konferencji odrzucono scholarskie, mechaniczne referowanie tego, co projekt „Programu PZPR" i „Tezy KC PZPR na X Zjazd partii" zawierają, przekładanie tego na wąsko pojmowane zadania i zamierzenia. Przyjęto założenie, że Polska musi wybić się na nowoczesność, a zatem cały problem sprowadza się do tego, jak to zrobić? Jakie zatem występują przeszkody? Trzeba je odnaleźć i nazwać, a następnie znaleźć sposoby ich pokonania. I to zarówno w bazie jak i w nadbudowie. Sprawami bazy zajął się prof. **Zdzisław Grzelak,** nadbudowy — **Mieczysław F. Rakowski.**

3. Polska znalazła się w dość skomplikowanej sytuacji. Można powiedzieć, że jest to moment przed skokiem. Nagromadzenie zmian ilościowych spowodowało konieczność dokonania zmiany jakościowej. Ta zmiana jakościowa musi się dokonać jednocześnie w bazie i nadbudowie. A wiadomo — przede wszystkim z doświadczenia — że o ile łatwiej przeprowadzić zmiany jakościowe w bazie, o tyle trudniej w społecznej świadomości. Świadomość zmienia się wolniej, procesy zmian dokonują się tutaj niekiedy bardzo wolno, niebywałą żywotność wykazują utworzone stereotypy i sposoby myślenia, to hamuje przeobrażanie świadomości. A niedostatki występujące w świadomości — konserwatyzm, dogmatyzm, wszelkie pozostałości minionego czasu — działają hamująco na zmiany dokonywane w bazie.

Mieczysław F. Rakowski stan ten określił bardzo obrazowo. Przyrównał go do dwu pokoi. Znajdujemy się w jednym. Wiemy już wszystko, co w nim **jest dobre i złe.** Wiemy, co trzeba zrobić, aby usunąć przeszkody. Ale wiemy też, że znajdują się one w tym drugim pokoju, ciemnym i nam nie znanym. Stoimy przed progiem. Odczuwamy strach przed przekroczeniem progu, bo nie wiemy, co zastaniemy w tym drugim pokoju. Ale ten krok trzeba zrobić.

Jeśli trzymać się tego obrazowego porównania, to trzeba sobie uświadomić, że już zrobiliśmy wszystko, co było do zrobienia w pierwszym pokoju. Nie ma tu już dla nas nic do roboty. A więc pozostawanie w tym pokoju, to marnowanie sił, możliwości, godzenie się na stagnację, na spadanie na ostatnie miejsce w światowych statystykach. To marnowanie szansy. Trzeba więc zdobyć się na odwagę i krok ten zrobić!

4. Pytanie: w którym jesteśmy miejscu, na jakim znajdujemy się etapie budowania socjalizmu? — nie jest pytaniem nowym. Zadajemy je sobie od dłuższego czasu przy różnych okazjach i różnie na nie odpowiadamy. Pytanie to wraca i teraz. **Bogdan Wojakowski** — relacjonując przebieg dyskusji nad projektem „Programu PZPR" w organizacjach partyjnych — powiedział, że już wielekroć słyszał, jak pytano: jaki to będzie socjalizm? **Lucyna Nazarow** sformułowała je inaczej: czy na początku XXI wieku, gdy zrealizujemy wszystkie zamierzenia nakreślone w „Programie PZPR", będziemy mieli już zbudowany socjalizm?

Socjalizm jest okresem przejściowym, ścierają się w nim pozostałości kapitalizmu z podstawami nowej formacji społecznej — rodzą one sprzeczności również antagonistyczne. Mamy na przykład obok własności społecznej własność prywatną tak w rolnictwie, jak i w mieście. Mamy obok klasy robotniczej, klasę chłopską, drobnomieszczaństwo i drobnych kapitalistów. Rodzi to sprzeczności o charakterze klasowym. Te sprzeczności muszą być tak rozwiązywane, aby nie rodziły konfliktów. Czy zawsze potrafimy tak postępować?

Dziś nieustannie powraca pytanie o przyszłość własności prywatnej w rolnictwie i o własność prywatną w mieście. Jaki jest a jaki powinien być jej zakres? Jakie są jej tendencje rozwojowe? Czy sposób sprawowania kontroli nad tą formą własności jest sprawny i właściwy? Czy zapobiega odradzaniu się kapitalizmu? Praktyka w tej dziedzinie budzi niekiedy poważne wątpliwości.

Z drugiej strony całkowite wyeliminowanie własności prywatnej w okresie przejściowym jest niemożliwe. Różne państwa socjalistyczne w różny sposób to rozwiązują. Nasze doświadczenie historyczne nasuwa nam taki a nie inny sposób rozwiązania tej kwestii w rolnictwie, a nasza sytuacja ekonomiczna zmusza do takiego, a nie innego postępowania w mieście. Ale ciągle pada pytanie: taktyka to tylko czy strategia? Jeśli taktyka w porządku, jeśli strategia, to dokąd zmierzamy? Nikt jednak nie jest w stanie dziś dokładnie określić, jak będzie przebiegał proces przemian społecznych na wsi, bo że taki proces musi zachodzić, to nie powinno dla nikogo ulegać wątpliwości. Jeśli Polska ma się wybić na nowoczesność, to unowocześnić się musi również rolnictwo. Nie zbudujemy nowoczesnej Polski z rozdrobnionym, zacofanym rolnictwem.

5. Proces przemian musi zatem zachodzić jednocześnie w bazie, jak i w nadbudowie. Muszą się wzajemnie uzupełniać i warunkować. Ale jakoś nie widać zbytniego zaangażowania w przemiany, nadzwyczajnej odwagi, nieustannych poszukiwań, zawziętych sporów. Mówi się nawet o pewnym nawrocie konserwatyzmu, o powracaniu w utarte koleiny, do starych, skompromitowanych metod. Dlaczego?

Powodów jest kilka. Przede wszystkim również na socjalizm trzeba dziś spojrzeć trochę inaczej, powiedziałbym — nowocześniej. Jego wizja nie może być powtórzeniem wizji socjalizmu z lat pięćdziesiątych. A taka wizja utrwaliła się przede wszystkim w świadomości starszego pokolenia. To pokolenie wyrosło z wojny, po części pamiętało jeszcze czasy przedwojenne, inne były jego marzenia i dążenia. To pokolenie — nazwijmy je ZMP-owskie — które dziś stoi wielekroć u steru, ma inne doświadczenia, nawyki i wspomnienia niż ludzie urodzeni już po wojnie, wychowani w Polsce Ludowej. A to młode pokolenie sięga dziś po ster. Ono go przejmie, weźmie w swoje ręce i będzie kierowało obciążone bagażem zupełnie innych doświadczeń. Wyrosłych również z naszych błędów. Boję się, że ich wizja socjalizmu i wizja socjalizmu pokolenia ZMP niezbyt do siebie przystają. Ale w jednym i drugim przypadku chodzi o socjalizm. Prvncypia są te same — sposób realizacji założeń może być bardzo różny. Źle to czy dobrze? Czy w sposobach budowania socjalizmu nie musi też dokonywać się postęp? Są to pytania, na które musimy sobie odpowiedzieć nim przekroczymy próg i wejdziemy do drugiego, ciemnego pokoju.

6. Jeden z dyskutantów na krzyczał na powstającą nierówność — powiedzmy może łagodniej: występujące zróżnicowanie — opowiadając się za egalitaryzmem, a jednocześnie zdecydowanie opowiedział się za... reformą gospodarczą w jej obecnej formie. W takim stanowisku jest wewnętrzna sprzeczność. Bierze się ona stąd, że przy założeniu, iż **„w obecnych warunkach na czoło wysuwa się, powiązany ze wzrostem wydajności pracy, wzrost spożycia indywidualnego",** kiedy dochody z pracy stanowić będą **„główny czynnik wzrostu poziomu życia rodzin pracowniczych",** nie można mówić o egalitaryzmie. Mam wątpliwości, czy egalitaryzm da się pogodzić z zasadą, że od każdego wedle zdolności, a każdemu wedle pracy. I zdolności i jakość pracy — szczególnie złożonej — są różne i muszą być różne. Wiele ujemnych zjawisk występujących w naszej gospodarce bierze się stąd, że posiadamy wadliwie skonstruowany system płac, który prowadzi do tego, że płaca nie wynika z wkładu, a zatem ilości i jakości pracy.

Konsekwentne wcielanie w życie reformy gospodarczej — co na przykład podkreślał **Walery Janowski** — musi doprowadzić do dalszego i głębokiego zróżnicowania, a także musi wcielić w życie zasadę przymusu ekonomicznego. Ten przymus ekonomiczny — na co zwrócił uwagę **Stanisław Kosiński** — musi być adresowany do wszystkich, tak pracujących, jak i zarządzających. Wszyscy też muszą zrozumieć — a w wyniku tego zaakceptować — że właśnie przymus ekonomiczny spowoduje dalsze zróżnicowanie. Może to — choć nie musi — wywołać głębokie niezadowolenie. Jeśli bowiem dziś zróżnicowane dochody — świadomie nie używam pojęcia zarobki — budzą poważne niezadowolenie, to może tak być też w przypadku zróżnicowanych zarobków. Trzeba jednak zrozumieć, że dziś wysokie dochody nie zawsze są wyrazem wkładu pracy, czasem są wynikiem nadużycia, czasem wynikają z umiejętnego dopasowania się do koniunktury, trafienia w gusta i zapotrzebowanie, a niekiedy wynikają z umiejętnego manipulowania cenami. Natomiast zarobki powinny stać się widomym wyrazem nakładu pracy. Im praca jest bardziej złożona, przynosząca społeczną korzyść, tym powinna być wyżej ceniona. Nieuświadomienie sobie tej zasady mo-

że w poważnym stopniu zagrozić powodzeniu reformy.

7. Decydujące znaczenie w procesie unowocześniania Polski ma i będzie miała kadra. Jest to około 1,5 miliona ludzi wykształconych, z różnymi umiejętnościami, dużym doświadczeniem. W dużej części są to kadry przygotowane już w Polsce Ludowej. Te kadry — ogromna armia ludzi — będą decydowały o tym, jak przeprowadzony będzie proces unowocześniania Polski, zmniejszania dystansu do przodujących krajów.

O kadrze mówi się bardzo różnie. Zarzuca się jej, że jest ostrożna, hołduje przeciętności, boi się ryzyka, samodzielności, nie chce być liderem w procesie unowocześniania naszego kraju, jego gospodarki i życia społecznego. **Stanisław Kosiński** uważa, że kadra nie jest taka zła, że jest dobrze przygotowana do spełnienia swojej roli, ale często stwarza się jej takie warunki, w których nie może wykazać i wykorzystać wszystkich swoich możliwości i umiejętności. Jej czas i energię pochłania na przykład nadmiernie rozbudowana sprawozdawczość, która ciągle rośnie mając na to zgodę GUS, a z której często nic nie wynika.

Jeśli mówi się o konserwatyzmie kadry, jej ostrożności, to trzeba pamiętać, że ludzie kierujący innymi i ponoszący odpowiedzialność za różne dziedziny życia, byli w niedalekiej przeszłości ostro krytykowani, domagano się często ich odwołania, zmiany, niekiedy bezpodstawnie oskarżano. To musiało się odbić na postawie kadry. Nie jest ona do końca pewna biegu wypadków w kraju, nie ma pewności, czy zapoczątkowane procesy odnowy, przemian będą konsekwentnie realizowane. Warto pamiętać, że w Polsce już dwukrotnie — w najnowszych dziejach — podejmowano reformy i wycofywano się z nich. W tej sytuacji kadra nie chce ryzykować, nie chce wystawić się znów na uderzenie, jeśli proces reform, proces przeobrażeń mógłby być zahamowany. Oczywiście — nie wszyscy zajmują takie postawy. Są i tacy, którzy się w pełni angażują, gotowi są ponosić odpowiedzialność za to zaangażowanie, nie przeraża ich samodzielność. Przeciwnie, krępuje ich nadmierne nimi sterowanie.

8. Polska musi się wybić na nowoczesność. I dokonać tego muszą Polacy. Muszą przezwyciężyć swoje wady, wykorzystać w pełni swoje zalety. Ale jeśli Polska ma się wybić na nowoczesność, to jak ma się zmienić Polak, jakie ma rozwijać cechy? Odpowiedź na to pytanie można znaleźć w projekcie „Programu PZPR".

„Socjalizm jest dziełem człowieka znajdującego sens życia w więzi z innymi ludźmi, patrioty — rozumiejącego związek rozwoju swego narodu i losów swojej Ojczyzny z postępem całej ludzkości. Rzecznika sprawiedliwości społecznej i humanizmu. Świadomego uczestnika życia państwa i działań samorządu społecznego. Kierującego się moralnością, która wśród oceny samego siebie i drugiego człowieka szczególną rangę wyznacza pracy. Prawego, uczciwego, wrażliwego na sprawy innych. Podchodzącego do świata zgodnie z racjonalnymi, naukowymi przesłankami. Harmonijnie rozwijającego się duchowo i fizycznie".

A jacy jesteśmy?

Wielu jeszcze wśród nas egoistów, sobków, ludzi o ograniczonych horyzontach, bardziej przywiązujących wagę do tego, aby „mieć", zasklepiających się w wąskich grupowych interesach, nie umiejących widzieć swego miejsca w społecznych przemianach. Czy to tylko ich wina? Częstokroć nie. Jest to wina wadliwie funkcjonującej praktyki społecznej, wielu nieprawidłowości, irracjonalizmu w działaniu, przeciętności, bezmyślności, braku odpowiedzialności, a niekiedy złej woli. To są wszystko też bariery naszego postępu. Można i trzeba je usunąć!

Najgorszym wrogiem postępu jest przeciętność, bylejakość, liczenie na innych, że oni zrobią za nas, różne, często irracjonalne podziały, ulganie mitom i brak krytycznego myślenia. Czasem w ogóle brak myślenia.

Jeśli zatem Polska ma się wybić na nowoczesność, a innej drogi nie ma, to musimy — wszyscy razem i każdy z osobna — przezwyciężyć nasze wady i ułomności, usunąć przeszkody i zacząć myśleć, co i jak robić. I to jest najszybciej.

Czy trzeba zwijać sztandary?

JOLANTA WROŃSKA

Pytanie takie postawił prof. Cezary Kosikowski, prorektor Uniwersytetu Łódzkiego. Wyraża ono uzasadnioną, jak sądzę, obawę, czy stan ducha środowiska pracowników naukowych jest wystarczającą rękojmią nadziei na przyszłość. Nadziei nie tylko odnoszącej się do kondycji i zadań nauki polskiej, lecz również, a może przede wszystkim związanej z nowym sposobem myślenia o rzeczywistości społecznej, we wszystkich jej sferach, o własnej w niej pozycji i roli, wreszcie ze sposobem myślenia zdolnym stworzyć atrakcyjną społecznie wizję rozwoju. Nie jest także przypadkiem fakt, iż głos prof. Cezarego Kosikowskiego był właściwie jedynym, w którym padło pytanie nie o to, co musi być spełnione (w domyśle — przez polityczne centra decyzyjne, „obiektywne", pozostawiające poza wolą pracowników nauki, czynniki ekonomiczne) by praca naukowa, funkcjonowanie placówek naukowych mogły być prawidłowe, lecz o to, co my możemy zrobić, co zależy niewątpliwie od nas samych. Co w dotychczasowym sposobie widzenia realiów i rozumieniu własnej roli jest istotną przeszkodą, hamulcem, a nawet zaprzeczeniem warunków umożliwiających spełnienie oczekiwań.

Nie sposób zaprzeczyć oczywistym faktom — mówił prof. Cezary Kosikowski — że np. stan budynków uniwersyteckich jest opłakany, różnie ciasnota, a z pieniędzmi na remonty czy inwestycje jest krucho. Jest też tysiąc innych dolegliwości, braków, ograniczeń, z jakimi boryka się środowisko naukowe. I te wszystkie głosy przedmówców na tym się skupiające, nie mijają się z prawdą. Ale też dziwnie jakoś zapomniano wspomnieć o tym, że wiele obiektów uczelni jest wykorzystanych bardzo nieracjonalnie, wręcz bezmyślnie, że nieprawdziwe są pretensje pod adresem władz komunalnych miasta o nieczułość na kłopoty Uniwersytetu. Przeciwnie, nie tylko miasto, ale nawet nie najhojniejsze ministerstwo pomaga jak może, czego dowodem jest fakt, że żadna z krajowych uczelni nie może się pochwalić takim wsparciem finansowym i decyzji umożliwiających korzystne załatwienie szeregu spraw, jak właśnie Uniwersytet Łódzki.

Fakt, iż wypowiedź prof. Cezarego Kosikowskiego skupiła się akurat na zagadnieniach bazy materialnej był raczej tylko konkretnym unaocznieniem głębszego zjawiska nurtującego polskie — bo przecież sytuacja jest podobna i w innych placówkach naukowych — środowisko pracowników nauki. Zjawiska, które wyraża się warunkiem: *„jeśli wy nam zapewnicie — to może my"*... inaczej mówiąc warunkiem udrowienia i oczyszczenia ma być dostatek środków „czyszcząco-piorących", przy niemal zupełnym pominięciu kwestii nawyków ich używania.

A żywym tego dowodem jest i to, co zresztą marginalnie pojawiło się w wypowiedziach, że i w lepszych, i w gorszych czasach również kwitł sobie problem skłócenia wewnętrznego środowiska naukowego, karier pozamerytorycznych, opartych na „układach", tępienia zdolniejszych, umacniania się zhierarchizowanego feudalizmu wewnątrz uczelni. „Grzecznościowe" doktoraty, habitacje, litościwe recenzje naukowe wobec kolegów, „którzy mogą się przydać", podjazdowe wojny o możliwość uczestnictwa w zagranicznych stypendiach, wyjazdach itp. itd. To wszystko jest. Różnie oczywiście mają się sprawy w różnych ośrodkach. Nie wolno się tu posuwać do krzywdzących uogólnień. Niemniej jednak takie fakty istnieją i one także wpływają na stan nauki, atmosferę w środowisku, jego pozycję w społeczeństwie i — last but not least — na siłę świata nauki w rozmaitych związkach z władzą państwową i polityczną. Oczywiście nie należy z igieł robić wideł, lecz — wracając do wypowiedzi prof. Cezarego Kosikowskiego — tu także tkwią rezerwy rozwojowe. A dodać trzeba i to, że zdaniem prof. Cezarego Kosikowskiego tu także należy chyba szukać źródeł jeszcze innego groźnego zjawiska. Inercji, czy wręcz bojkotu części pracowników naukowych Uniwersytetu Łódzkiego wobec palącej konieczności sformułowania dalkosiężnej prognozy rozwoju uczelni. Nie tej inwestycyjno-materialnej, choć jest i ona konieczna, ale wizji programowej, naukowej, wychowawczej. Uczelnia musi widzieć siebie samą w bliższej i dalszej przyszłości kraju, umieć określić swe zadania w obliczu nieodwracalnej konieczności przebudowy państwa i rozwoju społeczeństwa.

Ten przydługi wstęp ma, zdawałoby się, niewiele wspólnego z przebiegiem Przedzjazdowej Konferencji PZPR, jaka odbyła się w Uniwersytecie Łódzkim 10 kwietnia 1986 r. Niewiele wspólnego, bo przecież głównym zadaniem Konferencji, poza wyborem delegatów uczelni na przedzjazdowe konferencje partyjne w dzielnicy, wojewódzką i na X Zjazd (tym ostatnim został wybrany doc. Henryk Scholl I sekretarz uczelnianej organizacji partyjnej), więc głównym zadaniem miała być solidna dyskusja nad „Tezami na X Zjazd PZPR" i Programem PZPR". A jednak, jak można wnosić z treści wystąpień konferencja partyjna stała się okazją do zaprezentowania wspomnianego wyżej stanu niemożności.

NIKT NAS NIE KOCHA

wykorzystać chce każdy. Tak można streścić znakomitą większość wystąpień. Przeważały tu trzy główne wątki. Po pierwsze — frustracja — skądinąd usprawiedliwiona — wynikająca ze stanu materialnego nauki polskiej. Nie ma pieniędzy na prowadzenie szerokiej wymiany ludzi i badań z zagranicą, głównie tą dewizową, brakuje aparatury, odczynników, nowoczesnych systemów informacyjnych. Sztywne, branżowe bariery sponsorowania badań naukowych praktycznie blokują przepływ środków. A jeśli już się uda coś zrobić, to i tak nikt tego nie chce. No i sprawa najdotkliwiej odczuwana — zdaniem pracowników naukowych — to pogłębiająca się, a w wypadku młodych pracowników nauki wręcz tragiczna pauperyzacja materialna naukowców. Padały głosy, nie po raz pierwszy przecież, że system płac w Polsce dyskwalifikuje pracę złożoną na rzecz prostej. Jednym słowem nie opłaca się być uczonym, bo każdy robotnik i tak bije na głowę swoimi zarobkami. Tragiczna sytuacja mieszkaniowa na uczelniach ma i ten skutek, że środowisko naukowców zastraszająco się starzeje. Po prostu młodzi zdolni, ci co mogliby być nadzieją nauki uciekają od pracy na uczelniach, bowiem oznacza to automatyczną deprecjację materialną. Ktoś powiedział, że człowiek uczciwy to człowiek ubogi i tworzy się zamknięte koło: dlaczegoś biedny? — boś głupi. Dlaczegoś głupi? — boś biedny. I realnych widoków wyjścia nie ma.

Rozwój nauki hamują ponadto rozmaite decyzje podejmowane na szczeblu centralnym. Na przykład przepisy Urzędu Celnego powodujące blokowanie dopływu literatury zagranicznej. Określono to zjawisko jako ciężkie szkodnictwo, a nawet sabotowanie świata nauki. Podobnie nieprzychylne oceny ma polityka kadrowa państwa wobec pracowników naukowych. Zwłaszcza ten ustęp Ustawy o Szkolnictwie Wyższym, który dotyczy problemu rotacji pracowników naukowych na uczelniach.

„Bitwa o adiunkta" wydaje się być najżywiej przeżywanym i dyskutowanym zagadnieniem, chyba nie tylko w Uniwersytecie Łódzkim. Przeważające głosy argumentują, że adiunkt jest fundamentem pracy uczelni. Na nim spoczywa główny ciężar pracy dydaktycznej i naukowej. To on stanowi główne ogniwo procesu rozwojowego szkoły wyższej. Jeśli będzie zagrożony rotacją mechaniczną w razie nieobronienia habilitacji, całą swą uwagę skupi właśnie na produkcji tejże. Nawet gdyby miała to być wiekopomna praca „Wpływ plam słonecznych na rozwój dorożkarstwa w północnych Włoszech". W kąt pójdzie dydaktyka, w kąt pójdzie rzeczywista praca badawcza, nieraz prowadzona z gigantycznymi przeszkodami, przesuwającymi w czasie usamodzielnienie się naukowe adiunkta.

Nie dość, że i tak istnieje już potężna luka między prakseologią dydaktyki, formowania nowych kadr naukowych, a życiową codziennością, to jeszcze podważa się główny jej filar. Stąd także — podnoszono — bierze się bierność polityczna, niechęć do jakichkolwiek działań społecznikowskich, obserwowana wśród pracowników nauki. Zaś pogłębiająca się luka naukowo-technologiczna między Polską a przodującymi krajami świata dodatkowo frustruje i zniechęca. W sprawie „adiunkt" padł wniosek szerszej natury, by skończyć wreszcie z administracyjnym, a raczej urzędniczym kierowaniem delikatną materią nauki. Czyli nie względy mechanicznej rotacji i nie oceny wymuszające ilościowa, nie jakościowa produkcję prac naukowych, eliminujące pasję badawczą na rzecz administracyjnego przymusu zdobywania kolejnych szczebli i tytułów.

KONTRA MINISTRA

nauki i szkolnictwa wyższego prof. Benona Miśkiewicza, obecnego na konferencji w UŁ była wyraźna. Wszystkie zarzuty o pogarszającą się kondycję nauki i naukowców — stwierdził minister Benon Miśkiewicz — są skierowane pod fałszywym adresem. Nie zależy bowiem ta kondycja od decyzji czy działań władz państwowych, lecz od samej kadry naukowej. To właśnie kadra ma decydujący wpływ na autorytet i rangę społeczną. I nieprawdą jest, że upadek tegoż autorytetu obserwuje się wszędzie. Zależy to od aktywności i wartości naukowej danego środowiska. Nie jest też prawdą, iż ministerstwo nie działa na rzecz wzmożenia tej aktywności.

Jak chodzi o zagadnienie samorządności akademickiej, minister oświadczył, że samorządność uczelni nie może być rozumiana jako absolutna władza na eksterytorialnym obszarze, wyizolowana z warunków i realiów ogólnospołecznych. Nie może zatem być mowy o rozbieżności interesów i kierunków działań między państwem a uczelniami. Samorządność szkoły wyższej oznacza przede wszystkim władzę formułowania zadań naukowych zgodnych z potrzebami i interesem państwa i społeczeństwa socjalistycznego. Tu minister przytoczył szereg działań podejmowanych przez resort dla aktywizacji takiego właśnie nurtu prac naukowych. Dzieje się tak poprzez wskazywanie konkretnych celów czy efektów, jakich żąda rozwój społeczny, formułowanie centralnych programów naukowych, ustawiczne kształcenie kadr oraz szereg wskazań dydaktyczno - wychowawczych. Na czoło tych zadań — zdaniem ministra — wysuwa się potrzeba sformułowania modelu szkoły wyższej XXI wieku, w którym to zadaniu pomocne będą z pewnością uchwały XXIV Plenum KC PZPR oraz rezultaty III Kongresu Nauki Polskiej.

Do frustracji „materialnej" środowisk naukowych minister Benon Miśkiewicz ustosunkował się krytycznie. Nieprawdą jest — powiedział — jakoby resort i władze państwa pozostawały w tej kwestii bierne. Od 1982 roku corocznie we wrześniu mają miejsce regulacje płacowe, pozwalające co najmniej rekompensować wzrost kosztów utrzymania. W tym roku przewiduje się kolejną podwyżkę płac, średnio o 2600 zł na jednego pracownika, co w skali kraju daje wydatek rzędu 4,5 miliarda zł. Jeśli zaś chodzi o „bitwę o adiunkta", minister sformułował swe zdanie tak: uczelnia, praca naukowa, ze swej istoty ma charakter elitarny. Zaczem — najwyższą „cenę" mają najwybitniejsi naukowcy, czyli ci, którzy osiągnęli tytuły profesora i docenta (oni też powinni otrzymać najwyższą gratyfikację materialną — średnio ok. 5—6 tys. zł). Fałszywy — zdaniem ministra — dylemat adiunkta winni rozwiązać właśnie sami młodzi pracownicy nauki, nie zaś władze państwa. Jak chodzi o przyszłą politykę kadrową *„idziemy na etatyzację uczelni, lecz już nie w oparciu o pensum godzin dydaktycznych, tylko zgodnie z potrzebami naukowymi instytutów, zakładów czy wydziałów"*.

Zaprotestował także minister przeciw mniemaniu jakoby nic nie robiono dla umożliwienia rozwoju nauki. Gdy w 1985 roku nakłady na badania naukowe centralnie sterowane wyniosły 7,9 miliarda zł, to w roku bieżącym osiągnęły już poziom 18,5 miliarda. Problem malejącego dopływu fachowej literatury z zagranicy nie jest możliwy do radykalnego rozwiązania z braku dewiz. Pozostaje więc maksymalna reprodukcja sprowadzanych egzemplarzy, wymiana bezdewizowa (kontakty między polskimi a zagranicznymi wydawnictwami uczelnianymi, których obecnie można się doliczyć 180 punktów wymiany). Konieczne są zmiany w strukturze bibliotek naukowych poprzez tworzenie wielkich centrów informacyjnych. Przy tym — jak wskazał minister Benon Miśkiewicz — szanujący się uczony ma i zabiega o swe osobiste kontakty z uczonymi z zagranicy, co pozwala mu uzyskiwać wystarczającą ilość literatury światowej.*)

A GDZIE PARTIA, IDEOLOGIA, PROGRAM?

Nie przypadkiem tyle miejsca poświęciłam na omówienie wątków konferencji, nie dotyczących „Tez" i „Programu PZPR" przed X Zjazdem. To zaś, co powyżej można by usłyszeć na każdym zebraniu poświęconym sprawom nauki i kadr naukowych.

Konferencja przedzjazdowa winna jednak — jak sądzę — skupić się na zagadnieniach rozwoju, stanu aktualnego teorii naukowego socjalizmu, kształtu praktyki społecznej w świetle doktryny, wypracowania stanowiska wobec fundamentalnych zagadnień ustrojowych, działań politycznych i zmian ekonomicznych w skali państwa. Stokroć bardziej, niż dywagowanie o mizerii świata nauki, potrzebna jest refleksja rzutująca w przyszłość. Tworzenie wizji rozwoju, odkreślenie istniejących tu zagrożeń, określenie roli partii w kierowaniu niezbędnymi reformami. Tego na Uniwersytecie Łódzkim nie usłyszałam. Wcale. Poza — z konieczności bardzo skrótowym — przedstawieniem węzłowych kwestii w referacie wprowadzającym do dyskusji, zaprezentowanym przez prof. Zdzisława Grzelaka, członka KC PZPR, szefa Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych — nie padł ani jeden głos na powyższe tematy.

Prof. Zdzisław Grzelak omówił główne nurty w ogólnokrajowej dyskusji przedzjazdowej. A więc problemy charakteru sprzeczności interesów występujących między klasami, warstwami i grupami społecznymi w dzisiejszym społeczeństwie polskim. Przyszły kształt i charakter państwa. Zagadnienie: partia robotnicza czy komunistyczna — gdzie winien leżeć punkt ciężkości? Poważnym tematem jest także wątek struktury własności środków produkcji i jej niewątpliwy związek z koniecznością restrukturyzacji państwowych organów decyzyjnych i zarządzających. Wreszcie przedstawił prof. Z. Grzelak niezwykle istotny problem. Jest nim dające się zaobserwować ścieranie się dwu koncepcji ideologiczno-programowych. Jedna — wynika z uznania i ścisłego związku z tradycją marksistowskiej myśli politycznej, co może wpływać na pewną zachowawczość przyjmowanych rozwiązań, a nawet szczególnego rodzaju „konserwatyzm" ideowo-polityczny. Druga koncepcja, którą można określić jako nowoczesna marksistowską wizję teoretyczną i prognozującą, śmielej wysuwa potrzebę ponownego przemyślenia, przepracowania tradycyjnie przyjętych koncepcji tak w sferze teorii naukowego socjalizmu, jak w kwestii praktyki politycznej i kształtowania programów perspektywicznych. Zdaniem prof. Zdzisława Grzelaka dają się zaobserwować trudności z „przebijaniem się" tej drugiej koncepcji do świadomości tak szerokich rzesz członków partii, jak i kierownictw politycznych.

Wydawać by się mogło, że tak fundamentalne tematy rozpalą dyskusję wśród — było nie było — elity umysłowej społeczeństwa, a i niewątpliwie najsilniejszej intelektualnie grupy członków partii. Tymczasem — jak wspomniałam — dyskusji zabrakło. Z całą pewnością zagadnienia te rozważane są szczegółowo... w kuluarach. Przebieg konferencji zaświadczał o istnieniu jakby podskórnego napięcia, czy może raczej „wewnętrznej temperatury" wśród zgromadzonych. Jednak niewiele z tego wydostało się na powierzchnię publicznej dyskusji. Wielka szkoda. Z pewnością powstały w środowisku pracowników nauki ciekawe przemyślenia i opinie o licznych, a gardłowych dla naszej przyszłości zagadnieniach. Jasne jest przecież, jak wielkie oczekiwania związane są z pracami i wynikami X Zjazdu PZPR, musi więc niepokoić nie skrywana niechęć do zabierania głosu. Tym bardziej, czemu dały zresztą wyraz wnioski z przeprowadzanych w uczelni rozmów indywidualnych z członkami partii, że niejedna z tak żywo komentowanych kwestii tyczących stanu nauki, będzie mogła być pomyślnie rozwiązana wyłącznie dzięki rozumnemu sformułowaniu wizji działania partii i kształtu i zakresu reform społecznych.

Jeśli wolno mi wyrazić swą opinię, powiem, iż prezentowane przez I sekretarza uniwersyteckiej organizacji partyjnej Henryka Schollа wnioski z dyskusji z członkami PZPR nosiły znamiona powierzchownej deklaracji sprawozdawczo-wyborczej. Cóż bowiem wynika z postulatu *„wzmożenia dyscypliny formalnej i ideowej członków partii"*? Jak ma to być realizowane, i czy w efekcie ma się osiągnąć karność czy bogactwo myśli niezbędnej dla normalnego rozwoju partii? Jakie działania ma wywołać konstatacja, że rośnie mur między pracownikami naukowymi a studentami. Czym ma się wyrażać praca na rzecz odwrócenia rosnącego zagrożenia, jakim jest rozszerzający się indyferentyzm postaw młodzieży, popularność fideizmu, bioteologii czy wręcz bigoterii? Zawołanie, że *„campusy akademickie są w rękach klerykałów"* nie jest przecież niczym innym, jak przyznaniem się do bezsiły, braku kompetencji dydaktyczno-pedagogicznych, a i własnego rozchwiania ideałów.

Ogromnie brakowało w czasie konferencji merytorycznej dyskusji nad tym, co robić by nie było jak jest. Niestety — nie na chwałę środowiska naukowego — trzeba powiedzieć, że zdarzyły się przemowy dla wykazania się przed gośćmi (wojewódzkie władze partyjne z członkiem Biura Politycznego KC PZPR tow. Tadeuszem Czechowiczem; członkowie Komitetu Centralnego, Miejskiego, władz resortu z min. B. Miśkiewiczem). Jak już bywało na setkach zebrań, konferencji i narad przeważało myślenie „na dziś" o tym, co dolega, i o tym czym można się pochwalić. Jeśli jednak przed Zjazdem partii brakuje myślenia „na jutro", to jaki bagaż zabiorą ze sobą delegaci do Sali Kongresowej? Czy zwinięte sztandary?

*) Wypowiedź ministra nauki i szkolnictwa wyższego prof. Benona Miśkiewicza — uzyskana została specjalnie dla tygodnika „ODGŁOSY".

Meandry reformy

Rozmowa z doc. dr hab. WIESŁAWEM CABANEM, dyrektorem Instytutu Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Łódzkiego

Poglądy na temat przebiegu reformy gospodarczej są bardzo zróżnicowane. Jedni ekonomiści twierdzą, że reforma jakby ugrzęzła czy dostała zadyszki i należy przyspieszyć proces reformowania; drudzy zaś sądzą, że posuwamy się powoli, ale naprzód. Komu wierzyć?

— Bliższe prawdy jest pierwsze stwierdzenie. Problem polega na tym, że istotą reformy jest podniesienie efektywności działania przedsiębiorstw. Chodzi o to, by przedsiębiorstwa obniżały koszty produkcji, oszczędzały energię i materiały, dbały o jakość wyrobów itp. Otóż przedsiębiorstwa będą to robić wtedy, kiedy będą zmuszone do tego przez warunki gospodarowania, czyli jeśli będzie istniał przymus ekonomiczny podnoszenia efektywności działania. Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzeć na naszą reformę, to trudno powiedzieć, że przedsiębiorstwa już znajdują się w sytuacji owego przymusu.

— Gdzie leżą główne przyczyny tego, że przedsiębiorstwa nie muszą podejmować zwiększonego wysiłku, aby nieźle egzystować?

— Otóż przyczyn tych jest wiele. Rozpocząć należy, jak sądzę, od analizy systemu ekonomicznego przedsiębiorstw. System ten powinien uzależniać sytuację ekonomiczną przedsiębiorstwa od efektywności gospodarowania. Tymczasem niektóre przedsiębiorstwa mogą na przykład zamiast podejmowania działań polegających na doskonaleniu organizacji pracy i wprowadzaniu nowych technologii zabiegać o ulgi podatkowe i dotacje. Albo inny przykład — przedsiębiorstwa tworzą rachunek odpisów dewizowych (ROD) z tytułu eksportu do krajów kapitalistycznych. Jednak z powodu różnych przyczyn (przede wszystkim napięć w bilansie płatniczym) znaczna część dewiz uzyskanych za eksport trafia na konto centralnego rachunku. Istnieją możliwości uzyskania dewiz na sfinansowanie importu z puli centralnej. Nie zmusza to niektórych przedsiębiorstw do podejmowania eksportu, skoro można uzyskać centralny przydział dewiz. Poza tym na niekorzyść eksportu działa wygłodzony rynek wewnętrzny, który wchłania bez oporów wszystkie produkty oferowane przez przemysł.

Innym problemem są ceny, które mogą prawidłowo oddziaływać na decyzje przedsiębiorstw, jeśli są cenami niezależnymi od nich, tzn. cenami parametrycznymi. Obecnie w polskim cenotwórstwie obowiązuje formuła cen kosztowych, co oznacza, że podstawą konstrukcji ceny są tzw. koszty uzasadnione. Ponieważ pełną informację o faktycznych kosztach ma tylko przedsiębiorstwo, żadna kontrola zewnętrzna nie jest w stanie wyłowić różnorakich manipulacji przedsiębiorstw cenami. Przedsiębiorstwa dysponując swoistym monopolem informacyjnym mogą więc w cenie pokryć koszty nieracjonalnej gospodarki.

Następnym problemem wymagającym wyjaśnienia jest reglamentacja dóbr zaopatrzeniowych. System reglamentacji działający np. poprzez programy operacyjne odpowiada warunkom systemu nakazowo-rozdzielczego. Wytwarza on — jak wiadomo — specyficzne reguły gry polegające na tym, że przedsiębiorstwa chcą „jak najwięcej dostać i jak najmniej dać". W tej grze przedsiębiorstwa nigdy nie stały na straconej pozycji. Świadczy o tym taktyka „podczepiania się" przedsiębiorstw pod różne programy operacyjne czy zamówienia rządowe w celu uzyskania maksymalnej ilości dóbr zaopatrzeniowych.

Sumując — warunki, w jakich funkcjonują przedsiębiorstwa nie sprzyjają jeszcze sięganiu przez nie po głębokie rezerwy podnoszenia efektywności gospodarowania.

— Często wśród przyczyn osłabiających tempo wprowadzenia reformy wymienia się tzw. siły technokratyczno-konserwatywne. Jakie są to siły, gdzie one są zlokalizowane?

— Odpowiedź na to pytanie wymaga przede wszystkim wyjaśnienia, że brak zainteresowania pewnych ludzi reformą wynika z dwóch przyczyn: po pierwsze — z ich subiektywnych poglądów na temat funkcjonowania gospodarki socjalistycznej, na temat jej modelu; po drugie — z poczucia stanu zagrożenia ich dotychczasowej pozycji, reforma powoduje przecież określone przesunięcia kadrowe.

— Czy tylko na górze?

— Oczywiście, że nie. Byłoby to uproszczenie. W nowym systemie potrzebne są w przedsiębiorstwach inne kwalifikacje, nie tylko techniczno-inżynierskie, lecz także ekonomiczne. Niektóre stanowiska stają się zbędne. To wszystko powoduje, że pewni ludzie nie są zainteresowani w przeprowadzeniu reformy. Wobec tego należy oczekiwać, że będą oni podejmować działania pozorne bądź nawet hamujące wprowadzanie reformy. W związku z tym trzeba powiedzieć, że siły blokujące proces reformy występują nie tylko w sferze centralnej administracji, lecz również w przedsiębiorstwach. Należy zarazem wyjaśnić, że są to siły o zróżnicowanej skali oddziaływania. Ludzie zatem niechętni reformie zatrudnieni w sferze administracji centralnej mają większe możliwości jej torpedowania niż pracownicy przedsiębiorstw. Faktyczny zasięg władzy pierwszych jest przecież większy niż drugich.

— Od czasu do czasu odżywają u nas tendencje do powoływania ogólnobranżowych monopoli, w postaci wspólnot, koncernów socjalistycznych. Zwolennicy tej koncepcji powołują się na przykłady koncernów kapitalistycznych. Czy jest to — zdaniem pana — analogia prawidłowa?

— Powołując się na ów przykład należy wszelako uwzględnić fakt, że koncerny kapitalistyczne funkcjonują w warunkach konkurencji rynkowej wewnętrznej i zagranicznej. Znana jest ostra walka konkurencyjna firm japońskich z amerykańskimi czy zachodnioeuropejskimi. Jeśli się tego nie uwzględnia, to analogia jest ułomna.

Co więcej, należy pamiętać, że przedsiębiorstwa wchodzące w skład koncernu kapitalistycznego obowiązuje ostry reżim ekonomiczny, którego wyegzekwowanie w naszych warunkach jest właściwie nieosiągalne. Swego czasu prowadziłem badania dotyczące funkcjonowania przedsiębiorstw wielozakładowych w kapitalizmie i przekonałem się, że wymagania stawiane kierownikom poszczególnych oddziałów (divisions) koncernu są bardzo wysokie. Oddziały, którymi kierują muszą się legitymować odpowiednim zyskiem w określonym przedziale czasu.

Tymczasem w Polsce wysiłki naszych menedżerów zmierzają do tworzenia przedsiębiorstw wielozakładowych, w których lepsze jednostki pracują na gorsze, wprowadza się system redystrybucji dochodów, wspólne fundusze w celu pokrywania strat jednostek nieefektywnych. Ma to mało wspólnego z racjonalnym gospodarowaniem i takie twory, które nie biorą pod uwagę wymagań rachunku ekonomicznego nie powinny mieć racji bytu.

Foto: Grzegorz Galasiński

Tutaj dodam ważną informację — stopień koncentracji produkcji jest u nas już wystarczająco wysoki. Dla zobrazowania tego podam, że średniej wielkości zakład w przemyśle lekkim w Polsce w latach 70 to zakład zatrudniający 443 osoby, w W. Brytanii 240 osób, w USA 210 osób i w RFN 140 osób. Próby dalszego zwiększania tej koncentracji na zasadzie koncentracji organizacyjnej stanowią w istocie czynnik przeciwdziałający reformie.

— Z drugiej strony niektórzy ekonomiści lansują pogląd o potrzebie poddania naszej gospodarki regulacji wolnorynkowej, która powinna nas przenieść w krainę dobrobytu konsumpcyjnego. Wierzą oni w skuteczność „niewidzialnej ręki" rynku. Co pan sądzi o tej koncepcji?

— Jeśli poprzednio wypowiadałem się przeciw tworzeniu przedsiębiorstw wielozakładowych na zasadzie koncentracji organizacyjnej, to nie chciałem przez to powiedzieć, że jestem zwolennikiem gospodarki rynkowej XIX-wiecznej, składającej się z bardzo wielu małych przedsiębiorstw. Koncentracja produkcji w określonych warunkach i dziedzinach jest niezbędna, jeśli jest robiona „z ołówkiem w ręku".

Czy „niewidzialna ręka" rynku jest tym o czym powinniśmy marzyć? Nie sądzę i to z wielu względów. Należy uwzględnić fakt, że współczesna gospodarka, w tym i nasza, jest organizmem skomplikowanym, występują w niej, a zwłaszcza w naszym systemie, rozliczne powiązania między sferą społeczną, polityczną i ekonomiczną, z których wynikają ograniczenia w działaniu mechanizmu samoregulacyjnego. Jakie ograniczenia mam na myśli? Co prawda mechanizm rynkowy ma liczne zalety (utrzymuje więź między poziomem kosztu a ceną, równoważy popyt i podaż itp.), to jednak obarczony jest zarazem wieloma mankamentami. Działanie tego mechanizmu pociąga za sobą określone konsekwencje w zakresie redystrybucji dochodów społeczeństwa. Ze względów ustrojowych nie sposób akceptować zbyt dużych różnic dochodowych. Z tego wynika konieczność dokonywania przez państwo korekt w niepożądanych społecznie dysproporcjach w podziale dochodów. Nie oznacza to, że należy dążyć do wyrównywania dochodów. Jestem daleki od stawiania takiej tezy.

Ponadto występują w gospodarce narodowej takie dziedziny, które całkowicie bądź częściowo muszą być wyłączone spod działania mechanizmu rynkowego. Należy do nich sfera infrastruktury technicznej i społecznej, np. koleje, służba zdrowia itp. Jest jeszcze inny wyjątek. Są to dziedziny produkcji, które ze względu na wysokie nakłady inwestycyjne, długi okres zwrotu np. budowa kopalń głębinowych, powinny znajdować się w większym stopniu w gestii państwa niż pod działaniem rynku. Konkludując, pragnę powiedzieć, że mechanizm rynkowy ma szereg zalet i rezygnacja z jego wykorzystania w naszej gospodarce byłaby błędem. Z kolei optowanie za pełnym, swobodnym działaniem mechanizmu rynkowego jest bezsensowne, gdyż jest to próba powrotu do modelu gospodarki sprzed stulecia.

— Paul Samuelson w swoim podręczniku pt. „Economics" stwierdził, iż „nie rozwodniony leseferyzm umarł, zanim umarła Królowa Wiktoria".

Wracając do problemu polskiej reformy chciałabym spytać — do jakiego wzorca gospodarki zmierza nasza reforma? W publicystyce ekonomicznej istnieje dość duży zamęt w przedstawianiu tej kwestii. Kontrowersje dotyczą zwłaszcza udziału planowania centralnego i mechanizmu rynkowego w regulowaniu gospodarką.

— Wydaje mi się, że racjonalny społecznie i ekonomicznie model naszej gospodarki powinien być modelem opartym na założeniu funkcjonowania rynku w ramach systemu planowego. Rozumiem to w następujący sposób: mamy plan centralny, który jest konkretyzacją uzgodnionych społecznie celów gospodarowania, planista następnie przekształca te cele w zadania polityki gospodarczej i planista jest odpowiedzialny za konstrukcję planu. Nie jest to jednak plan szczegółowy, zawierający konkretne zadania rzeczowe, lecz plan kształtujący podstawowe proporcje gospodarcze i wielkości finansowe gwarantujące zrównoważenie gospodarki. Ponieważ z planu nie wynikają bezpośrednie zadania dla przedsiębiorstw władza centralna odpowiedzialna za realizację planu powinna tworzyć takie warunki gospodarowania, w których przedsiębiorstwa byłyby skłonne działać zgodnie z kierunkami planu. Problem polega na tym, aby przedsiębiorstwa przestrzegały normy efektywności zawarte w planie, tzn. aby wydajność pracy była nie niższa od założeń planu, a zużycie energii i materiałów nie wyższe od tych założeń. Jeżeli owe normy będą przez przedsiębiorstwa przestrzegane, to resztę, czyli strukturę produkcji, wymusi bariera popytu, bowiem przedsiębiorstwa nie będą wytwarzać towarów, na które nie będzie popytu. Będzie więc działał mechanizm rynkowy.

— Jednym z przejawów niekonsekwencji w egzekwowaniu zasad reformy, np. zasady samofinansowania się przedsiębiorstw, jest brak przypadków upadłości przedsiębiorstw. Ustawa Sejmowa regulująca tę kwestię okazała się, jak na razie, „papierowym tygrysem". W 1985 roku blisko 800 przedsiębiorstwom banki odmówiły dalszego kredytowania. Nie spowodowało to jednak bankructwa tych jednostek. Jak wytłumaczyć tę dziwną sytuację?

— Możliwość upadłości przedsiębiorstwa jest ważnym i koniecznym elementem naszej reformy. Przedsiębiorstwa nieefektywne powinny wypadać z gry, gdyż nie mogą pokrywać z przychodów swoich wydatków i wymagają dotacji państwowych. Tolerowanie tego oznacza, że przedsiębiorstwa dobrze pracujące muszą łożyć na przedsiębiorstwa kulejące. Nie ma to nic wspólnego z zasadą socjalistycznej sprawiedliwości i zasadą podziału dochodu według pracy, odniesioną do załogi jako grupy społecznej.

Dlaczego przedsiębiorstwa kulejące nie upadają? Otóż w przypadku zagrożenia danego przedsiębiorstwa upadłością powstaje szeroki front ludzi, którzy występują w jego obronie. W skład tego frontu wchodzi załoga, kierownictwo przedsiębiorstwa i władza lokalna. Upadłość przedsiębiorstwa oznacza konieczność zwolnienia ludzi z pracy i przeszkolenia ich do wykonywania innej pracy. Ponieważ dotychczas zjawisko to nie występowało u nas na szerszą skalę, tym większa obawa władz lokalnych i ministerstw resortowych przed skutkami upadłości przedsiębiorstw. Chciałbym zwłaszcza podkreślić opiekuńczą rolę ministerstw wobec zagrożonych przedsiębiorstw. Wydaje mi się, że ministerstwa wcielają się w tę rolę z jednego zasadniczego powodu: chodzi tu o ratowanie produkcji wytwarzanej w zagrożonych przedsiębiorstwach. Ministerstwa uważają, iż w sytuacji wygłodzonego rynku każda produkcja, nawet nieefektywna, jest potrzebna w celu nasycenia rynku.

— Upadłość przedsiębiorstw można więc potraktować jako element społecznych kosztów reformy. Czy mógłby pan podać przykłady innych kosztów, które społeczeństwo musi ponieść w procesie wdrażania reformy. Uzasadnia to stwierdzenie, że „ekonomia jest nauką posępną", nauką wskazującą na granice naszych możliwości. Ekonomiści muszą mówić „to albo tamto, ale nie to i tamto". Nie można mieć efektywnej gospodarki i zrównoważonego rynku utrzymując niegospodarne przedsiębiorstwa i tolerując nadmierny wpływ pieniądza.

— Mam wątpliwości, czy można nazwać upadłość nieefektywnego przedsiębiorstwa kosztem społecznym. Przecież środki produkcji są w tym przedsiębiorstwie marnotrawione, a mogłyby być efektywnie wykorzystane w innych przedsiębiorstwach. Kosztem społecznym jest natomiast koszt związany z przeszkoleniem załogi upadłego przedsiębiorstwa, kłopoty pracowników ze znalezieniem nowej pracy itp.

— Czyli kosztem społecznym jest tolerowanie nieefektywnych jednostek gospodarczych.

— Tak, z tym się zgadzam. Rozwijając problem społecznych kosztów reformy chciałbym zwrócić uwagę na zjawisko inflacji. Otóż, inflacja utrudnia wprowadzenie reformy, gdyż „rozmiękcza" instrumenty ekonomiczne, stępia ich ostrze. Jeśli reforma ma odnosić sukcesy, to należy opanować inflację. Opanowanie inflacji wymaga stworzenia warunków do zlikwidowania strumieni darmowych pieniędzy, czyli wymaga ścisłego powiązania wynagrodzeń z wydajnością pracy. Niezbędne jest również oszczędzanie materiałów, surowców i energii, w celu obniżania kosztów produkcji. Trzeba pamiętać, że nie ograniczymy inflacji, jeśli ceny wyrobów nie będą pokrywać kosztów ich wytwarzania. To oznacza, że społeczeństwo musi ponieść koszty wynikające z porządkowania cen.

Istnieją także pewne koszty, które nie dają się wyrazić w kategoriach ekonomicznych; mam tu na myśli koszty wynikające z faktu, że reforma wymaga większego wysiłku produkcyjnego i intelektualnego, lepszej i wydajniejszej pracy. Mechanizmy reformy będą wymuszały postawy proprodukcyjne, a nie prokonsumpcyjne. Będzie to wymagało zmiany dotychczasowych poglądów i postaw pracowników odnoszących się do spraw ekonomicznych, a zwłaszcza do problemu płac.

— Na ostatnim posiedzeniu Komisji do spraw Reformy Gospodarczej prof. Jan Mujżel zgłosił propozycję, zaakceptowaną przez premiera Zbigniewa Messnera i prof. Władysława Bakę, opracowania w przygotowywanych na X Zjazd PZPR dokumentach wariantu przyspieszenia procesu reformy. Jak dokonać owego przyspieszenia, jakie — pana zdaniem — problemy należy zaatakować i rozwiązać, aby reforma nabrała rozmachu?

— W moim przekonaniu należy przede wszystkim zapewnić rzeczywiste samofinansowanie przedsiębiorstw. Jest to problem o kapitalnym znaczeniu dla powodzenia reformy. Przedsiębiorstwa muszą działać w warunkach, jak to określił węgierski ekonomista Janos Kornai, twardego finansowania. Przyjęcie reguły twardego finansowania oznacza, że ceny powinny być parametryczne, tzn. niezależne od przedsiębiorstwa; przedsiębiorstwa nie mogą manipulować cenami. Następnie pojawia się problem zrewidowania całego systemu ulg i dotacji. Występujący obecnie zakres ulg podatkowych i dotacji jest zbyt szeroki, umożliwia przedsiębiorstwom żerowanie na ulgach i tym samym rozkłada system samofinansowania. Moja propozycja zmierza nie do zlikwidowania ulg, lecz do ich poważnego ograniczenia, do uczynienia z nich narzędzi systemowych a nie przetargowych. I wreszcie kwestia relacji między bankiem a przedsiębiorstwami. Bank powinien stać na straży samofinansowania przedsiębiorstw. Aktywna rola banku w pobudzaniu efektywnej działalności przedsiębiorstw jest, jak na razie, nieodczuwalna. Reforma systemu bankowego faktycznie nie została przeprowadzona. Administracja gospodarcza częstokroć wywiera wpływ na politykę kredytową banków, co oczywiście nie służy respektowaniu reguły twardego finansowania.

Nie unikniemy niestety zabiegu podwyżek cen na niektóre produkty. Problemem pozostaje określenie metody przeprowadzenia tego zabiegu, wybór grup towarów objętych podwyżką, a także ochrona najuboższych grup społecznych przed skutkami podwyżek. Wydaje mi się, iż należałoby podnieść ceny na produkty konsumpcyjne wyższego rzędu, nie mające tak ważnego znaczenia dla warunków egzystencji szerokich grup konsumentów, jak żywność czy środki czystości.

— A jakich zmian należałoby dokonać w strukturze centralnych organów gospodarczych, innymi słowy w tzw. centrum?

— Gdy mówię o centrum, to mam na myśli naczelne i centralne organy władzy państwowej, które pełnią określone funkcje ekonomiczne. W tym rozumieniu chodzi tutaj o Radę Ministrów i jej organy tj. Komisję Planowania, ministerstwa funkcjonalne i działowo-gałęziowe wraz z podległymi im jednostkami administracyjnymi. Problem centrum w kontekście reformy polega na tym, że jego struktura powinna odpowiadać wprowadzanym do praktyki nowym rozwiązaniom ekonomicznym. Struktura ta w obecnym kształcie odpowiada właściwie potrzebom starego systemu nakazowo-rozdzielczego. Można powiedzieć, że działa inercja struktur ukształtowanych przed wielu laty. Nowy system ekonomiczny wymaga innej struktury centrum, dostosowanej do założeń reformy. Niepotrzebne są instytucje typu obecnych ministerstw działowo-gałęziowych, które prowadzą nadal politykę podobną do polityki z lat 70, tyle że w zmienionej formie. W centrum nie mogą funkcjonować instytucje, dla których usamodzielnienie przedsiębiorstwa i utrata dyrektywnych uprawnień są równoważne z osłabieniem władzy centrum i radykalnym zmniejszeniem możliwości jego oddziaływania na decyzje przedsiębiorstwa. W moim przekonaniu powinno istnieć tylko jedno Ministerstwo Przemysłu, które zajmowałoby się opracowywaniem polityki przemysłowej, tzn. koncepcją rozwoju przemysłu, kształtowaniem jego struktury, postępem naukowo-technicznym, a także uzgadniałoby z innymi organizacjami centrum instrumenty ekonomiczne. Oczywiście centrum gospodarcze musi charakteryzować się spójnością, tzn. nie może istnieć kilka ośrodków decyzyjnych, gdyż prowadzi to do dysharmonii w polityce gospodarczej. Potrzebny jest jeden silny ośrodek decyzyjny gwarantujący pomyślną realizację wytyczonej polityki.

Rozmawiał:
WITOLD KASPERKIEWICZ

ze str. 1

właśnie królica. Bo tu wszyscy manewrowi hodują króliki. W zagródce na tyłach nastawni, obok budki z narzędziami, gdziekolwiek. Zawsze się znajdzie chwilka, żeby podrzucić gardzinie marchwiowej naci czy naciętej na poboczu trawy. I proszę, jak pięknie mnożą się zwierzątka. Albo taka okazja, można powiedzieć żałobna. Człowieka przejechało, trzeba się napić, bo żal, bo może jutro nas. A przejechanie zdarza się co trochę, przynajmniej osiem, dziesięć razy na miesiąc.

O, w ostatnią sobotę, po wypłacie, poszło czterech facetów. Jeden się dobrowolnie rzucił pod pociąg. Życia miał dość. Żołnierzowi, co po pijaku wskakiwał do wagonu ucięło nogi. A nad ranem na torowisku znaleźli kawałki dwóch kolejarzy. Pijani byli i paiętali się po torach. Takie życie. Taka robota, kochać nie ma jej za co, ale się człowiek trzyma, bo głupi, albo za stary, żeby brać się za coś od nowa, albo boi się. O, a wczoraj to mało nie rozjechali manewrową spalinówką własnego kolegi. Nawalony jak torpeda maszerował chyba do roboty, albo z roboty i przysnął na podkładach. Jak się ocknął, to pytał tych, co go znaleźli — ludzie, gdzie ja jestem?

Powiedzmy sobie szczerze, że pije się. Pan Mieczysław, niedługo będzie trzydzieści lat, jak robi na kolei, swoje wie. Piło się, pije i pić będzie. Dużo i różnie. To zależy od stanu kasy zapomogowej (dobrowolne opodatkowanie się brygady czy grupy na rzecz stałego zaopatrzenia paliwowego), a przede wszystkim od towarzystwa. Bywa, że pija się we własnym gronie i wtedy przeważa „Vistula", „Bałtyk", czasem „Staropolska". Najczęściej jednak — bimberek fachowo pędzony. Gdzie? A na co komu ta wiadomość? Jeśli natomiast przychodzi się napić w towarzystwie wyższych sfer, czyli dyżurnego ruchu, albo maszynisty z przetrzymywanego pociągu, albo nawet i wyżej, że nie powiem jak wysoko, no, to wtedy na stole może pojawić się szampanskoje w szronowej butelce, pod tytułem „Cristall Blanch" Cava-Espana. A co! Dowody można sobie obejrzeć. Jak dyżurny się nie wystraszy, to pokaże supertajne schowanko. Faktycznie, pokazał. Pod wielką skrzynią dźwigni manewrowych do przestawiania zwrotnic, za sprytną klapą, można obejrzeć piramidę kilkuset butelek po najrozmaitszych alkoholach. Same puste. Wynieść nikomu się nie chce, sprzedawać nie opłaca i tak leżą.

LUDZIE PIJĄ Z RÓŻNYCH POWODÓW

Przeważnie dlatego, że ich boli życie. Albo przywykli, albo nie umieją, jak Piotruś, pomocnik maszynisty, odmówić. Poza tym piją, bo robota ciężka, płacą dziadowsko, mróz, upał, deszcz, robi się na torach i zawsze może z człowieka zrobić kaszankę. Więc pije się, żeby stłumić wieczny strach, albo wręcz przeciwnie, żeby pokazać całemu światu, że ma się wszystko gdzieś.

Trzeba także nadmienić, że powodem picia jest frustracja. Jak można nie pić, skoro w promieniu jednego kilometra wzdłuż torów znajduje się 8 sztuk melin. Nawet niespecjalnie zakonspirowanych. Wystarczy zostawić na parę minut lokomotywę na chodzie, skoczyć do źródła i gotowe. Jest także powodem frustracji ustrój polityczny. Bo mieszkań nie ma, urzędników przybywa, a prosty manewrowy nie ma nic do powiedzenia, za to nad nim ze trzy tuziny kierowników, kontrolerów, naczelników i dyrektorów. Każdy chce rządzić i nie szanują człowieka. Jak to ładnie mówią w gazetach, fluktuacja kadr na kolei jest bardzo wysoka. Co po polsku oznacza, że ludzie uciekają. Starzy odchodzą na emerytury, młodych na kolej nie ciągnie. Nie te czasy, żeby **„kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej"**. Wprost przeciwnie.

Dlatego też na kolej przychodzi przeważnie element. Zwłaszcza tam, gdzie szkoły niepotrzebne. Roboty na torach, remontówka, prace ciężkie i niewdzięczne. Różni przychodzą. Tacy, co im się pali grunt pod nogami i chcą przeczekać, a tu człowiek łatwo może się zgubić. I tacy, którym ręce się lepią do wypełnionych wagonów i różni macherzy, chwilowo potrzebujący gotówki.

Kolega Kryspin, szef drużyny manewrowej uważa, że nie ma na takie coś rady. I nawet nie w pieniądzach rzecz, tylko w ogólnym aspekcie. Tak mówi kolega Kryspin, który jest po szkołach, trafił na kolej przymusowo, ale polubił i został. Rozmawiamy sobie jak Polak z Polakiem, prawda? Szczerze i bez bajerów? No to należy powiedzieć jedno. Żadnych nazwisk, żadnych danych, po których można będzie znaleźć człowieka, jasne?

Radiotelefon w „gagarinie" bez przerwy wyrzuca jakieś uwagi i polecenia. Eter pełen jest krzątaniny setek ludzi, słychać rozmowy nastawni z maszynistami innych elektrowozów, komendy podawane przejeżdżającym pociągom i ludziom rozsianym na całym ogromnym obszarze węzła kolejowego. Właśnie obok przejeżdża manewrowa spalinówka ciągnąc kilka cystern. W głośniku słychać uprzejmą konwersację... dobrym torem jadę? Bo ciemno, jak u murzyna w d... Dobrym, dobrym, tylko bystro. I uważać na końcu, nie kąpać się w kanale, bo maszyna kosztuje 48 milionów... Bóg zapłać za dobrą radę. O jest. Po prawej, proszę wycieczki, widzimy tak zwany kanał, a w nim sumy, szczupaki i flądry. Żeby nie noc, toby człowiek zarzucił kijka... Nie gadać w eterze bez potrzeby...

ZA WIELKIM OKNEM NASTAWNI

widać plątaninę setek rozjazdów, zwrotnic, torów. Co dziesięć, piętnaście minut przelatuje rozpędzony łoskot, punktujących na stykach szyn kół pociągów. Przeleciał „pasażer", zaraz pójdzie drugi w przeciwną i jeszcze dwa towarowe i trzeba puścić ten czekający na wjazd od dwóch godzin.

Dochodzi dziesiąta wieczorem, trzecia godzina nocnej wachty. Oświetlony biurową lampą pulpit pulsuje dziesiątkami światełek na makiecie całego węzła. Widać, co po którym torze jedzie, co gdzie czeka i którędy dostanie wjazd.

We włączonym na okrągło pudle radiostacji

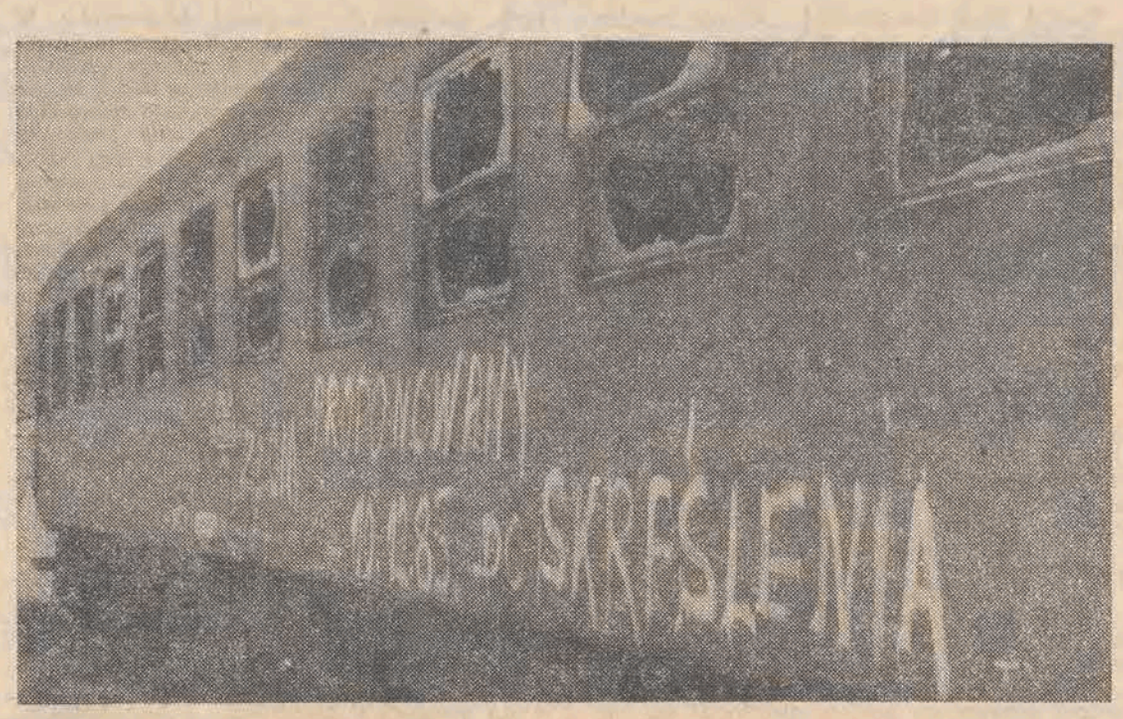

Manewry na szynach

szemrzą nakładające się na siebie rozmowy. Jedne — gdzieś obok, tych się nie słucha. Inne — uruchamiają dyżurującego Krzysztofa. Gdzieś trzeba zatelefonować, coś uzgodnić, albo, zapierając się całym ciężarem ciała, przesunąć w dół lub w górę któraś z długiego szeregu wajch manewrowych. I nie wolno się pomylić. Trasa należy do najruchliwszych, trzeba uważać jak wszyscy diabli. A i tak wypadki są bardzo częste. Mniejsze i większe. O tych największych, tragicznych, z wieloma ofiarami piszą gazety. Te „codzienne", pojedyncze śmierci czy kalectwa, nie przyciągają uwagi. Wypadki są przez ludzi.

Tak uważa Krzysztof, lat czterdzieści jeden, dwoje dzieci, M-4 od trzech lat, żona nie pracuje. Czasem zawiedzie maszyna, coś nawali, albo jeszcze częściej — rozsypie się ze starości. Ale najwięcej wypadków jest z pośpiechu, głupoty, nieuwagi i z wódki. W kolejności odwrotnej.

Ludzie na kolei dzielą się na tych, co jeżdżą, na tych, co obsługują na miejscu, czyli wszystkich dyżurnych ruchu, robotników zaplecza technicznego i temu podobnych oraz na tych, co nie potrafią odróżnić łaubzegi od lokomotywy. Głównie wyróżniają się posiadaniem biurek i tym jeszcze, że na nieszczęście jest ich ze dwa razy za dużo i to oni właśnie rządzą. Krzysztof nie pęka, bo jest fachowcem, zna się na swojej robocie i prędzej naczelnik stacji zostanie primadonną, niż wywali go z roboty. Bać się nie boi, ale wolałby bez nazwisk. Co tu dużo mówić, ci, którzy wydają wszystkie zarządzenia, bardzo ścisłe regulaminy, rozkazy, polecenia, okólniki... No, to oni właśnie nigdy nie ruszają dupska zza biurka. To są urzędnicy. I gdyby właśnie umarł ostatni maszynista i rozsypał się ostatni wagon kolejowy, ci urzędnicy nawet by tego nie dostrzegli i dalej by urzędowali, wydawali rozporządzenia, samowystarczalni, jak perpetuum mobile.

Dlatego wygląda to tak, że regulaminy i zarządzenia na kolei straszliwie szczegółowo opisują co, kiedy, jak, dlaczego, którędy należy, czego w żadnym wypadku nie wolno. Papierków jest cały ocean. Dyżurny ruchu ma siedemset kwitów do wypełnienia: godziny, minuty, ładunek, kierunek, numer porządkowy, temperatura powietrza, ilość, odpis, kopia, przeniesienie do księgi... Biuro jest takie, że szkoda gadać. Jakby, nie daj Bóg, stało się co, zleci się stado ważniaków. I każdy z instrukcją przewidzianą na ten przypadek, każdy ze swoją działką kompetencji, pretensji i prawa do ukarania. I tak jest od dróżniczki do ministra. Cała ta makulatura nadaje się do pieca, kosztuje więcej niż zakup komputerowych urządzeń regulujących robotę. Opłacanie armii urzędników, czterdziestu szczebli i szczebelków można by zamienić na nowoczesne szyny, tabor i na pół litra. Krzysztof robi w tym dwadzieścia pięć lat i nikt mu nie powie, że to trudności obiektywne albo kryzys. Żaden kryzys, tylko potworny bajzel. Milion regulujących ruchem i ani jednego, dam za to głowę, ani jednego takiego, który by się połapał w całości. Każdy jest spec od czegoś tam, żaden nie umie pojąć dlaczego to działa, albo przestaje. Mówią, że wiara czyni cuda? Może i niegłupio mówią, ale Krzysztof wie, że na kolei, odkąd on ją zna, panowała jedna tylko wiara. Że jakoś to będzie.

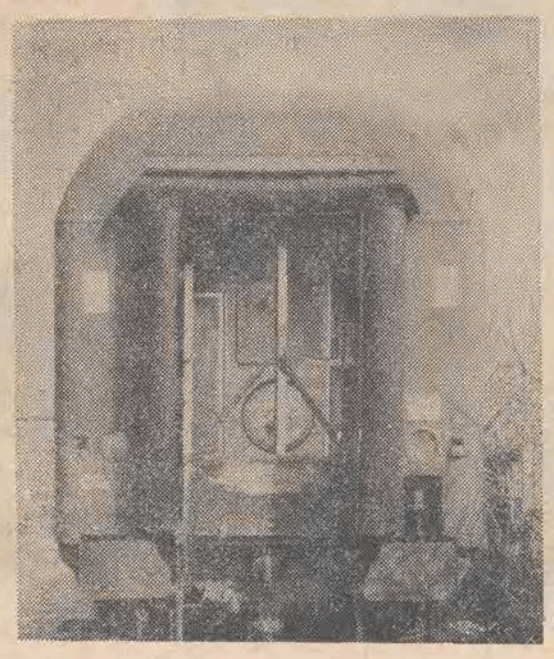

Jest też jeszcze jeden podział. Ludzie dzielą się na tych, co się przejmują rolą. Nieważne, z przyzwyczajenia, a może tak nauczeni, albo mają zasady. Druga połowa też się dzieli na pół. Razem — to są ci, którym nie zależy. W ogóle. I tu właśnie się dzielą. Na tych, którym nie zależy i jak się komuś nie podoba, to może im skoczyć. I drudzy, którym nie zależy dokładnie tak samo, ale chcą się wykazać. Ci są najgorsi.

PO PÓŁNOCY

zaczyna słabnąć tętno życia. Coraz mniej przelatujących pociągów, coraz ciszej w eterze. Głosy, jakby przyprószone snem, ludzi pracujących gdzieś na obszarach węzła stają się wolniejsi. Przychodzi najgorszy czas nocnej zmiany.

Pod nastawnię podjeżdża manewrowa spalinówka. Chwilowo nie ma żadnych poleceń, więc porzucona lokomotywa postękuje sobie samotnie monotonią zwolnionych obrotów, a załoga zaprasza się na herbatę i nocne plotki. Tematy powtarzają się w zasadzie te same. Co „oni" znowu wymyślili z tymi podwyżkami, nowymi zarządzeniami oraz ogólnego uszczęśliwiania zwykłych ludzi. Kontynuujemy rozważania na temat stanu kolei państwowych. Konkluzja rysuje nam się niewesoła. Wychodzi na to, że wszystko działa „na oko" na styk, na „odpuść boże, bo mi pilno". I że trzeba się chyba będzie pomęczyć jeszcze pierwszych sto lat, ale potem to już pójdzie gładko.

Dajmy na to taki przykład. Jak przyszedł śnieg i zamiecie, kto żyw brał się za odśnieżanie. Dokładnie rzecz biorąc brał się za podejmowanie uchwały o odśnieżaniu. Zostały wyasygnowane poważne kwoty na ten cel i rozpoczęła się bitwa „zima". I co się okazuje? Że na listy uczestników akcji wpisywały się całe rodziny. Takie były dzielne. Można było przeczytać, że robi łopatą w zaspach żona naczelnika stacji, jego teściowa i zmarły dwa lata temu teść i syn, uczęszczający w międzyczasie do drugiej klasy szkoły podstawowej, a nawet szwagrowie i kuzyni. Tak samo było z rodzinami co wyższych urzędników kolejowych. Obecni na listach, za swoją harówkę pobrali gigantyczne honoraria idące w dziesiątki tysięcy, śniegu nie ubywało, ale za to w bilansie kwartalnym wyszło, że bank zakręci kolei kurek, bo nadużyła funduszu wypłat. Zaradzono temu też w sposób prosty a radykalny. Pensje wszystkich pracowników węzła kolejowego opodatkowano miesięcznie na dwa-trzy złote. Do bilansu półrocznego saldo powinno się wyrównać. Teoretycznie jest porządek.

Albo — co kolegę Kryspina drażni szczególnie — takie coś. Za najmniejsze przewinienie spadają na człowieka drakońskie kary. Za to cała dyrekcja okręgowa nie potrafi poradzić sobie z „zagwozdką złomową". Na trzech torach bocznicy, od ho, ho, albo jeszcze dawniej, stoi 1800 sztuk talbotów, takich wagonów samowyładowczych. Są one, te wagony całkiem do niczego, trzeba by je przetopić w jakiejś hucie. Ale nikt nie może zebrać się, sformować z tego jeden wielki pociąg, albo na raty i wywieźć to do huty. Tylko po co? Komu się chce? Komu zależy? Więc talboty jeszcze postoją. A tymczasem, co może w każdej chwili potwierdzić szwagier Piotrusia, który robi w Hucie K. i jak przyjeżdża to opowiada, że ta huta właśnie największy swój zysk ma z eksportu złomu do Austrii, RFN i Włoch. Tak trzymać. Zza biurka rzadko widać to samo, co z nastawni albo z rampy.

Foto: Grzegorz Gałasiński

DRUGI ŻELAZNY WĄTEK

opowieści, to dziwy i cudeńka wyrabiające się jak kraj długi i szeroki, gdziekolwiek docierają szyny kolejowe. Powiedzmy — taka prawidłowość — wystarczy popatrzeć na daty największych katastrof kolejowych, czy to na przejazdach, czy na trasie, i co się okazuje? Że znakomita ich większość stała się w najbliższej okolicy dni wypłat. Pierwszego albo piętnastego. Co z tego wynika? No nie, kolega Kryspin nikogo nie będzie przecież zrażał do korzystania z pociągów, przecież instrukcji i przepisów jest fura, tylko o wódce każdy jeden urzędnik wie. I co z tego? Wychodzi na to, że tak już zostanie.

Jest też takie zadziwiające zjawisko. Jedzie sobie — powiada dyżurny Krzysztof — pociąg pospieszny. Powiedzmy, że na długiej trasie, na przełaj przez całą Polskę. I ma ten pociąg cechę szczególną, a Krzysztof wie co mówi, bo zanim tu nastał, osiem lat prowadził ekspresy i zna wszystkie stacje. Więc ten pociąg wiezie tzw. expresowe przesyłki zagraniczne. Czyli prywatny lub państwowy import. Pociąg jest na prawach „nadzorowanego". Znaczy ma absolutne pierwszeństwo przejazdu i powinien mieć ochronę w postaci uzbrojonego SOK-isty, strzegącego wiezionych dóbr. W życiu wygląda to tak: SOK-ista jedzie w kabinie lokomotywy i pilnuje maszynisty i pomocnika, a nie pociągu. I powiedzmy, że nastawniczy ze stacji na trasie przejazdu ma układ z dyżurnym ruchu na stacji. Robi się tak: pociąg dojeżdża do stacji, melduje się w radiostacji i ma dostać dyrektywy dalszego przejazdu. W momencie przejeżdżania obok nastawni wlotowej — nastawniczy daje cynk dyżurnemu ruchu. Ten, pod byle jakim pretekstem zatrzymuje pociąg, choć ma obowiązek przepuścić go bez zwłoki. Ale cóż, maszyny są zawodne, mogło się coś zaciąć, albo trzeba szybko przetoczyć blokujący tory inny skład. Powodów może być przecież tysiąc. Ten czas postoju potrzebny jest do dokonania inspekcji zawartości wagonów przez doborową ekipę kontrolną. Mogą to być pracownicy kolei, ale nie muszą, zależy z kim nastawniczy ma układ. Między nastawnią wlotową a opuszczeniem stacji przez pociąg wagony będą najdokładniej splądrowane. I nie ma silnych, żeby wyłapać sprawę. Po pierwsze dlatego, że takich spraw dzieje się na trasach bez liku. A po drugie, że uczestnicy operacji mają przymierze zaczepno-odporne z naczelnikiem stacji. Jeśli pobiera dolę — to będzie cicho, jeśli nie — to jak udowodni, że nie wiedział?

Proste to i milutkie, a takich wesołych historyjek każdy z chłopaków mógłby opowiedzieć jeszcze parę. Robią po parę lat, niejedno przeżyli, niejedno widzieli. Może sami to robili, a może nie, nie mój interes. Powiedzieli jak jest, bo taki mieli kaprys, a w razie czego i tak się wyprą. Im nie mają zamiaru oudzić się na urazowce, albo na cmentarzu, za chlapanie jęzorem o mafijnych interesach, gdzie w grę wchodzą wielkie pieniądze i rozległe sfery powiązanych interesów.

Dlatego pierwszym przykazaniem pracownika jest dobrze żyć z tymi, z którymi trzeba pracować. Widzieć i słyszeć za dużo nie warto. Warto pilnować swojego nosa. Manewrowy musi dobrze żyć z dyżurnym ruchu, bo mógłby bardzo podpaść. Dostanie najgorszą robotę, pokaleczą go na wypłacie, a jeszcze znajdą jakieś przewinienie. A jak nie znajdą, to wmówią. Zawsze coś się trafi. Ale i dyżurny musi uważać. Bo jak się za bardzo żyłuje na ludziach, to któregoś dnia może się nie dowiedzieć na czas, że powiedzmy jakaś zwrotnica się zacięła, nie przeskakuje i cały skład „pasażera" może wylądować pod mostem. Do kryminału na długo pójdzie dyżurny ruchu, a nie kto inny.

Nie ma się co oburzać. Tu nie automaty i komputery dyrygują ruchem, tylko ludzie. A ludzie, jak ludzie. Mają swoje interesy, wady i mylą się. Więc lepiej przynajmniej udawać życzliwość, niż się narażać.

W ramach tej ostatniej kwestii właściwej współpracy personelu, kolega Krzysztof, zastrzegając, że on sam nigdy nie skorzystał, opowiada, że dyżurny ruchu na służbie jest panem i władcą stacji i węzła kolejowego. To jest bóg wszechmocny. Może wszystko, od niego wszystkie decyzje. On może nawet przeczołgać dyrektora okręgu, albo i samego ministra, jak mu się spróbuje wtrącić do czynności służbowych. Jest otóż dyżurny ruchu panem życia całego podległego personelu. Prawie nie kontrolowany, bo kto odważy się poskarżyć? Może najwyżej anonimowo donieść. Nie daj, boże, jeśli podległy personel jest płci żeńskiej, w stanie spożywczym. Pojęcie feudalnego wyzysku człowieka przez człowieka kwitnie sobie na kolei w najlepsze. Mało która odważy się oprzeć, chyba że ma barczystego chłopa, który potrafi przestraszyć feudała. A jak nie ma — to świadczy posługi. Despotyzm hierarchiczny zakłada ponadto, że im wyższy rangą urzędnik na służbie, tym gorliwsze ma być spełnianie wymagań przez panie manewrowe, nastawnicze czy dróżniczki. I lepiej nie grymasić, bo można mieć ciężkie życie.

Między wpół do trzeciej a szóstą oczy się potwornie kleją, głowa leci na blat biurka i nie przeszkadza nawet łoskot pociągu przelatującego tuż za ścianą.

Odzywający się co jakiś czas dzwonek telefonu, czy brzęczenie radiostacji staje się nieznośną torturą dla oczadziałego mózgu. Twarde krzesło rznie w ramiona, nogi drętwieją pod biurkiem.

W drzwiach staje kolega Kryspin, także nieco zmięty nocną zmianą. Ma propozycję. Żeby się napić. Na otrzeźwienie ze snu, na początek nowego dnia, na koniec nocnej wachty i początek całej doby wolnego, na zdrowie i za przetrwanie naszych ukochanych kolei, które niech nam żyją, bo jak nie, to kto nam da jeść?

JOLANTA WROŃSKA

ze str. 1

Pogotowie na peryferiach

Tu nie ma reguł. I nie ma pewności. Nigdy. Człowiek w białym fartuchu, który podnosi telefoniczną słuchawkę musi czytać z słów i z milczenia — z pośpiechu. Na nic mu medyczna wiedza, która postawi bezbłędną diagnozę. Z kilku rzuconych słów, z emocji? Nie. Tu trzeba innej wiedzy, której nie ma w lekarskich podręcznikach. Trzeba przewidywać: co może być bardzo groźne, a co mniej, komu trzeba pomóc już, natychmiast, a kto może poczekać jeszcze chwilę bo nie zawsze jest karetka. Tu trzeba przewidywać. I decydować.

Resztą należy do sumienia.

— *Pogotowie, słucham.*

Stacja Pogotowia Ratunkowego w Pabianicach. Noc z piątku na sobotę. Normalny dyżur. Do dyspozycji pięć karetek, trzech lekarzy wyjazdowych oraz pediatra, który dodatkowo obsługuje izbę przyjęć. W ambulatorium czuwają internista, chirurg, dwie pielęgniarki. W „odwodzie" są lekarze oddziałowi szpitala miejskiego, zawsze gotowego natychmiast wesprzeć swych kolegów z pogotowia. Karetka reanimacyjna „R" dyżuruje w Łodzi. Łączność przez radiotelefon.

Pogotowie na peryferiach. Na krańcu miasta, na skraju województwa. Zaledwie kilkaset metrów od granicy sieradzkiego, niewiele więcej od piotrkowskiego. Pod opieką siedemdziesięciotysięczne miasto, okoliczne wsie i osady: Pawlikowice, Ksawerów, Petrykozy, Górka Pabianicka... Alarmowy numer telefonu taki sam jak wszędzie — „999". Dzwoni często.

Godzina 20.05. Wezwanie do ciężko chorego dziecka.

Godzina 20.12. Atak trzustki.

Godzina 20.24. Serce.

Trzeba łączyć wizyty zespołów wyjazdowych. Dwie, trzy na jednego lekarza, żeby po każdej interwencji nie wracać na peryferie. W grę wchodzą znaczne odległości. I czas. Czas rodzi niepokój. Jeśli karetka nie zjawi się zaraz, niecierpliwi telefonują powtórnie. Czekają z zegarkiem w ręku. A zespołów jest tylko pięć.

Godzina 20.32. Wezwanie do chorego na zapalenie płuc.

Godzina 20.37. Serce.

Za pulpitem dyspozytorskim dyżur pełni starsza pielęgniarka — Jadwiga Libera, trzydzieści dziewięć lat pracy z pacjentami. Odbiera telefony, ekspediuje karetki. Kilka, koniecznie spokojnym głosem zadanych pytań. Ocena sytuacji. Decyzja. Przed pomyłką strzeże doświadczenie i intuicja. Tylko.

— Pogotowie, słucham.

Godzina 21.33. Czerwona lampka na pulpicie radiotelefonu.

— *„Dwójka" do bazy, „dwójka" do bazy — jesteśmy w Ksawerowie, nie możemy znaleźć ulicy Ludowej, ciemno, brak tablic.*

Ksawerów — zmora kierowców pogotowia. Labirynt ciemnych, ciasnych, źle oznakowanych uliczek. Domy bez numerów, zaułki bez nazw. Jazda na wyczucie, na łut szczęścia. Pół biedy jeśli w dzień. Nocą szanse maleją do zera. Taksówkarz nie pojedzie tam za żadne pieniądze. Nie musi. Kierowca karetki pogotowia nie odmówi. Grzęźnie w mroku i błocie, a kiedy szczęśliwie odnajdzie wreszcie uliczkę, wracając nanosi ją na odręcznie wykreślony plan, żeby inni nie błądzili jak on.

— *Pogotowie do „dwójki", podaję zanotowany namiar ulicy Ludowej: w lewo od Łódzkiej, między Nową a...*

Ulica Łódzka. Ktoś niedawno wpadł na pomysł, by odwrócić kolejność numeracji. Posesje ostatnie mają być odtąd na początku, zaś pierwsze na końcu ulicy. Nowe numery przemieszały się ze starymi. Obok tabliczki „32" wisi „154". Zagadka na każdym rogu. Gdzieś tutaj czeka chory człowiek. Gdzie?

— *„Dwójka" do pogotowia — szukam...*

Ulicy Zachodniej lękają się wszyscy kierowcy sanitarek. Prawdziwa ciuciubabka. Na temat tej ulicy krążą niezliczone opowieści, przestrogi, koleżeńskie rady. Ot, uroki wyjazdu w teren.

Nie tylko w teren. W sercu miasta stoją anonimowe domy — bez numerów. Sobie podobne bloki — bez numerów. Te przy ulicy Moniuszki oznakowano od strony podwórza. Albo wcale. Skorodowane tablice, potłuczone żarówki. Pustynia. Ulicy Spacerowej właściwie nie ma. Jest tylko odcinek dróżki z zagrodzonym wjazdem. Przechodnie nie wiedzą jak nazywa się ta dróżka. A na Spacerowej ktoś błaga o pomoc...

Wzdłuż ulicy Podmiejskiej biegnie granica województwa. Ci, którzy mieszkają po prawej stronie ulicy powinni leczyć się w Pabianicach, ci którzy mieszkają po lewej stronie, w Dobroniu (woj. sieradzkie). Rejonizacja. Nawet tutejszy sklep GS honoruje kartki tylko od „swoich". „Obcych" i „swoich" dzieli szerokość drogi. Pogotowie nie pyta o to komu administracyjna reforma pogmatwała życie.

Godzina 21.40. Do izby przyjęć zgłasza się dziewczyna z zaropiałym palcem. Drobny zabieg, antybiotyk, środki przeciwbólowe. Pacjentka ma skierowanie wystawione przez lekarza z łódzkiego pogotowia. Z tym skrawkiem papieru i bolącym palcem, nocą telepała się aż na krańce województwa. Dlaczego?

— *Kazali mi natychmiast jechać na ostry dyżur do was. Powiedzieli, że w Łodzi nie zrobią takiego zabiegu.*

Konsternacja. Chirurg — Jacek Marynowski, tuż po wykonaniu zabiegu, prosi o łączność ze stacją pogotowia ratunkowego w Łodzi. Krótka, rzeczowa rozmowa:

— *Kolego doktorze, tak nie postępuje się z pacjentami...*

Godzina 21.50. Radiotelefon.

— *„Trójka" do pogotowia — wzywam „ojom" na izbę przyjęć! Powtarzam: „ojom" natychmiast na izbę przyjęć!*

Cisza. Więcej słów nie potrzeba. „Ojom" — oddział intensywnej pomocy medycznej ma być gotów. To znaczy, że stan wiezionego pacjenta jest ciężki. Za oknem słychać przejmujący sygnał karetki. Wszyscy na stanowiskach. Minęło 45 sekund.

Godzina 21.55. Pilne wezwanie do rannego. Krwotok z ust i nosa. Cztery zespoły są w trasie. Dyspozytorka ma tylko jedną karetkę — bez noszy. Na noszach leży reanimowany. A do wypadku nosze będą konieczne.

— *„Jedynka", „dwójka", gdzie jesteście?* — na pulpicie radiotelefonu mrugają czerwone lampki. Zgłasza się zespół pierwszy.

— *Dojeżdżamy do szpitala.*

— *Szybciej!*

Karetka nawet nie zatrzymuje się na podjeździe, zwalnia tylko, by mógł wskoczyć do niej lekarz.

Godzina 22.03. W bazie nie ma ani jednej sanitarki. Takie chwile wypełnia rosnący niepokój, nerwowe zerkanie na dwa aparaty alarmowego telefonu. Jeszcze nie terkocą, jeszcze...

W poczekalni siedzi żona internisty, który pojechał do chorego. Siedzi i nie pyta o nic, bo o co tu pytać. Dyżur. Gdy mąż wróci, może będzie okazja zamienić kilka słów: o domu, o własnym dziecku, o życiu. Kobieta mówi, że czuje się jak żona marynarza. Do południa jej mąż pracuje na szpitalnym oddziale, potem siedemnaście godzin w pogotowiu, a rano przyjmuje pacjentów w przychodni. Za dwanaście tysięcy oddziałowej pensji lekarza nie da się żyć.

O czym lekarz mówi w domu? O pracy. Przeżywa raz jeszcze, na spokojnie, czynność po czynności. Czy aby wszystko było w porządku, czy gdzieś nie popełnił błędu, czegoś nie przeoczył. Po trzydziestu godzinach pracy w człowieku może coś nie zaskoczyć. Ludzka rzecz. Ale nie lekarska rzecz.

Godzina 22.14. Wraca zespół drugi, co na moment rozładowuje napięcie. Kierowca ma nadzieję dokończyć jedzenie kolacji. Niestety. Raz ugryziona kanapka spada na talerz. Pilny wyjazd.

— *„Trzynastka" do pogotowia* — w radiotelefonie podniecony głos lekarza przeplata się z ostrym dźwiękiem syreny. — *Przygotować sterydy, dwuwęglany, wenflon. Szybko! Wezwać „ojom".*

Próba samobójcza.

Żona internisty nie czeka dłużej. Dyskretnie opuszcza gmach pogotowia. Może innym razem...

Przed północą mnożą się wezwania do pijanych. Ten ma rozciętą głowę, tamten spadł ze schodów. Sanitariusze wprowadzają nabuzowanych, upstrzonych sznytami delikwentów. W nozdrza uderza zapach octu. To stary meliniarski sposób. Ocet zabija woń podłego alkoholu. Może lekarz nie wpisze wtedy do karty, że pacjent był pijany, że wezwanie było nieuzasadnione. Może lekarz pozwoli wtedy zostać w szpitalu i nie każe odwieźć do izby wytrzeźwień.

— *Ja nie chcę do „żłobka"* — bełkoce zamulony wódą facet i grozi, że pochlasta się nożem.

Izba wytrzeźwień — już samo brzmienie nazwy tej instytucji paraliżuje jej klientów. Będą robić wszystko, żeby więcej do izby nie trafić. To kosztuje. Szpital nic nie kosztuje. Jak nie pomogą namowy i pijackie groźby, desperat walnie głową w mur albo stłucze szybę, żeby polała się krew. Wtedy na pewno zostanie w szpitalu. W czystej pościeli, na bezpłatnym wikcie, z legalnym zwolnieniem z pracy.

Karetki nieczęsto odwożą pijanych do „żłobka". Za daleko. Każda eskapada do łódzkiej izby wytrzeźwień na ponad godzinę wyłącza zespół z pracy w terenie. Notoryczni o tym wiedzą i korzystają bezlitośnie.

Nie pamięta się twarzy zabieranych z ulicy pijaków. Raczej sytuacje: grubas, który zarzygał i zdemolował karetkę, czkający typ, który chciał parasolem przebić sanitariusza. I setki podobnych opowieści.

Godzina 0.30. Lekarz Janusz Cherbeć ogłasza czwartą próbę dokończenia kolacji. Od siedemnastu godzin nie zdejmował białego fartucha. Wczoraj miał wyjątkowo „czarną serię". Trzy razy przywoził chorego w stanie krytycznym, trzy razy wzywał intensywną terapię. Pośpiesznie łykany kęs chleba, odrobina zimnej herbaty.

— Panie doktorze, pan się źle odżywia. Swym pacjentom po stokroć nakazuje pan, by jadali wolno, bez pośpiechu, regularnie...

A tu — kilka kęsów w przelocie, mocna kawa, papieros, który uspokaja nerwy.

— Pan nie powinien palić. Wszak palenie...

Godzina 0.40. Wezwanie do psychicznie chorego. W karcie zanotowano „atak szału". Będzie potrzebny kaftan bezpieczeństwa.

Doktor Cherbeć zgadza się, bym pojechał z zespołem.

— *Tylko proszę pamiętać* — zaznacza. — *Nam nie wolno stosować przemocy.*

Wyłącznie perswazję — dobry uśmiech do niepewnej gry, ciepłe słowo, trafny żart. I spokój — przede wszystkim spokój. Wobec ślepej furii, szaleńczych miotań, wobec nieobliczalnych czynów.

Z podziwem obserwuję, jak pracuje ten młody lekarz. Wchodzi tam, gdzie inni lękają się wejść, pokazuje choremu swe bezradnie puste dłonie.

— *Był pan dziś na spacerze?* — pyta przyjaznym głosem, a rozogniona twarz chorego krzepnie w zaskoczeniu. — *Wieczór mamy taki piękny, wiosenny...*

Pacjent nie stawia oporu, potulnie zmierza w stronę karetki. Kaftan jest zbędny. Obecność sanitariusza i moja też.

Jedziemy do szpitala. Lekarz i pacjent gawędzą o filmach, o pracy, o dziewczynach. W drzwiach oddziału psychiatrycznego żegnają się, jak starzy znajomi.

— Mógł pana rozgnieść jednym palcem — wypowiadam to, co mogło się zdarzyć w każdej sekundzie tych pozornie na luzie odgrywanych scen.

Lekarz bierze głęboki oddech.

— *Mógł.*

Godzina 1.45. W bazie meldują się dwa zespoły wyjazdowe. Sanitariusze głośno przeklinają budowniczych nowych bloków. Pokazują do krwi otarte naskórki dłoni — efekt targania noszy po źle zaprojektowanych i jeszcze gorzej wykonanych klatkach schodowych. W windach nosze się nie mieszczą. Bywa, że chorych trzeba dźwigać na rozpostartych prześcieradłach.

Kierowcy żywo dyskutują o niedawno wydanym zakazie wjazdu sanitarek na osiedlowe alejki. W styczniu jeden z nich chciał zajechać pod blok na ulicy Mokrej, żeby choremu oszczędzić mroźnego spaceru. Karetka ugrzęzła w piachu i choć wielu to wydarzenie obserwowało, nie było chętnych ruszyć z pomocą. Wezwano więc drugą sanitarkę, która również utknęła. Musiał interweniować traktor. Potem komitet blokowy wysłał pismo do lokalnej gazety ze skargą na kierowców pogotowia, którzy niszczą społeczne mienie. List opublikowano, a szef Rejonowej Kolumny Transportu Sanitarnego ukarał niefortunnego kierowcę, zaś innych ostrzegł przed konsekwencjami okazywania zbyt miękkich serc. Teraz żaden z kierowców pogotowia nie ma odwagi ulżyć chorym. Zwyciężyły przepisy.

Godzina 2.05. Lekarka wyjeżdżająca do pacjenta prosi o kilka jednorazowych igieł.

— *Nie ma.*

Brakuje podstawowego pogotowianego sprzętu do pracy w najtrudniejszych warunkach: na brudnych ulicach, w samochodach, przy wypadkach. Każdy lekarz gdzieś na dnie swej medycznej torby ściska „żelazny zapas" — kilka zaoszczędzonych, wyproszonych, zdobytych, półprywatnych igieł, ampułek, fiolek... Na czarną godzinę.

Niektóre leki są jak relikwie — po dyżurze przekazywane z rąk do rąk. Niezbędne leki, bez których pacjenta można jedynie pocieszyć dobrym słowem.

— *Aż chce się płakać z bezsilności.*

Więc zdobywa się te leki w każdy dostępny sposób: od kolegi lekarza, od znajomego aptekarza, od pielęgniarki z innego szpitala, w którym jeszcze są. Żeby nie płakać z bezsilności.

Kiedyś zapytano ortopedów, czego najbardziej im potrzeba: rentgenów, tomografów, elektronicznych aparatów? Odpowiedzieli bez namysłu:

— *Gipsu.*

Godzina 2.55. Wezwanie do dziecka z podwyższoną temperaturą. Miejscowość. Szynkielew.

— *Który?* — pyta rozbudzony kierowca „jedynki". — *Są trzy Szynkielewy.*

A wszystkie pogrążone w ciemnościach nocy, w ciszy uśpionych zagród. O trzeciej nad ranem nie zaszczeka nawet łańcuchowy pies.

— *Szynkielew drugi* — wyjaśnia dyspozytorka. — *Zgłaszający obiecał, że dom będzie oświetlony, widoczny od drogi.*

Jadę z zespołem „jedynki". Może się przydać jeszcze jedna para bystrych oczu. Nasze pierwsze zadanie brzmi: odnaleźć dom, w którym nie śpią. Lekarz pediatra tej nocy nie zdążył wypić herbaty. Kolejne, nikt nie liczy które, wezwanie do chorego dziecka.

Na przejeździe kolejowym zapory są opuszczone. Nasz kierowca znacząco mruga światłami karetki i czujny dróżnik lekko uchyla szlaban. Mijamy granice miasta. Prawy, lewy zakręt, jeszcze jeden prawy. Jazda niemal na pamięć, w potwornych ciemnościach przeszywanych smugami z reflektorów. Nie świeci żadna przydrożna latarnia.

Kierowca „jedynki" — Mirosław Beton, dwadzieścia lat za kółkiem sanitarki, nawet nie usiłuje odczytywać numerów z maleńkich tabliczek przytwierdzonych do ścian domów — zresztą kompletnie o tej porze niewidocznych. Wiedzie go intuicja i doświadczenie: tutaj już był, tamten budynek pamięta, więc chyba...

— *Jest!* — wątłe światełko na ganku domu zwiastuje, że szczęśliwie trafiliśmy.

Wjeżdżamy na obszerne podwórze. Obok szopy dumnie połyskuje samochód gospodarzy. Mam wrażenie, że wszyscy myślimy o tym samym. Bez złości, raczej ze smutkiem.

— *Częsty widok* — twierdzi sanitariusz. — *Wygodniej jest wezwać pogotowie niż...*

Godzina 4.12. Kwadrans ciszy przerywa ostry dzwonek telefonu. Wezwanie do kobiety, która zasłabła na nocnej zmianie w tkalni. Pojedzie zespół drugi. Trzeba zbudzić lekarkę.

— *Proszę mi pozwolić jechać za nią* — internista Cherbeć staje przy okienku dyspozytorni. — *Niech dziewczyna prześpi się choć godzinę. Od rana dyżuruje w przychodni.*

ROMAN KUBIAK

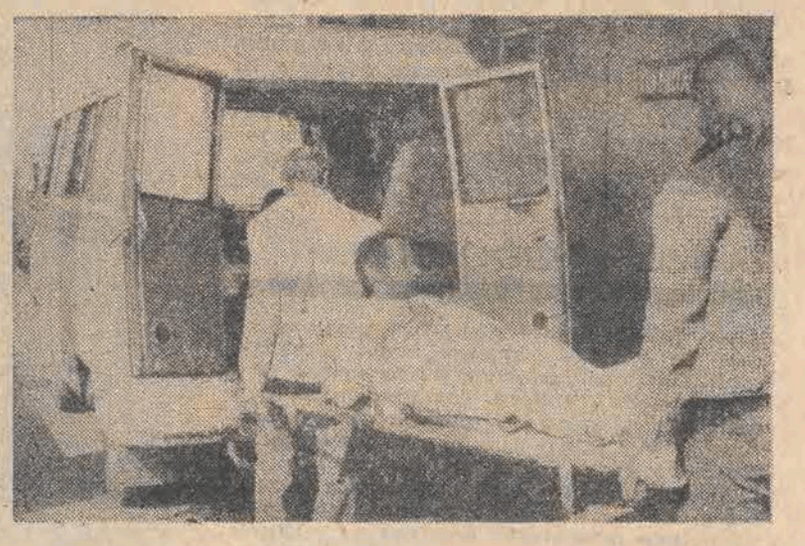

Foto: Grzegorz Galiński

Do czego zmusił mnie Marek M.?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Zjawił się zupełnie niespodziewanie. I nikt by na samotnego blondyna z brodą uwagi nie zwrócił, gdyby nie pokaźnych rozmiarów plansze, które dźwigał. Przypadkowi przechodnie, pasażerowie tramwajów ze zdumieniem sylabizowali treść umieszczonych na planszach napisów: **„Domagam się normy zawartości trucizn w polskich papierosach"**. Jakie normy? Jaka trucizna? Nie wszyscy od razu orientowali się, że blondyn z brodą wystaje od dłuższego już czasu przed wejściem do Łódzkiej Wytwórni Papierosów!

— Od papierosów? Niemożliwe... — krzyżowały się zdawkowe komentarze. Ktoś się uśmiechał z politowaniem, ktoś stukał w czoło. Niektórzy radzili „po dobroci...". Ale pikietujący trwał samotnie na posterunku. Zebrała się mała grupka obserwatorów, ktoś pstryknął kilka zdjęć, jakiś pracownik Łódzkiej Wytwórni Papierosów próbował przekonać sprawcę nie zaplanowanej reklamy firmy o bezcelowości jego akcji, przy pomocy kilku paczek papierosów. Po kilkudziesięciu minutach brodacz równie szybko zniknął jak się i pojawił...

— Czyżbyś rzucił palenie? — pytam sprawcę nietypowego zajścia przed łódzką wytwórnią, dziennikarza „Radaru" — **Marka Millera.**

— Nie palę od 6 miesięcy. Zobaczymy... Choć przez 17 lat, kiedy wpuszczałem do płuc dym z minimum jednej paczki dziennie — próbowałem kilkakrotnie, raz nawet wytrzymałem 9 miesięcy.

— Zabrakło silnej woli?

— Właśnie nie! Słuchaj, siedzę w tym temacie od wielu miesięcy, próbuję rozgryźć problem palenia, zbieram dane, rozmawiam z ludźmi. To nie sprawa silnej lub słabej woli, to tylko kwestia motywacji.

— „Palisz — zdrowie tracisz".

— Na przykład. Ale gdy jesteś zdrów jak tur, to nie jest żaden motyw, a przynajmniej niewystarczający dla mnie. I wielu innych. Osiemdziesiąt jeden procent Polaków w wieku 30—34 lat pali. I właśnie do tej grupy ludzi, moich rówieśników, adresować chcę mój materiał, który mam nadzieję opublikuję. Chciałbym go zatytułować: „Jak rzucić palenie, czyli spowiedź neofity".

— Zaraz, zaraz, po cóż rzucać, kiedy — jak obaj wiemy — frajda to duża, nałóg dość przyjemny, a i motywacji do owego rzucania — brak?

— Wiele razy zastanawiałem się: dlaczego ja palę? Najtrafniejszą odpowiedź znalazłem w książce Witkacego „Narkotyki — niemyte dusze", w genialnym rozdziale pt. „Nikotyna". Znalazłem klucz, bowiem zgadzam się z autorem, że w każdym z nas jest pewnego rodzaju pierwotne nienasycenie; jeśli nie zabijesz tego czymś mocniejszym — uczuciami życiowymi, pracą, wykonywaniem władzy, twórczością itp., wówczas owo nienasycenie może być złagodzone tylko przy użyciu narkotyku.

— No i czym ty zabijasz ten brak narkotyku?

— Doszedłem do tego, że nie muszę się „nakręcać" papierosem, mogę to zrobić na przykład za pomocą dziennikarstwa. To są oczywiście indywidualne historie. Późno zdałem sobie sprawę, że papieros mnie upokarza, jest wrednym substytutem; zamiast coś przeżyć — palisz, zamiast pracować, kochać, tańczyć — palisz. I nie daje ci palenie tego co obiecuje... Palisz przy pisaniu?

— Bez tego nie ruszę z miejsca...

— A widzisz. Miałem to samo. **Też mi się wydawało, że bez** papierosa będę pisał dwa razy dłużej, a tekst będzie kiepski, miałki, nijaki. I teraz zobacz, jak cię papieros oszukuje: wypalisz kilka i choćbyś wypalił jeszcze dziesięć, to lepiej już tego nie napiszesz... A ja wlażę pod prysznic, słowo daję — lepiej „ładuje akumulator" niźli paczką „Gitanesów"...

— Czekaj, ukradnę ci ten cytat ze Stanisława Ignacego Witkiewicza....

— Proszę bardzo: „Każdy palacz jest ruiną tego, którym mógłby być, gdyby nie palił"... Zrozumiałem, że chcę rzucić palenie, bo chcę inaczej żyć. Papieros nagle urósł w moich oczach do symbolu bylejakości, codziennej szarości, beznadziei. Czy ja muszę tkwić w tej wiecznej niemożności? Palić czyli pląsać w rytm chocholego tańca? Ileż to razy wyrzucałem papierosy przez okno, a potem, sam siebie nienawidząc, zbiegałem po schodach z jedenastego piętra, byle szybciej, i na kolanach przeczesywałem trawnik metr po metrze...

— I wydałeś papierosom, paleniu własną, małą wojnę?

— Można to i tak nazwać. Ale najpierw, by poznać przeciwnika, odwiedziłem parę bibliotek, wytwórnię papierosów, szpitale. Chciałem poznać to zjawisko do końca. Zebrałem masę zatrważających danych.

— Zacytuj kilka, jeśli nie straci na tym twój materiał.

— Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) uznaje papierosy za gorszą truciznę niż alkohol. Wyliczono, że palenie jest przyczyną śmierci 1 miliona ludzi rocznie. O, jeszcze ładna liczba: wartość rocznej, światowej produkcji tytoniu przekracza 500 miliardów dolarów.

— U nas produkcja papierosów systematycznie rośnie. Czy masz jakieś dane z innych krajów?

— Oczywiście, ale by nie zanudzać Czytelników, powiem tylko, że w większości cywilizowanych krajów Europy i Ameryki, produkcja papierosów spada, w krajach tak zwanego Trzeciego Świata — odwrotnie, wzrasta, a wielkie koncerny inwestują tam ogromne kwoty, sprzedając im między innymi swoje Marlboro. Cywilizacja europejska wydała papierosom świętą wojnę, palenie wychodzi z mody w Anglii, Francji, także w USA, wiele krajów zakazało nikotynowej reklamy. Nawet w studenckich campusach w USA, co mogłem osobiście zauważyć, papieros zastąpiony został z powodzeniem przez dżusy, wrotki, rowery, jogging. W Skandynawii notuje się ogromny spadek ilości palaczy; w takiej Finlandii choćby w latach sześćdziesiątych paliło 60 procent mężczyzn, w roku 1983 — zaledwie 32 procent...

— Słyszałeś, że w wielu firmach na Zachodzie niepalący pracownicy otrzymują specjalną premię?

— Oczywiście, i nie jest to przejaw filantropii, pracodawcy po prostu nie opłaca się, by gość w czasie tych kilku godzin zajmował się paleniem. W USA obniżone są dla niepalących stawki ubezpieczeniowe, również dla kierowców.

— Trzeba było zatelefonować u nas do PZU...

— Wykonałem taki telefon. Niestety, nie przewiduje się tego typu procedury...

— Wielkie koncerny angażują nie tylko ogromne kwoty w produkcję i reklamę, zatrudniają też najlepszych specjalistów grafików, psychologów...

— Tak jest, dziś już nie skusisz klienta hasełkiem w stylu „zamiast cukierka sięgnij po papierosa", czy „zapal — będziesz szczupły". Dziś każda firma reklamuje się nieco inaczej, tworzy odmienny mit. Zrezygnowano już co prawda z promiennej twarzy Johna Wayne'a, który umarł na raka płuc, ale takie Marlboro — to nadal ideologia westernu, koni. Dzikiego Zachodu i sportu samochodowego. „Camel" — to męska przygoda, firmują zresztą największy rajd samochodów terenowych w Amazonii, „Winstony" — to helikoptery, samoloty, współczesna technika, „Rothmansy" — mitologia morska. I tak dalej i tak dalej. Młodym ludziom serwuje się choćby takie reklamy: „Jeśli jesteś po raz pierwszy zakochany — pal tylko „Salem".

— Dziś w nikotynowej reklamie łączy się palenie z życiowym sukcesem, wytwornym stylem życia...

— ...i nienaganną „męskością". A dotarłem do danych, według których we Francji, w 1985 roku, lekarze wysnuli twierdzenie, iż w 8 na 10 przypadkach impotencji panowie zawdzięczają tę dolegliwość właśnie papierosom...

— Odwiedzałeś szpitale, zwróciłeś uwagę ilu lekarzy pali...

— Mam dokładne dane: w USA dla przykładu pali 10 procent lekarzy, u nas — 50 procent panów i 36 procent lekarek. Przecież to jest ignorowanie wiedzy! Pali co trzecia matka Polka w ciąży, a około 70 procent w ogóle nie ma pojęcia, jakie są następstwa palenia! To niesamowite, zatrważające dane: co godzinę umiera jeden nasz rodak na raka płuc. Z nich, jak mi oświadczono, 96 procent — to nałogowi palacze.

— Zawsze można sobie wytłumaczyć, że jest się w tych pozostałych czterech procentach...

— Nie bardzo. Te pozostałe kilka procent, to ludzie, którzy pracowali wiele lat w papierosowym dymie. Kelnerka, po ośmiu godzinach pracy w zadymionej kawiarni może śmiało stwierdzić, iż wypaliła pół paczki... Dym tytoniowy jest tak groźny, że nie wymaga żadnych dodatkowych związków, by spowodować rozpoczęcie procesu nowotworowego.

— Świetnie jesteś do tej lekcji przygotowany...

— Słuchaj dalej. Zawartość ciał smołowatych w dymie jest ważnym czynnikiem jego rakotwórczości, a w Polsce papierosy o największej zawartości tych substancji palone są najczęściej, bo aż 51 procent palaczy preferuje „Popularne", a 36 procent — „Klubowe".

— Ilu nas pali w ogóle?

— W 1984 roku — 8 milionów mężczyzn i 4 miliony kobiet. W ubiegłym roku wypaliliśmy 86,4 miliarda sztuk, w bieżącym — planujemy 88,2 miliarda, gdy przed wojną, też ciekawostka — zaledwie 7 miliardów. Szczycimy się stałym i systematycznym wzrostem „spożycia", a demografowie obliczają, iż rocznie, z powodu palenia, przedwcześnie umiera od 80 do 100 tysięcy osób...

— Ale też są papierosy artykułem pierwszej potrzeby!

— Oczywiście, jeśli znalazły się w swoim czasie na naszych kartkach zaopatrzenia obok mięsa, proszków do prania i mydła, a choćby w takim 1983 roku wartość sprzedaży detalicznej przekroczyła wartość środków do mycia...

— Jakich to norm domagałeś się pikietując łódzką wytwórnię? Norm zawartości trucizn?

— Tak jest. Wspomniana WHO zaleciła, aby rządy krajów, które doń należą, zobowiązały producentów papierosów do przestrzegania zawartości 1 miligrama nikotyny i 15 miligramów ciał smołowatych. U nas nie dość, że żadnej, krajowej normy nie ma, to ta wspomniana jest wielokrotnie przekraczana. A w Krajowym Ośrodku Zwalczania Palenia Tytoniu przebadano chyba wszystkie u nas dostępne gatunki.

— Czyli wprowadzenie normy „na papierze" nic właściwie nie będzie oznaczać?

— Nic, bowiem jej przestrzeganie jest z powodu przede wszystkim skandalicznego stanu technicznego polskiego przemysłu tytoniowego oraz braku odpowiedniego surowca — praktycznie niemożliwe. W laboratoriach łódzkiego ośrodka pokazano mi 40 sztuk papierosów, chyba „DS", i w tej ilości nie było dwóch jednakowych...

— To po cóż wystąpiłeś z tym hasłem, jak sam twierdzisz — nierealnym?

— Bo ja się nie muszę z takim stanem rzeczy zgadzać, protestuję przeciwko niemu. U nas 70 procent produkowanych papierosów nie posiada filtra i nie ma takiego drugiego kraju w Europie! W wytwórni tłumaczono mi, że takie jest „zapotrzebowanie społeczne". Bzdura! To jest głód nikotyny, to są efekty wieloletniego przyzwyczajania nas do „sporciaka". Nie mogę przejść do porządku dziennego nad faktem, iż krajowy przemysł tytoniowy przynosi rocznie 60 miliardów złotych dochodu, a równocześnie powoduje straty dwukrotnie większe.

— Jakież to straty?

— Według szacunkowych obliczeń papierosowe następstwa: choroby, lekarstwa, łóżka w szpitalach, zwolnienia, a także pożary powstałe od niedopałków — kosztują nas w sumie ponad 120 miliardów rocznie...

— Wierzysz, że cokolwiek przez swą akcję osiągniesz? Coś zmienisz? Kogoś poruszysz?

— Przypomina mi się w tym momencie facet, który podszedł do mnie, gdy stałem z moimi hasłami przed wytwórnią. Powiada do mnie: „Panie, nie masz pan w Polsce ważniejszych spraw?". Odpowiedziałem mu, że są, na pewno są, ale ja, w tej chwili angażuję się tylko w tę, jedną, chcę zrobić coś, co by ode mnie zależało. A czy wierzę, że akcja coś da? Myślę, że nie jest tak ważne to, czy się ostatecznie wygra, ważne — że się w ogóle gra...

— Wykonałeś, jak to mówią — kawał dobrej roboty, a że sam będziesz jeszcze o papierosowym narkotyku pisał, więc na pewno znajdą się specjaliści, którzy ten tekst zaliczą nam obu do klasyki pseudo-, quasi- oraz kryptoreklamy. Nie sądzisz?

— Sądzę, ale każdy rozsądny Czytelnik bez większych trudności i podtekstów zrozumie, o co nam chodzi naprawdę.

— Ale równie dobrze można by się zapytać, dlaczego żaden z malkontentów nie wpadł na podobny pomysł, choćby z tą pikietą? Dziękuję ci za rozmowę.

— Za dziękuje się nie kupuje, rzuć w cholerę te papierosy!

— Spróbuję...

—

OD REDAKCJI: Nie tylko z kronikarskiego obowiązku informujemy, że nasz reporter tak się przejął tematem, że... rzucił palenie. Żuje gumę. Jak długo wytrzyma — zobaczymy. I nie jest to żaden żart.

Foto: K. Turowski

Sport w sali narad

TERESA JERZYKOWSKA

Kiedy równo 10 lat temu ruszyła w Łodzi kolejna, nowa fabryka — **Zakłady Wyrobów Obiciowych „Vera"** — trwał w kraju okres „radosnej twórczości" inwestycyjnej. Powstawały zakłady zaprojektowane z rozmachem, nowoczesne, do których sprowadzano z zagranicy maszyny i urządzenia.

Do takich właśnie zakładów, chętnie prezentowanych dziennikarzom, a za ich pośrednictwem społeczeństwu należała także **„Vera"**.

Nie w każdym jednak przypadku decyzje o nowych inwestycjach przynosiły złe skutki. Do pozytywnych przykładów należy właśnie **„Vera"**. Choć od czasu, gdy powstawały założenia zakładu minęło 15 lat a od chwili jego uruchomienia dziesięć — w zakładzie w tym czasie zmieniło się bardzo niewiele, nadal można potwierdzić, że ta inwestycja była udana.

O tym, co dzieje się w zakładzie obecnie i — zgodnie z planem oraz bardziej długofalowymi programami — dziać się będzie w przyszłości rozmawiałam z dyrektorem **Januszem Wysockim**, przewodniczącym Rady Pracowniczej **Andrzejem Przybyszem**, I sekretarzem KZ PZPR **Mirosławą Rogalską** oraz przewodniczącym związków zawodowych **Zbigniewem Buczkowskim.**

Dotychczas pozostała w przedsiębiorstwie ta sama kadra, która je współtworzyła — ludzie, którzy już w fazie opracowywania założeń decydowali o tym, **jaka będzie „Vera"**, na różnych stanowiskach uczestniczyli w budowie zakładu, jego rozruchu, w praktyce określali zasady, na jakich przedsiębiorstwo działa. Od wielu innych fabryk różniła się **„Vera"** w początkach swojego istnienia przede wszystkim większą samodzielnością, z czym wiązały się zarówno rozmaite pozytywne zjawiska jak i kłopoty. M.in. wcale niełatwym zadaniem było samodzielne zdobywanie rynku z wyrobami nowe — nie tak przecież odległe czasy — nowymi i różniącymi się od dotychczas produkowanych. Efekty przyszły dość szybko, a wraz z nimi dyplom — pierwszy w branży — za działalność marketingową.

Dodatkowym, nie planowanym początkowo efektem pozytywnym okazał się fakt, że działając bardziej samodzielnie od początku, przedsiębiorstwo łatwiej niż wiele innych zakładów przystosowało się do zasad reformy gospodarczej. Po prostu przeskok od tego, co było do nowego, powszechnie obowiązującego już sposobu działania okazał się w tym przypadku mniejszy, niż gdzie indziej.

Przyczynił się do tego zapewne i fakt, że w realizacji zasad reformy może uczestniczyć cała załoga. Dużą wagę przywiązuje się bowiem w zakładzie do edukacji ekonomicznej.

Od ponad roku obowiązuje w zakładzie nowy system płac, dzięki któremu średnia płaca w **„Verze"** wyniosła w 1985 roku ponad 21 tys zł Choć więc pod tym względem sytuacja w **„Verze"** jest dobra (zakład znajduje się w czołówce swojej branży) z wyskości płac nadal nie są w pełni zadowolone związki zawodowe, odczuwa się duże naciski ze strony załogi, zwłaszcza, że ludzie zdają sobie doskonale sprawę z produkcyjnych sukcesów zakładu, a związany z nowym systemem wzrost wynagrodzeń przestał być odczuwalny w wyniku podwyżek cen

Zdarzają się także drobne konflikty, odmienne poglądy powodujące nieraz długie dyskusje Nie doszło jednak, jak dotąd, do sytuacji powodującej rozdźwięki między ludźmi w zakładzie. Z inicjatywy organizacji partyjnej raz na kwartał odbywają się spotkania przedstawicieli wszystkich organizacji i administracji na których omawiane są aktualnie istotne sprawy. W efekcie takich spotkań dochodzi na ogół do ustalenia wspólnego stanowiska — i wówczas, wobec załogi, wszyscy uczestnicy owych narad prezentują jednomyślność.

Projektowane zdolności produkcyjne zakładu wynosiły 9 mln metrów bieżących dzianin rocznie i z perspektywy czasu ocenić można, że zostały określone prawidłowo. W 1985 roku zakład opuściło 10,6 mln m, plan na 1986 rok przewiduje produkcję o 0,2 mln m większą. To przekroczenie zakładanych możliwości nastąpiło dzięki stale doskonalonej organizacji pracy, wprowadzaniu różnych form zachęcających do zwiększania indywidualnej wydajności.

Obecnie jednak wszystkie proste rezerwy zostały już wykorzystane. Możliwości dalszego zwiększania produkcji tkwią w modernizacji, unowocześnianiu technologii.

Niewielkie zabiegi modernizacyjne zaplanowane zostały na 1986 rok, poważniejsze — na nieco dalszą przyszłość.

Środki na te cele są, bowiem zakład, spłaciwszy w terminie wszystkie złotówkowe i dewizowe kredyty zaciągnięte na budowę, dysponuje obecnie sporym funduszem rozwoju. Ponadto bank — instytucja najlepiej na ogół orientująca się w finansowych możliwościach zakładów produkcyjnych — wystąpił z propozycją kredytu.

W zakładzie wytwarza się nie tylko wciąż nowe, zgodne z tendencjami mody wzory dzianin meblowych, lecz także i dekoracyjnych — przeznaczonych na zasłony i do tapetowania ścian Coraz większy udział w produkcji będą miały również — jak się przewiduje — dzianiny przeznaczone na odzież damską

Doskonałe wzorniczo materiały na bluzki i sukienki, jakie w 1985 roku zaproponowała **„Vera"** odbiorcom wzbudziły duże zainteresowanie zakładów odzieżowych i handlowców reprezentujących rynek. Obecnie m.in w **„Wólczance"** i **„Daminie"** powstają z nich kolekcje, które zaprezentowane zostaną na najbliższych Wiosennych Targach Poznańskich.

Zupełną nowością, produkowaną zaledwie od kilku tygodni, jest dzianina z przędzy nabłyszczanej — która z kolei wzbudziła duże zainteresowanie w Centrali Handlu Zagranicznego **„Textilimpex"** i wkrótce zostanie zaprezentowana odbiorcom zagranicznym

„Vera" projektowana była, co prawda, jako zakład produkujący na potrzeby kraju, ale obecnie — z jednej strony w branży dzianin obiciowych występuje już pełne pokrycie potrzeb, a nawet pewne nadwyżki, z drugiej — m.in. w związku z planowaną modernizacją bardzo przyda się powiększenie dewizowego konta. Dotychczas za granicę — do ZSRR i Chin — wędrowało, na korzystnych warunkach, zaledwie ok 10 proc. produkcji.

O tym, co dobrego dzieje się w **„Verze"** pisać by można jeszcze sporo. Pozytywy dotyczą zresztą nie tylko produkcji, ale także i sfery socjalnej. Warto tu wspomnieć o oddaniu do użytku załogi — co zostało przyjęte z entuzjazmem zwłaszcza przez jej młodszą, dość liczną, część — dobrze wyposażonej sali sportu i rekreacji, która powstała dzięki zlikwidowaniu jednej sali narad, o licznych klubach zainteresowań, sekcjach sportowych, dających załodze możliwość interesującego zagospodarowania czasu wolnego.

Aby obraz zakładu nie był zbyt jednostronny — trzeba również powiedzieć i o kłopotach — choć o tych ostatnich moi rozmówcy mówili raczej niewiele, traktując je jak sprawy oczywiste, zawsze towarzyszące wszelkiej działalności produkcyjnej

W związku z postojem części maszyn w gorzowskim „Stilonie" (który, obok toruńskiej „Elany", jest głównym dostarczycielem surowca) zabrakło pewnego asortymentu przędzy, co spowodowało zakłócenia rytmu produkcji. Najtrudniejsze chwile już minęły — ale nadal w niektórych asortymentach brakuje zapasów.

Kłopotów nie ma zresztą zbyt wiele. Stabilność załogi jest chyba także m.in potwierdzeniem, że **„Vera"** to zakład, w którym ludzie czują się dobrze.

Wanda Karczewska

O wszystkim

O samotności jedynej pomarszczonej śliwy
na zdziczałym drzewie za oknem
i biedronce tłukącej się bezradnie
pomiędzy szybami

o umierającym w szpitalnej pościeli
tak bez nikogo
jak ostatnia ryba zdychająca
na dnie zatrutego oceanu

O miłości tak wielkiej
że aż brak oddechu
o rozpaczy ściskającej serce
jak pętla szyję wisiciela

o wszystkim o wszystkim

o drzewach zielonych
żółtobrzuchej wildze
gołębiach wyrzucających z gniazda
pisklęta synogarlic

O mądrym Panu Cogito
i o nieszczęsnej Pani Meres
ze sztyletem w piersi
miast serca

O dniach i nocach nie do zapomnienia
o miesiącach
poczerniałych w pamięci
jak krew zaschnięta na piersi zabitych
o trzech krzyżach o kopalni Wujek

o wszystkim wszystkim byle nie o tym
skrytobójstwie okrutnym aż do odrazy
że wstyd ogarnia iż jesteśmy z nacji
tej samej co sądzonych kwartet
aż pali skóra

byle nie o tym myśleć

Nie nie
właśnie o tym myśleć tutaj
to zapamiętać
niech wstydem twarz płonie
niech pali skóra
bo tu się musi narodzić
ciemnych spraw koniec
i światła początek

cezura

styczeń 1985

Druga rozmowa nocą

Dziś w nocy znów zjawiła się Matka
na swym oświęcimskim obłoku
w jej cieniu — ojciec
Przyszła
usiadła naprzeciw za stołem
powiada co tak grzebiejesz nad pustą kartką
Ucichła w tobie ta maszynka
jak jej tam Euterpe
Pasikoniki trzeszczą ci w głowie
jazy szumią w uszach
ślepniesz jak wysłużony koń

Nie ślęcz nad sparciałym powrósłem
nie napisanych słów

nie wypychaj w stole dziur łokciami
módl się

Nie potrafię Matko
zapomniałam słów modlitwy

Ja ci pomogę powtarzaj za mną
Zdrowaś Mario łaskiś pełna
Pan z To

Mówię z przymkniętymi oczami
zdrowaś łąko niedługo cię nie dojrzę
łaskiś pełna czarnuszki i berberysu
Pan z tobą i twoimi żukami
błogosławionaś między zagajnikami brzozowymi
Święta Mario Matko urodzaju na polach i
w sadach
woni obfitego siana
Boże obecny w brzęku os i buczeniu trzmieli
w syku żmij i chrobotach myszy polnych
w susach morderczyń kur — łasicy i kuny
w wyciu wilków i krzyku rozdzieranych
zwierząt
uchroń ocal ten świat od losu Hiroszimy

Otwieram oczy
nie ma tej z gotyckim nieuśmiechem
z daleka tylko dobiega jej głos
słyszysz jak to się modli
Odmieniec

Zawsze taka zawsze wszystko po swojemu
panteistka zatracona
Baruch Spinoza zamącił jej w głowie

Ili tam powiada Ojciec
Baruch nie Baruch może Jacobi
może Schelling a może Byron
Daj jej spokój
pozwól jej modlić się po swojemu
pisaniem

Matka okrywa się szczelniej chustą obłoku
wyście zawsze byli w zmowie ze sobą
pogańskie filozofy

Głos Ojca
Znów tetryczysz stara
jak tam za życia na stoku dębińskim
Patrz ona pisze
zrobiłaś swoje

Posuń się trochę na tej chmurze
spływamy

1983

☆ ★ ☆

Martwa pustka mroźnego okna
nagie czuby zdziczałych drzew
Poskręcane przysypane śniegiem
czarne gałązki
jak przerażone śmiercią
zmierzwione włosy samotnej
staruchy

Przeraźliwy krzyk ptaka nocą
memento
memento

I te dwa skostniałe od mrozu owoce
do końca uparte w swym istnieniu
uczepione kurczowo bezlistnych gałęzi

Jak stary poeta
swych ostatnich wierszy

Post scriptum

SZKIC

To wszystko należy do jednego porządku
narodziny
życie
śmierć
Więc póki jeszcze świadomość nie całkiem
zmącona
trzeba to ostatnie z rozmysłem wyprzedzić

Bez popłochu oddzielić rupiecie szpargały
od rzeczy wartych zachowania
Dla kogoś kto ich godzien

Pożółkłe listy wyznania zwierzenia
oddać płomieniom Niech zgorzeje w ogniu
to co z żaru w nich było
a resztę zostawić na pastwę szperaczom
pcheł szukających w naszych życiorysach

Tomiki wierszy z podpisem przyjaciół
tych którzy nimi do końca zostali
i innych którzy już odeszli od nas
dać do archiwum
Tam jedna półka znów wszystkich połączy

Rozliczać siebie ze sobą — a po co?
zbyt wielu teraz innych tu rozlicza
miast najpierw siebie samych A zresztą
pisarstwo to jest przecież rozliczanie
rzecz obojętna czy to nas obnaża
czy też ukrywa

Błąd popełniony bądź przez brak logiki
bądź słabości chwilę
błąd nieodwracalny wepchnąć głębiej w siebie
niczym zadrę w skórę
Skruszeje wraz z nami W piaseczku
cmentarnym

W końcu najważniejsze — pożegnać się w porę
z Euterpe Klio bo w zapaściach mózgu
w tych snach krótkich w jakie zapada na zimę
raz po raz biedronka
(styczeń — właśnie jedna łazi mi po ręce)
powstać mogą kartki przez które jak gdyby
przeszedł był huragan mącąc jasność myśli
wyobraźnię niszcząc

Nie wyzbądź się tylko miłości ostatniej
do drzew zielonych wiosną ugiętych pod
kwieciem
Może jej doczekasz ujrzysz w pianie kwiatów
dzikie wiśnie w sadzie druhny w ślubnej bieli

Ja ich już nie ujrzę
Wiśnie barbarzyńcy ścięli
I nareszcie
choćby nie wiem ból jaki jakie udręczenie
nie czyń tego co zrobił wódz rzymski po klęsce
pod Filippi — Kasjusz

Gdzie indziej jest ci zapisane:
chodź nadeszła chwila — czas już

I staniesz przed Panem

styczeń 1985

(wiersze z tomu „Jeszcze jedna godzina", WL 1985)

Poszukiwania i obowiązki

W świadomości czytelniczej na bogaty dorobek twórczy Wandy Karczewskiej składa się przede wszystkim proza — powieści i opowiadania, toteż dobrze się stało, że łódzka oficyna wydawnicza zdecydowała się na przypomnienie bogatego wyboru poezji popularnej autorki, która debiutowała zresztą właśnie jako poetka (w 1931 roku, na łamach prasy). Prezentowany obecnie tom obejmuje lata 1931—1985 i stanowi interesujący przegląd poezji Wandy Karczewskiej, zawiera bowiem nie tylko wiersze już znane odbiorcy z innych książek, lecz także utwory zupełnie nowe, dotąd nigdzie nie publikowane. Większość z nich opatrzona jest datami, co sprawia, że chronologiczny układ zbioru staje się niezwykle jasny i precyzyjny, a fakt ten ma niebagatelne znaczenie dla pełniejszego zrozumienia poezji Karczewskiej. Jeżeli sztuka ma być odbiciem swego czasu (bo tak wydaje się brzmieć credo artystyczne autorki), to w żadnym wypadku nie powinna ona pozostawać ahistoryczna, oderwana od swych realnych, materialnych podstaw. Dlatego dokładne określenie ram czasowych nie jest w tym wypadku jedynie spełnieniem prostej funkcji informacyjnej i posiada cechy swoistego autokomentarza, nadającego wielu utworom głębszy sens, osadzony w szerokim, konkretnym kontekście.

Zawartość niniejszego tomu można podzielić na trzy podstawowe grupy: wiersze refleksyjne, niejednokrotnie o charakterze autobiograficznym; subtelne, pastelowe erotyki, i wiersze mówiące o naszej historii najnowszej, drążące zachowania i postawy ludzi wobec wstrząsających światem niepokojów, poszukujące odpowiedzi na pytania zadawane sobie przez Polaków już od wielu pokoleń. Ta ostatnia grupa utworów, stanowiąca zasadniczy trzon książki, jest najliczniej reprezentowana i wywiera chyba największe wrażenie, jako że dotyka spraw niełatwych, bolesnych i kontrowersyjnych, składających się na naszą rzeczywistość i przeto wymagających zastanowienia i analizy. To poezja prowokująca do dyskusji, pobudzająca uczuciowo i intelektualnie, uderzająca rozmyślnie w czułe miejsca w celu wywołania reakcji, czasem niechętnej i gwałtownej, lecz z pewnością zawsze bardziej naturalnej od letargicznej obojętności. Wanda Karczewska nie ogranicza się do biernej rejestracji wydarzeń czy też oschłego stawiania pytań — nierzadko proponuje własną interpretację, próbuje wyciągać wnioski, przedstawia możliwe rozwiązania, stawia oceny. W dążeniu poetki do odnalezienia prawdy i piękna jej partnerem ma być odbiorca, od którego autorka chwilami wręcz żąda uaktywnienia, współpracy, podjęcia myślowego wysiłku. Karczewska nie przemawia przy tym z pozycji spiżowego monopolisty na dobro i nieomylność, w jej słowach rozbrzmiewają zarówno optymizm i radość, jak i trwoga, niepewność, zwątpienie. Nadaje to utworom tym większą wiarygodność i jeszcze mocniej podkreśla konsekwencję, z jaką poetka mimo rozlicznych obaw i rozterek buduje swój system wartości etycznych, niezależny od burzliwych doświadczeń i dotkliwych rozczarowań, jakich historia nie szczędziła jej pokoleniu.

Niewątpliwą zaletą poezji Wandy Karczewskiej jest ogromna komunikatywność, umożliwiająca bezpośrednią recepcję bez żadnego specjalnego przygotowania. Rzeczowy, jasny sposób ekspresji pozwala na uniknięcie dwuznaczności i nieporozumień, mogących powstać w trakcie rozważań dotyczących drażliwych i złożonych kwestii moralnych i społecznych. Brak zwodniczej, zafałszowanej ornamentyki, kryjącej niejednokrotnie wewnętrzne ubóstwo treści, cechuje również pozostałe wiersze Karczewskiej. Nawet najbardziej wyszukane stylistycznie juwenilia z lat trzydziestych uderzają swobodą wypowiedzi i trafnością sformułowań, tak charakterystyczną dla opartego później na ascetyzmie i surowości warsztatu poetyckiego autorki.

Jest rzeczą oczywistą, że w tak obszernym zbiorze znajdziemy siłą rzeczy także utwory mniej udane. Dla każdego pisarza reagującego żywiołowo i spontanicznie na wszelkie objawy okrucieństwa i niesprawiedliwości, śledzącego bacznie aktualne wydarzenia i usiłującego komentować je na gorąco, jest to rzecz nieunikniona. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że podjęte przez Wandę Karczewską poszukiwania posiadają doniosłe znaczenie, i że wypełnia ona swój poetycki obowiązek z fachowością, rzetelnością i zaangażowaniem godnym niekłamanego podziwu.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Wanda Karczewska — „Jeszcze jedna godzina", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, nakład 2000 + 350 egz.

Dante był niewidomy

„Boską Komedię" napisał Dante już po utracie wzroku. Powoli ciemność ogarniała także Zygmunta Krasińskiego, autora „Nie-Boskiej Komedii". Znamy też i wielu innych twórców, poetów, uczonych, którym przypadło tworzyć w ciemności. W ostatnich latach swojego życia tak tworzył chociażby Jan Lorentowicz, Karol Szajnocha czy Wit Stwosz, który dzieło swojego życia — słynny Ołtarz Mariacki — sprawdził już tylko dotykiem.

Król poetów Homer, św. Franciszek z Asyżu nie widzieli podobno od urodzenia. Zdarzali się też i niewidomi władcy, jak np. Jan Luksemburczyk — król czeski. Widać brak wzroku nie przeszkadzał im pisać, tworzyć, rzeźbić ani nawet rządzić.

Rozwój psychiczny niewidomych w niczym przecież nie odbiega od rozwoju umysłowego ludzi pełnosprawnych, a nawet w zakresie zdolności logicznych ich przewyższa. Stąd sukcesy niewidomych w niektórych dziedzinach wiedzy, zwłaszcza w matematyce. Niewidomy bowiem nie postrzega, tylko wnioskuje, a więc kształci systematycznie logikę myślenia.

Troska społeczeństw o rozwój intelektualny niewidomych i ich kształcenie nie sięga głęboko w przeszłość.

PIERWSZĄ SZKOŁĘ DLA NIEWIDOMYCH

założył w Paryżu w roku 1788 Valentin Hauy. Był on wynalazcą wypukłego (nie punktowego) alfabetu dla niewidomych. Założył poza tym 30 szkół w innych krajach, gdzie kolejno przebywał z inicjatywy europejskich dworów książęcych i królewskich.

Warto przy tej okazji odnotować, że tak jak Jan Gutenberg sam nie był wynalazcą druku a tylko genialnym i ostatnim jego ulepszycielem, tak i wiele było kolejnych ulepszeń pisma dla niewidomych. Ostatecznie udoskonalił je muzyk i kompozytor Ludwik Breil.

10 lat pracował Ludwik Breil nad swoją metodą, by ostatecznie, publicznie zademonstrować ją w Paryżu w 1844 roku. Doskonale wiedział, że poprzednie wypukłe pismo stosowane do tamtego czasu było zbyt trudne dla niewidomych. Niewidomy bowiem z trudem wyczuwa linie ciągłe lub faliste.

Ludwik Breil sam tracił wzrok, a wraz z postępującym kalectwem coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że najważniejszą rzeczą dla niewidomych jest możność czytania.

„Moja tęsknota za wzrokiem dotyczy przede wszystkim czytania" — Jest to wierny cytat z książki pt. „Ślepak" Jadwigi Stańczykowej. Nie ukrywam, że słowa te były dla mnie inspiracją do zajęcia się problemem czytelnictwa osób niewidomych i niedowidzących. Z pełnym rozmysłem napisałam:

PROBLEMEM

Liczba ludzi starszych wynosi obecnie w Polsce około 4,5 miliona, a przewiduje się, że już w 1990 r. (wg szacunkowych wyliczeń Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej) osiągnie 6 milionów osób. I prawie wszystkich z tej liczby można zaliczyć do osób niedowidzących. Nieznana jest liczba wszystkich osób niewidomych. Zarejestrowanych w Związku Niewidomych jest 62 000 a wiele przecież jest poza związkiem. Trudno operować danymi, jako że na tego typu kalectwo obowiązuje u nas aż 65 definicji (!) Chodzi bowiem o różną ostrość widzenia.

Myślę, że już przytoczone liczby w pełni uzasadniają słowo PROBLEM. Jest to rzeczywiście coraz bardziej rysujący się problem społeczny. Rozmiar zagadnienia wymaga od społeczeństwa już nie tylko aktu dobrej woli, ale wręcz określonych, konsekwentnych działań. Człowiek jest istotą złożoną, jednostką biopsychiczną. Jego potrzeby wychodzą dalej i sięgają głębiej niż sprawy bytowania. Niewidomi tęsknią za normalnym życiem. Najszerzej, najlepiej mogą je poznawać, w nim uczestniczyć poprzez czytanie.

KSIĄŻKA W ŻYCIU OSOBY NIEWIDOMEJ

poza funkcją informacyjną i rekreacyjną spełnia dodatkową rolę: kształtuje wyobraźnię, charakter i co jest bardzo ważne rozwija nowe zainteresowania. Nade wszystko pełni funkcję kompensującą. Zmniejsza poczucie izolacji wynikające z niemożliwości swobodnego poruszania się, poczucia uzależnienia od innych. Książka pozwala zapomnieć o tragedii kalectwa czy starości, zapomnieć o nieszczęściu i bolączkach dnia codziennego, bądź pozwala ową tragedię przynajmniej złagodzić.

Jeżeli zgodzimy się, że książka może zastąpić niewidomym cały świat informacji, nauki, rozrywki, to niewątpliwie bardzo ważne, jeśli nie najważniejsze, miejsce w niesieniu pomocy ludziom niewidomym i niedowidzącym przypadnie bibliotekom publicznym. Biblioteki winny rozpowszechniać informacje o istnieniu wydawnictw dla niewidomych, gdyż mogą być one ważnym czynnikiem przełamywania depresji po utracie wzroku. Sam kontakt z biblioteką jest także działaniem rehabilitacyjnym poprzez rozmowy, podanie odpowiedniej lektury — np. „Podręcznik dla niewidomych" — J. Bindta. Jest to podręcznik wydany i zwykłym drukiem i nagrany na kasetach, i wydany brajlem. Zawiera zbiór różnych rad i porad. Doskonałe też są książki T. Keitleu: „Pożegnanie z lękiem", czy „Ciemność przezwyciężona" pod red. T. Szczurka. Bibliotekarz ma możliwość zauważenia aktualnego stanu psychicznego czytelnika, ma zatem możliwość wyboru odpowiedniej lektury, co niemożliwe się staje w wypożyczeniach za pośrednictwem poczty. Nic bowiem nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego ludzkiego kontaktu. Miłe ciepło, wypowiedziane słowa mają także walor terapeutyczny, a dane o wieku i wykształceniu niewidomego są dodatkową wskazówką doboru dla niego literatury.

NIEPRĘDKO DOCZEKAMY SIĘ

w bibliotekach aparatu pod nazwą „Optacon". Pozwala on na odtwarzanie w formie wypukłej powiększonego kształtu zwykłych liter za pomocą wysuwanych szybko wibrujących pręcików. Dzięki temu aparatowi niewidomy może czytać książkę drukowaną każdym alfabetem.

Ważnym czynnikiem w poprawie czytelnictwa osób niedowidzących i niewidomych byłoby wprowadzenie do bibliotek książek drukowanych czcionką 14 punktową i większą. Nasi wydawcy jakby nie zauważali takiej konieczności. Tymczasem na takie książki oczekuje 1/5 mieszkańców Polski.

W innych krajach, np. w Stanach Zjednoczonych — 65 wydawców wydaje rocznie 4.000 tytułów — w Anglii, we Francji wydawane są książki pisane dużym drukiem na skalę masową. Wydawcy uważają, że jest to wizytówka ich społecznej działalności. Czyżby u nas zabrakło wrażliwości moralnej?

Istnieje konieczność wyposażenia wszystkich bibliotek również w „książki mówione" oraz wydzielenie literatury pomagającej w życiu człowieka ociemniałego i niepełnosprawnego. Tym, którym tak trudno jest się swobodnie poruszać, należy skrócić drogę dotarcia do informacji, do książki, do biblioteki. Wszystkich problemów nie rozwiążemy od razu, ale od czegoś trzeba przecież zacząć.

ELŻBIETA CIEPŁUCHA-PAWLICKA

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

STAROPOLSKIE ŚWIĘCONE

Tekst anegdoty zaczerpnęliśmy z artykułu Kazimierza Władysława Wójcickiego pod tym samym tytułem, zamieszczonego w „Tygodniku Ilustrowanym" z r. 1860 (nr 28).

(Na święcone u wojewody Sapiehy przybył szlachcic mazurski Jacek Jarzyna z małżonką). Po kilku dniach ochoty zasłabł a doktor nadworny, Niemiec, zabronił mu wina. Jarzyna smutnie opuścił głowę i ciągle tęskne oczy zwracał na zapleśniałe gąsiorki węgrzyna Wznoszono różne wiwaty. Mazur tylko wzdychał, ale gdy pić zaczęto zdrowie samego wojewody i jemu przyniesiono puchar. Troskliwa małżonka posadziła go pod oknem sali i dostrzegłszy, że w gwarze nikt nań nie zwraca uwagi:

— *Jacusiu* — rzekła — *wylej to wino, a nikt nie zobaczy.*

To było nad siły starego husarza.

— *Moja dzieweczko, wina się takiego nie wylewa i zdrowia się takiego nie pomija. Zaklęli mnie jak węża, żebym wypił.*

— *Przecież nikt nie widzi* — mówiła z cicha żona.

— *Ale pan Bóg widzi!* — rzekł uroczyście Jarzyna, a gromkim głosem zawoławszy — *zdrowie pana wojewody, a mego osobliwego przyjaciela* — spełnił do ostatniej kropli i z choroby wyzdrowiał, orzeźwiał od razu, śmiejąc się z przepisanej diety Niemca.

WYBÓR MĘŻA

Ozdobiona panienka wdziękiem i talentem,
Na stu swych wielbicieli poglądała
z wstrętem;
Ten wysoki, ten niski, ten tłusty, ten chudy,
Ten zanadto pocieszny, a z tym ciągle nudy;
Pogardzanych kochanków znikła rzesza cała
I piękność starą panną na zawsze została.

L. A. Dmuszewski (1935)

O KAWIE RÓŻNE WIEŚCI

W dziełku Tadeusza Podleckiego „Historia Indyi Wschodnich skrócona" (Wilno (1776) czytamy:

W krótkim czasie zażywanie kawy tak powszechnie weszło w zwyczaj, że były publiczne domy, gdzie zgromadzili się wszelkiego gatunku ludzie napić się przedażnej kawy i wzajemną konwersacją zabawić.

W Persji miejsca te stały się niesławnymi dla rozpusty, która tam siedliska swe zakładać poczęła. Gdy Abas zniósł te zgorszenia, kawiarnie stały się miejscem uczciwym rozrywki dla próżniaków i miejscem ulgi dla ludzi pracowitych.

(W Konstantynopolu) wieku przeszłego wielki wezyr Kuprolicząt, przebrawszy się, nawiedzał domy, tak te, gdzie kawę, jako i te, gdzie wino szynkowano. Postrzegłszy w pierwszych, gdzie zgromadzali się pospolicie ludzie z postępków rządu politycznego niekontenci i nań się uskarżający, rozumiał, że takowe schadzki są niebezpieczne w rządzie despotycznym i sprawił to, że zakazane zostały.

ZREWIDOWANE PRZYSŁOWIA

Niektóre z tych przysłów, drukowanych w krakowskim tygodniku „Liberum Veto" (1903 nr 13) nie straciły do dziś swej aktualności.

Nie suknia zdobi człowieka, ale... rękawiczki.
Uczy kiep Marcina, a sam... jest krakowskim profesorem filozofii.
Miłe złego początki, a... order jeszcze milszy.
Ziarnko do ziarnka, zbierze się... na księdza i trumnę.
Cierpliwością a pracą.. dorobisz się na starość kalectwa.
Powiedz panu prawdę w oczy, to... cię nazwie anarchistą.
Nim słońce wzejdzie... dobrze mieć już paszport zagraniczny.
Kto pod kim dołki kopie, sam... za niego awans otrzyma.
Nie taki diabeł straszny... o ile bierze łapówki.
Co kraj, to... za co innego do kozy cię wsadzą.
Póty dzban wodę nosi, póki... prokurator ucha nie urwie.

POCHWAŁA GĘSI

Dawno już w naszym „Bigosie" nie poświęcaliśmy miejsca rymom gastronomicznym. Dziś staroświecki wiersz na cześć gęsi, oczywiście pieczonej, zaczerpnięty z annałów „Tygodnika Ilustrowanego" (1859 nr 8):

Kto z was chce, mili bracia, smak utrafić
w mięsie,
Niech zjada należycie przyrządzone gęsie.
Miły z onych odorek na cały dom bucha,
A nie zabacz im jabłek wydłubać ze
brzucha,
To jak obczyścisz wszystkie te sosy i smalce
Od wielkiego ferworu będziesz lizał palce

Opracował.
ANDRZEJ KEMPA

Rytmika po nowemu

Wokół rytmiki panuje spore pomieszanie pojęć. W potocznym rozumieniu słowa ma się zwykle na myśli, prowadzone tu i ówdzie, zajęcia, mające na celu wyrobienie poczucia rytmu i „elegancji" ruchów. I też tylko tyle można się dowiedzieć z czterotomowej Encyklopedii PWN, przedwojenna zaś Encyklopedia Powszechna „Ultima Thule" znała tylko hasło: „rytmiczna gimnastyka", dostrzegając jednak, iż „W udoskonalonej formie, interpretując muzykę, służy jako środek wydobywania ekspresji i uczucia, a więc artyzmu". W obu zresztą źródłach znajdziemy odwołanie się do znanej w świecie metody Dalcroza co świadczy o tym, że nie o takie ujmowanie rytmiki wtedy chodziło, jakie mamy zamiar czytelnikom przedstawić.

Jeśli ktoś niezorientowany w nowoczesnym pojmowaniu rytmiki zetknął się po raz pierwszy z prezentacją umiejętności adeptów tego kierunku (jak np. na niedawnym popisie studentów Sekcji Rytmiki Akademii Muzycznej w Łodzi), tego mógł zaskoczyć przede wszystkim swoisty artyzm rytmiczno-ruchowych działań, wolnych od cech widowiskowości, lecz wyraźnie podporządkowanych układom zainspirowanym utworami muzycznymi. Nie była to zresztą ani (charakteryzowana przez encyklopedię) „gimnastyka rytmiczna", lecz coś znacznie więcej, ani nie był to balet, który mógłby stać się alternatywą owej gimnastyki.

Otóż przede wszystkim rytmika jest czymś zupełnie odmiennym od baletu, czymś o całkowicie odrębnych zadaniach, to bowiem co oglądaliśmy na popisie było (jak wydrukowano w programie) „realizacją muzyczno-ruchową" wybranych utworów, a młode wykonawczynie objawiły nam się raczej jako pokorne interpretatorki muzyki, nie zaś jako służące pięknemu ruchowi tancerki baletu Rytmika bowiem jako kierunek nauczania łódzkiej uczelni muzycznej i jako przyszła specjalność adeptów, polega na działaniach zmierzających do jak najlepszego zrozumienia (głównie przez samego studenta) całej „zawartości" dzieła muzycznego, a zarazem umożliwiających mu jak najbardziej osobistą wypowiedź artystyczną.

Nie wiem tego wszystkiego, oczywiście, sam z siebie, lecz zawdzięczam cierpliwemu wyjaśnianiu moich pytań i wątpliwości przez kierowniczkę sekcji, w stopniu starszego wykładowcy AM, Barbarę Ostrowską. Ale czymże ostatecznie różni się rytmika od sztuki baletowej — ciągle pytam w przeświadczeniu, że dobrze jest nieraz najpierw ustalić, czym coś nie jest. Otóż nie sposób się nie zgodzić, że punktem wyjścia jest w rytmice bodziec muzyczny, a jej głównym zadaniem przełożenie dźwięku na odpowiednik ruchowy. A przy tym ruch w rytmice nie jest, w przeciwieństwie do baletu wartością samą dla siebie.

Usiłuję ciągle podważyć te (przedstawione tu pobieżnie i w znacznym uproszczeniu) wyjaśnienia pani Ostrowskiej, której realizacje (powiedziałbym „kompozycje") muzyczno-ruchowe złożyły się na część pierwszą ogromnie zajmującego popisu. Próbuję zwłaszcza przeciwstawić tym teoretycznym sformułowaniom swoje wrażenia na temat jej programu. O ile bowiem (jak zauważam) w interpretacji Presta z Koncertu Brandenburskiego G-dur Bacha widać było, iż zadaniem wykonawczyń jest odczytanie struktur muzycznych utworu, o tyle w Allegrze z Kwartetu smyczkowego G-dur op. 18 Beethovena przebijała się w niejednym momencie treść emocjonalna, a już w muzyce współczesnej, tj. „Czterech esejach" Tadeusza Bairda i w „Divertimencie na 2 fortepiany i perkusję" Jerzego Bauera dochodziła chwilami do głosu dramatyczna ekspresja (według mojego odczucia).

A w drugiej części popisu poza „Wiosną" z „Czterech pór roku" Vivaldiego (znów rygorystycznie podporządkowaną formalnym elementom muzyki) w realizacji Magdaleny Wielech, studentki V r., zarówno w „Obrazkach węgierskich" Bartoka (st. asystentki Alicji Rychlickiej), jak i u Romualda Twardowskiego „Nomopedia cinque movimenti per orchestra" (asystentki stażystki E. Muchewicz) pojawiały się momenty, kiedy się zdawało, że za chwilę wyjrzy zza węgła fabuła. Czyż więc na niezłomnie strzeżoną przez rytmikę cnotę czystości muzycznej nie dybie bezwstydnie balet? I czy na rytmikę nie nachodzą chwile słabości, żeby mu ulec? Nie w tej formie, co prawda, zadawałem podobne pytania pani Ostrowskiej, która odżegnywała się od takich odstępstw od surowych zasad, których rytmika musi przestrzegać, by nie utracić swej artystycznej tożsamości.

I trzeba przyznać, że cały program i system kształcenia muzycznego przyszłych specjalistów rytmiki służy konsekwentnie swoim głównym zadaniom. Służy więc uwrażliwieniu studenta na wszystkie elementy dzieła muzycznego, uczy go dokonywania analizy formalnej utworu i w ogóle teorii muzyki, szkoli go w umiejętności improwizacji fortepianowej w różnych stylach muzycznych (wymaga więc sprawnego opanowania instrumentu), kształci też nieustannie wyobraźnię ruchową, zapewnia zdobycie wysokiej kondycji i sprawności ruchowej dzięki gimnastyce artystycznej, kształci w pedagogice

Wymownym dowodem wysokiej rangi rytmiki w łódzkiej uczelni jest przeniesienie sekcji z Wydziału IV (Wychowania Muzycznego, przy którym rytmika w innych uczelniach polskich nadal istnieje) na Wydział I (Teorii, Kompozycji i Rytmiki) na miejsce dawnej dyrygentury, która jest obecnie tylko chyba w dwóch Akademiach Muzycznych. Ulokowanie rytmiki na wydziale nastawionym na twórczość jest chyba posunięciem słusznym z uwagi na wielorakie, wymagające wiele inwencji zadania absolwentów w przyszłej pracy zawodowej — czy to w szkolnictwie ogólnokształcącym lub muzycznym, czy też baletowym i aktorskim, czy w domach kultury (m.in. w zespołach tańca ludowego dla dzieci, do czego studenci też są przygotowani), czy wreszcie w teatrach dramatycznych (zupełnie osobnym zagadnieniem jest rozwijająca się obecnie — we współpracy z medycyną — rytmikoterapia).

Foto: Grzegorz Galasiński

Jeśli tak dużo wymaga się od przyszłego nauczyciela lub instruktora rytmiki, musiała też różnymi drogami dochodzić do swojej dzisiejszej funkcji Barbara Ostrowska, która ukończyła rytmikę w średniej szkole muzycznej, potem teorię w szkole wyższej (łącznie z sekcją rytmiki na IV Wydziale), ponadto międzywydziałowe studium dyrygowania. Zdobywała też cenne doświadczenia jako kierownik muzyczny teatru, a obecnie — prowadzi dodatkowo rytmikę i umuzykalnienie w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej.

Rytmika w tym nowym wydaniu cieszy się u nas dużym zainteresowaniem, ale niestety, niewielu spośród pomyślnie zdających można przyjąć na I rok, nawet przekraczając czteromiejscowy limit. W tym roku ukończy szkołę pierwszych pięć absolwentek sekcji rytmiki. Na pytanie, czy jest to zawód wyłącznie damski, zapewnia pani Ostrowska, że uzdolnieni chłopcy (oczywiście po średniej szkole muzycznej) byliby chętnie widziani.

Wydaje się więc, że zwiększenie jakże skromniutkiego limitu przyjęć byłoby pożądane, jeśli rytmika przez to największe „R" ma spełniać swoje zadania i zaspokajać społeczne potrzeby. Życzyć by też należało, żeby jak najszybciej ugruntowała się świadomość, że specjalista od rytmiki, zwłaszcza nowocześnie kształcony, jest muzykiem pełnowartościowym.

JERZY KWIECIŃSKI

Dom, ale jaki?

Miejscem samorealizacji człowieka w sferze jego potrzeb kulturowych, intelektualnych a przede wszystkim emocjonalnych jest między innymi dom. Dokładniej, rodzina. Instytucja ta, której zawsze nadawano wysoką rangę, wciąż jest obserwowana przez socjologów i psychologów. Dom, rodzina, ich funkcje społeczne i kulturowe są także stałym tematem dla twórców literatury i kina. W konkretyzacjach artystycznych tego tematu nie brak stwierdzeń banalnych, sentymentalnych czy po prostu nijakich.

Debiut fabularny Marka Koterskiego, który dał się poznać jako autor interesujących filmów dokumentalnych, zatytułowany „Dom wariatów" podejmuje właśnie ów temat rodziny. Trzeba powiedzieć od razu, że diagnoza, którą stawia reżyser nie pozwala na obojętność. Spróbujmy zatem przyjrzeć się rzeczywistości, którą „Dom wariatów" przedstawia.

Celebrowane, wieczorne czyszczenie butów, misterne układanie spodni w kostkę, zapobiegliwe zaopatrzenie lodówki i rytuał picia herbaty. Towarzysząca tej przyjętej konwencji psychologiczna nadbudowa jest równie ponura i równie konwencjonalna. Postaci tego filmu zajmują się przede wszystkim przedmiotami, przedmiotowo traktują także siebie nawzajem, oddzieleni od siebie i zewnętrznego świata. Owszem posiadają i telewizor, który błyska bezgłośnie z wyłączoną fonią: świat nie jest wart uwagi. I wreszcie pancerne drzwi — zamki, zasuwki, zatrzaski i łańcuchy. Sami domownicy gubią się już w tym systemie zamknięć i kluczy.

Obraz takiej rzeczywistości, którą tworzy film Koterskiego, mógłby się wydawać śmieszny czy komiczny, gdyby nie to, iż można go odnosić do obserwowanych przez nas dookoła realiów. Na tym jak się wydaje polega zasadnicza wartość „Domu wariatów".

A środki artystyczne, przy pomocy których reżyser kreuje ów ekranowy świat? Proste, prawdopodobne wydarzenia fabularne i dobrze zagrane role, mimo swoistego weryzmu kierują wyobraźnię widza w stronę groteski i absurdu. Rodzi to pewne niebezpieczeństwo. Rozbawiony widz może nie zauważyć, że nie warto tak żyć jak żyją bohaterowie filmu.

Przesłanie filmu Koterskiego staje się bardziej klarowne w obliczu dramatu młodych, którzy dorastają w takich domach i takich rodzinach. Desperacka rezygnacja bohatera filmu Adasia z życia wśród ludzi, błazeńska postawa jego brata, wreszcie samobójcza próba szwagierki dopełniają katastrofy inscenizowanego przez reżysera świata. Zacząć więc od nowa? Ale jak? Nawet powrót do dzieciństwa wydaje się problematyczny. Można przecież zadać pytanie, czy dzieciństwo w ogóle, szczęśliwe czy nie, rzeczywiście determinuje kształt przyszłego życia. Selektywna pamięć Adasia wraca najczęściej do mementów niedobrych, które pozwalają rozumieć raczej obecną sytuację rodziców, a nie jego samego. Jeśli reżyser chciał przy pomocy tych powrotów w przeszłość charakteryzować bohatera, to nie wypadło to najlepiej. Nie jestem przekonana o mądrości porzekadła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni!

Koterski nie proponuje w filmie żadnego alternatywnego rozwiązania albo rozwiązanie to jest nazbyt wieloznaczne. Zmusza bowiem do pytania: kogo leczyć? W cywilizowanych społeczeństwach istnieją instytucje, zwane powszechnie domami wariatów, ale tam leczy się ludzi chorych. Nie jestem przekonana aby którakolwiek z postaci filmu wymagała tak drastycznej pomocy. Poza tym wydaje mi się, że podstawowa intencja filmu — apel o powszechną mobilizację świadomości społecznej, o człowieczą godność — nie została przez reżysera wyraźnie wyartykułowana. Tak czy inaczej wynika z filmu, że warto przewietrzyć w głowach, że trzeba zacząć myśleć i każdy musi to zrobić sam, na swoją miarę i zgodnie z własnymi możliwościami.

Tyle dobrego o filmie Marka Koterskiego. „Dom wariatów" nie jest niestety utworem zbyt udanym. W tym klasycznie do pewnego momentu konstruowanym obrazie nagle pojawiają się retrospekcje. Jak sądzę, za późno i w sposób nader mechaniczny. Gdyby chodziło o próbę wewnętrznej charakterystyki Adasia przy pomocy takiego zabiegu, to należałoby posłużyć się nim wcześniej. W innym momencie filmu, może nawet opowiadać w ten sposób od samego początku. Postać bohatera filmu przybrałaby wówczas charakter bardziej klarowny i pełny. A tak, cóż? Widz ogląda niezbyt młodego już człowieka, który nie potrafi poradzić sobie z własnym życiem. W sumie brak więc w filmie przekonujących argumentów, które zdolne byłyby poruszyć widza dramatem Adasia. Wprawdzie jest w „Domu wariatów" jedna retrospekcja, która różnicuje przeszłość bohatera, zakłóca jej jednostronny wymiar, jednak widz może jej nawet nie zauważyć.

Te niezręczności w posługiwaniu się przecież już oczywistymi sposobami filmowego opowiadania odbierają obrazowi Koterskiego kinową urodę, a widzowi pełną satysfakcję.

KRYSTYNA NAWROCKA

Kronika kulturalna

W NIEDZIELĘ, 20 kwietnia br. odbyła się kolejna premiera w Teatrze Studyjnym'83 im. Juliana Tuwima. Przedstawienie nosi tytuł „Krótko na styku". Scenariusz i reżyseria — **Paweł Nowicki**, scenografia — **Ewa Kwiatkowska**, piosenki — **Janusz Maciej Grzelązka**. Kolejne przedstawienia zostaną pokazane od 6 do 11 maja.

POKONKURSOWĄ wystawę projektów na pomnik — rzeźbę Matki-Polki otwarto w poniedziałek, 21 kwietnia w Galerii Łódzkiej Muzeum Historii Miasta Łodzi przy ul. Ogrodowej. Organizatorami wystawy są Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Przedsiębiorstwo Państwowe Pracownie Sztuk Plastycznych Oddział w Łodzi.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH w Łodzi zorganizowało w Salonie Sztuki Współczesnej (Piotrkowska 88) wystawę pn. „**Jacek Włodzimierz Papla — grafika**".

TEGOROCZNYM laureatem nagrody im. Andrzeja Munka za najlepszy debiut filmowy (fabularny) został **Jacek Kowalczyk**, autor filmu pt. „Głód". Film opowiada o losie kilkunastoletniego chłopca w getcie warszawskim. Zdjęcia są dziełem **Krzysztofa Ptaka**.

TRZYDZIESTOPIĘCIOLECIE obchodził łódzki oddział Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Łódzka oficyna wydała dotąd 10,5 tysiąca tytułów o łącznym nakładzie 26,5 milionów egzemplarzy. Znaczną część jej dorobku wydawniczego stanowią pozycje związane z Łodzią i regionem łódzkim.

W uroczystości jubileuszowej wziął udział członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz KŁ **Tadeusz Czechowicz** i przewodniczący RN m. Łodzi **Mieczysław Serwiński**.

Krzyżem Komandorskim OOP odznaczono dyrektora PWN w Łodzi **Jerzego Górczaka** a Krzyżem Kawalerskim **Alinę Kaczorową** i **Danutę Lubelską**. Przyznano także **Złote, Srebrne i Brązowe Krzyże Zasługi**.

WICEMINISTER Kultury i Sztuki PRL **Tadeusz Zachariasiewicz** przebywał w Moskwie i przeprowadził rozmowy z przewodniczącym Państwowego Komitetu ZSRR do spraw Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa **Michaiłem Nienaszewem** oraz z przewodniczącym Wszechzwiązkowej Agencji Autorskiej **Nikołajem Czetwiertkowem**. Spotkał się również z wydawcami radzieckimi.

Omówiono sprawy współpracy między wydawnictwami obu krajów oraz w dziedzinie przekładów literatury polskiej w ZSRR i radzieckiej w Polsce.

W BYTOMIU i na scenie teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach zespół baletowy Opery Śląskiej dał premierę „Tryptyku baletowego". Autorami muzyki poszczególnych części są: **Krzysztof Penderecki, Gustaw Holst i Wojciech Kilar**. Choreografia — **Andrzej Grabowski i Marian Żak**.

ODWOŁANO (niestety...) spektakle „Złego zachowania" w Łodzi. Czy kiedykolwiek łodzianie zobaczą ten słynny już utwór sceniczny?

RAFAŁ ORLEWSKI

Ballada z Krzywej

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi" — tak słowami poetki można by opisać postać 12-letniego ongiś Heńka przekraczającego bramę zakładu Brauna, a wkrótce potem piotrkowskich hut szkła. Lecz byłby to opis z wyobraźni: gdzieżby się tam dochowały jakieś fotografie, zresztą nie było pieniędzy na taki zbytek. Ale i dziś Henryk Ratajski (rocznik 1912) niewiele się różni w posturze od obrazu z powyższego incipitu wiersza Konopnickiej. Oczywiście jasne oczy utraciły młodzieńczy blask, chude i drobne plecy się pochyliły, twarz poorała zmarszczkami. Jakoś się przekroczyło siedemdziesiątkę — powiada. Jakoś? Owszem, niejeden taki życiorys wśród prawdziwych robotników. To znaczy takich — wyjaśnia — którzy naprawdę cenią i kochają pracę. Jak się dziś patrzy na wielu, niby to robotników, co to kombinują jak się nie narobić a zarobić, to człowiek nie może tego pojąć. Taki nie rozumie, co to znaczy nie mieć pracy. Albo pracować w tamtych czasach...

Płynie więc opowieść o tamtych czasach, o innym życiu, pracy, walce. O robotniczym rodowodzie. Mój dziadek, Józef mu było — opowiada Henryk, wyciągając ze starej damskiej torebki mocno podniszczone i pożółkłe dokumenty, z których wynika, że dziadek żył w latach 1857—1933 — chciałem więc powiedzieć, że dziadek był murarzem. O, mury wokół cmentarza, co go nazywają nowym to jego dzieło. A i niejeden grobowiec, łącznie z tym naszym rodzinnym... Dziadka nie bardzo już pamiętam. Jego syn a mój ojciec miał na imię Wilhelm. Znów stary świstek papieru: życie Wilhelma zawarło się w latach 1882—1957. Z legitymacyjnej fotografii patrzy twarz o rysach łudząco podobnych do twarzy Henryka. Ojciec nie poszedł w murarskie ślady dziadka, został hutnikiem. Pracował na „Karze" i „Feniksie". Jak na dłużej zachorował, robiłem za niego i za siebie. Swoją zmianę w „Hortensji", a potem biegiem na „Feniks". Tak chyba z półtora miesiąca.

Wilhelm ożenił się z Bronisławą Gliszczyńską. Ledwo ją pamiętam, a piękna była i zamożna jak na tamte czasy. U wylotu Krzywej miała plac z ogródkiem i drewniany domek, trochę złotej biżuterii. Byłem już dorosły, kiedy fałszywi kumple okradli mnie z tych pierścionków. Odtąd ciągle mi się zdaje, że złodzieje na mnie dybią. Ledwom pięć lat skończył, matka umarła. To jej zdjęcie. Rzeczywiście urodziwa dziewczyna! Zniszczył ją tyfus. Jeszcze przed śmiercią zleciała się rodzina, by po niej zawładnąć czym się da. Ale, nie mogąc już mówić, oczami wskazywała na pięcioletniego syna. I tak do dziś żyję na tym pomatczynym skrawku ziemi. Tyle że dom po niej już nie istnieje. Postawiłem nowy, cholernie się z tym męczyłem. Całą powojenną dojrzałość, kilkanaście lat, zabrała mi ta budowa.

Zapomniałem powiedzieć, że matka urodziła dwoje dzieci, to drugie zmarło jako niemowlę. Może to lepiej, że się jedna, a nie dwie sieroty zostały. Dwadzieścia osiem lat przeżyła i poszła za dziadkiem — do zbudowanego przez niego grobu: niedaleko od wejścia, przy głównej alejce.

Co to ja chciałem... ano — ojciec znów się ożenił, wziął sobie osiemnastolatkę, Janinę Szyposzyńską. Miał z nią czworo dzieci. Dziwna była ta moja macocha. Nie zabiegała o dom, jak to inne kobiety, a jak tylko mogła to godzinami czytała książki. Nieraz jej się za to od męża dostało, ale nie pomogło. A w domu biedą coraz bardziej piszczało jak myszy pod podłogą. Dla mnie nie była zła, ale matki zastąpić nie umiała. Myślę, że i jej nie było lekko, nie nadawała się do tych warunków, chociaż z żadnej tam szlachty nie pochodziła. To już taki „wyrodzony" charakter. No i nie nażyła się długo, ledwie 47 lat.

Do szkół nie chodziłem. Macocha i inni, jej znajomi, uczyli mnie ze dwie zimy, tak że jako tako czytać i pisać potrafię. Wcale nie byłem wyjątkiem, kogo to wtedy było stać na naukę! Ino się trochę od ziemi odrosło, a już trzeba było szukać roboty, jakiś grosz zarobić i nie być darmozjadem. Jak też mi lat 12 strzeliło, posłali mnie do roboty u Brauna. Na krótko, bo trafiło się miejsce na „Feniksie". Przez prawie trzy lata byłem pomocnikiem, robiłem co kazali. Płacili jak się płaciło dzieciakowi, ale musiałem nieźle się starać, skoro już jako 15-latek zostałem przyjęty na robotnika w „Hortensji". Ponad 35 lat tam pracowałem. Nie do emerytury, bo zdrowie wcześniej się popsuło: rozedma płuc, astma. Dostałem rentę chorobową i odszkodowanie, dokończyłem budowy domku, ale prawie do siedemdziesiątki musiałem stróżować na pół etatu w „Ochronie Mienia".

Z huty odszedłem dopiero w 1963. Czyli kawał po wojnie. Wracam więc do przedwojny. Bo muszę powiedzieć, że wcale tak gładko nie szło z tą robotą. Wiadomo, huta nie do robotników należała, a do kapitalistów. Jak się zaczynały lata trzydzieste, to coraz gorzej było. Obcinali te groszowe stawki, wyrzucali z roboty. Nie mogliśmy się z tym pogodzić, trzeba było toczyć walkę. Organizowały ją związki zawodowe, u nas mocny był związek chemików. Jednak coraz trudniej było się dogadać. Wyczerpywała się cierpliwość robotników, no bo jak żyć bez roboty, jak rodzinę utrzymać?

Niektórzy czytali gazetę, którą wydawał Związek Robotników Przemysłu Szklanego. Nazywała się „Szklarz". Kiedyś przychodzę ze zmiany, a macocha płacze i zamiast książki tę gazetę w ręku trzyma. Czego płaczesz pytam. Czego? — zachlipała głośniej — ten twój głupi ojciec znów się w złe sprawy wdał. A obiecywał, że nie będzie się zadawał z tymi nożownikami z baraków, z tymi... jak ich tam zwą, socjalistami, bolszewikami! Znowu go nosi, znów takie gazety. O, co oni piszą: „Celem pisma jest zapoznawanie członków z tym, co ich obchodzić musi jako żołnierzy jednej wielkiej walczącej o swe wyzwolenie z pęt wyzysku i ucisku armii proletariatu". A tu wyżej piszą, że ten ich związek „w Wasze ręce, Towarzyszu, pismo to z radością oddaje, wierząc głęboko, że ono jeszcze jednym silnym węzłem nas wszystkich powiąże i cele nasze i zamierzenia spełnić skutecznie dopomoże". Przeczytała i przestała płakać, ale nie na długo, tego samego dnia ojca zamknęli. Razem z tymi, którzy nawoływali do strajku. Przesiedzieli w ciupie parę tygodni, a przecie żaden w tym czasie grosza nie zarobił.

Tak to się zbierało i rosło z każdym dniem napięcie, jak wrzód jaki. Aż ten wrzód pękł w styczniu 1932. Mróz jak diabli, dzieci marzną w domu, ani czym napalić, ani niewiele co zjeść. A baron Haebler obcina stawki o 25 procent. Tego było już za wiele. Komuniści i pepesowcy zorganizowali komitet i ogłosili w „Hortensji" strajk okupacyjny. Pamiętam tych hutników: tokarz Krause, topiarz Malicki, formierz Zając, Stasiek Gruszczyński, Doliński... I pamiętam nazwisko dyrektora: Krystman.

Przez siedem długich tygodni okupujemy fabrykę. Trzymamy różne służby, pełnimy dyżury strajkowe. Pilnujemy, żeby do fabryki nie dostała się policja, żeby nie pobili nas prowokatorzy. Uzbroiliśmy się jak można było: w widły, flegajzy, kamienie, żelazne garnki i kotły. Część tego zgromadziliśmy na dachach budynków fabrycznych.

Żywność dostarczano nam przez ogrodzenie. Uruchomiliśmy kuchnię, gotowaniem zajął się majster Gudwić. Niektórzy wychodzili na jedzenie do domu. Wójcikowski przytaskał skądś beczkę kiszonej kapusty. Przynosiły jeść nasze kobiety, niektóre dzieci, a też biedota żydowska. W hucie pracowało chyba ze dwa tysiące ludzi.

Od pierwszych dni strajku próbowała rozpędzić go policja. Nie daliśmy się, bo i ci z zewnątrz nam pomagali. Rzucali kamieniami w policjantów. Zdarzały się sceny wyjątkowe. Nigdy nie zapomnę, jak ta moja młoda macocha przyszła z garnkiem gorącej zupy i jak na złość trafiła na szarżę policji. Kto by się po niej spodziewał: uderzona pałką chlusnęła tą zupą w policjanta. Skamieniałem ze zdziwienia, ale zaraz też ze strachu o nią. Jakoś się im wymknęła.

Jednego dnia na piecu czyli na wannie odbywał się wiec. Prowadziła go robotnica, Romanowiczowa. Mój bliski kolega, Maniek Szafraniec, zaczął mnie namawiać, żebym też zabrał głos. Nie, Maniuś, mówię, ty masz więcej wykształcenia, umiesz gadać do ludzi, lepiej to zrobisz niż ja. I Szafraniec stanął koło Romanowiczowej. Przemówił, żądając poprawy warunków dla robotników.

Wzburzenie zebranych rosło. Kiedy wiec się skończył, ruszyliśmy ku portierni. Portierem był Niemiec. Zobaczyłem, że celuje w nas. Krzyknąłem: „uważajta, bo strzela!" I ten drań wystrzelił. Kula odbiła się od bruku i zraniła w czoło Piotrowską, jej ojciec pracował w łaźni przy ulicy Piłsudskiego. Rozwaliliśmy portiernię, wyważyliśmy bramę, dostało się Niemcowi. Ale portier pozbierał się i znów zaczął strzelać. Trafił Eugeniusza Domarańczyka, dziurawiąc mu płuco. Gienek wylizał się z tego, ale zdrowia nie odzyskał. Umarł przedwcześnie, bodaj za okupacji hitlerowskiej. Pamiętam Domarańczyka: był dobrze zbudowany, silny, o kilka lat ode mnie starszy. A, nie miał lewego ucha. To właśnie on ruszył do szturmu na portiernię i portiera z okrzykiem: „Ja go wezmę!" Ścięła go kula, a ja cisnąłem w portiera robotniczym napojem — butelką czarnej kawy zbożowej. Potem w tym rozgardiaszu dostrzegłem Gruszczyńskiego. Złapałem go za ramię i wycofaliśmy się do hali. Natłukliśmy sporo szyb, rozbiliśmy żelazne formy i uciekliśmy bramą kolejową, bo główną, tą wyważoną, już się nie dało — ściągnięto policyjne posiłki aż z Łodzi.

Szkoda, że wcześniej nie kazałem córce spisać moich wspomnień. Po tylu latach pamięć się skurczyła. Kołaczą się tylko niektóre nazwiska. Pamiętam, że Adam Doliński był przewodniczącym strajku i jego głównym organizatorem. Kto jeszcze? Marian Koczwarski, jego mało pamiętam, lepiej innych — Mariana Skibę, Władka Trawińskiego, Michała Szajdera. Ciepło wspominam mojego majstra, Mermera. Pracowaliśmy razem długie lata, wtedy i po wojnie, na ciągowni. Dużo rozmawialiśmy na tematy robotnicze, majster wywarł mocny wpływ na moją świadomość. Klasową muszę zaznaczyć, bo dzisiaj mniej się o taką świadomość dba.

Trzeba też powiedzieć, że wśród nas nie brakło łamistrajków, chociażby taki Wacław Szczypiorski, który na zebraniu przy Topolowej, niedaleko „Kary" namawiał ludzi, żeby wrócili do pracy bez stawiania robotniczych warunków. Później dowiedziałem się, że nasz strajk był głośny w całej Polsce.

No i znów się pracowało albo siedziało w domu po kolejnej redukcji, a dzień za dniem schodził — jak to po dwudziestce, czas szybciej pędzi. W 1935 roku ożeniłem się z Anielą Cieciurówną z Polanki i tak zaczęło się życie nowej rodziny. Młoda żona miała wielki wpływ na mnie. Przepędziła koleżków, zmusiła do zajmowania się domem. A jednak był to piękny czas. Długo nie mieliśmy dziecka, za to dużo czasu, a rodzina rozległa, liczna. Więc bywaliśmy wszędzie, zawsze we dwoje, choć niekiedy zdarzało mi się zostawić wszystkich i pieszo dralować parenaście kilometrów do domu. Powód? Byłem zazdrosny. To już tak jest, że w towarzystwie znajdzie się taki, co się przypałęta do młodej kobiety — że niby to zabawia, a przymila się, komplimenta sypie, wzrokiem poraża. No, tokuje. Toteż najszczęśliwszy byłem z nią w domu. Sam na sam. Nienasycony miłością. Tak, to były piękne lata — świat poza nami jakby się oddalił albo zasłonił zielonozłotym welonem... Dopóki się taki welon gwałtownie nie przerwał.

Rok 1936, w „Hortensji" znowu strajk. Poza tymi, których już wymieniłem, kierowali nim młodzi komuniści: Stasiek Biedroń, Władek Gaworczyk, Bolek Jabłoński. Pamiętam jak samochód z dyrektorem Krystmanem wywrócono do góry kołami... przypomniał mi się Roman Kilanowski, bliski towarzysz Trawińskiego w robotniczej walce, i Jan Stępień — a ten kiedyś wyrwał sztandar narodowcom, gdy po swoim zebraniu paradowali na Rokszyckiej.

No i nie wiadomo kiedy przyszła wojna. Jakoś udało mi się pozostać w hucie. W którymś roku wywieźli mnie na trzy miesiące, na okopy. Kopaliśmy je tam, gdzie teraz piotrkowscy harcerze mają obozy, w Trzechmorgach. Muszę się kiedy wybrać w te strony, dobrzy tam byli ludzie, może spotkam tych, którzy mi wtedy pomagali, jedzenie przynosili. Ale wcześniej, już we wrześniu 1939 o mało co nie pożegnałem się z życiem. Uciekałem z żoną z miasta w kierunku lasu. Nie szło przyśpieszyć, bo Aniela była w ciąży. No i wpadliśmy Niemcom w ręce. Dwóch ich było. Jeden taki młody zaraz mnie obszukał i znalazł brzytwę. Od razu podniósł karabin. Ten drugi, dużo starszy, spojrzał na brzuch żony i gwałtownie odsunął podniesioną broń. Tak to kostucha mnie ominęła.

Za Niemców żyło się jeszcze gorzej niż w kapitalistycznej Polsce. Ciągle głód, ciągle strach — już nie tylko o nas dwoje, ale najbardziej o maleńką Anię, która przyszła na świat w styczniu 1940. Dobrze że mogłem pracować na miejscu, że mnie nie wywieźli. Aniela dorabiała szyjąc w domu, a ja biegałem do huty najkrótszą drogą — przez Budki. Kiedyś, jeszcze po ciemku, idę do pracy i tuż przed Budkami słyszę: halt! Stanąłem. Żandarm zaświecił mi latarką w oczy, wylegitymował i kazał iść do huty inną drogą. Zawróciłem, ale przykucnąłem za krzakiem. Świt malował niebo na szaro, a ja patrzyłem z przerażeniem: na Budkach dokonywano nowej zbrodni. Rozstrzeliwano 20 polskich komunistów. Poznałem wśród nich Jarneckiego, chociaż znałem go tylko z widzenia. Zanim padły strzały, zaciągnął drżącym głosem „Jeszcze Polska nie zginęła..." Wymknąłem się z ukrycia i nie mogąc powstrzymać łez poszedłem do huty.

Przyszedł styczeń 1945. Nareszcie wyzwolenie. Żona w ciąży, za kilka miesięcy urodzi drugą córkę, trzecia powiększyła rodzinę po następnych pięciu latach. A teraz pierwsze dni wolności. Niby na co dzień tak samo: fabryka — dom — fabryka. Ale jaki inny nastrój! Skończył się strach, w hucie wre robota, bo nawet bez słów i zebrań, choć po prawdzie ich nie brakowało, to każdy spojrzeniem mówił: nasza teraz huta. No, nie wszystko się zmieniło — bieda wciąż nas gryzła. Niektórzy szybko, aż za szybko sobie z nią radzili, ale czy to kiedy brakowało kombinatorów i cwaniaków? Tylko że ja się do nich nie nadaję. Może by mi się polepszyło, gdybym szkołę miał i lepsze zdrowie. Ino po czym miałem być zdrowy, po nędzy żrącej przez tyle lat? Nędza zawsze kusi chorobę. A ile się te nie dożywione płuca nadmuchały w szkło.

No dobrze, dosyć narzekania. Bo muszę wrócić do tego pamiętnego stycznia. Rosjanie przegnali Niemców z Piotrkowa i przyszli do mnie. Tak jest, do mego starego domu. Trzech żołnierzy i oficer. Ciasnota, ale mieszkali przez dwa tygodnie. Że też nie zapamiętałem żadnego nazwiska... A byli uprzejmi, nawet serdeczni. Czasem głupio mi było — co to przed wojną nie opowiadano o bolszewikach! Oficer często zabawiał moją 5-letnią córkę. Pamiętała o tym do końca swego krótkiego życia. Co? Ano to największe w moim życiu nieszczęście. Nie dożyła czterdziestki i osierociła dwoje małych dzieci. W lipcowy upał 1979 roku pochowaliśmy ją w grobowcu pradziadka Józefa. Przepadam za wnukami, odwiedzam je i wciąż myślę o tym samym: czy nie dosyć było mojego sieroctwa? Kto zrozumie los człowieka? Umiera ten, komu się powinno mieć na życie, kto jest innym potrzebny. Żona, chorując przez całe powojnie, nieraz gadała o śmierci — jak to człowiek chory. Oboje więc nie mamy zdrowia, a przyszło nam na stare lata, częściej niż ktoś by się spodziewał, chodzić na cmentarz — na grób córki.

To znowu, jak na przykład w telewizji mówią o nowej wojnie, krew mnie zalewa, że świat musiałby chyba na łeb upaść, bo jakże to — mało było wojen i właśnie sierot? Nawet na starość nie ma spokoju. Taki los człowieka, zawsze niepojęty.

No cóż, zebrało mi się na gadanie o sobie. Miało być o historii naszego miasta? Przecież mówiłem, że nie mam szkoły, a pamięć we mgłę ucieka. Ale jak patrzę na swoje życie i na to miasto, gdziem się urodził i to wszystko przeżył, to jakbym czegoś z historii słuchał — coś takiego opowiadała niegdyś macocha: że były dawne czasy, królowie, szlachcice, że chłopy się biły kosami ze szlachtą... Musi, wtedy nie było robociarzy. Później byli i też się bili, choć nie kosami. Ale mieli swój honor i każdy chciał człowiekiem być — o to się bili najwięcej. I to też poszło w dawne czasy, a nowe są zupełnie inne, tylko czy młodzi to rozumieją? Czy chciałoby się im o takim życiu jak moje posłuchać? Nie uwierzą. Czasem sobie myślę, że nie wierzą, bo to im niepotrzebne — takie bajanie starych o dawności. No i niech tam, niech nie wierzą, ale co do jednego bym im nie ustąpił. Jak by się robotnikowi nie żyło, lepiej czy gorzej, jakiej by nie budował nowoczesności i wygody, dla siebie — zawsze powinien mieć swoją robociarską świadomość i godność, a przed wszystkim innym stawiać umiłowanie pracy. Może ja tu dziwne rzeczy mówię, ale takie mam przekonanie: ja, stary hutnik z „Hortensji", zwykły człowiek, nawet bardziej szary od innych, co ze mną byli w hucie i strajkach, bo nikt mi orderów do klapy nie przypinał, ale ludzie mnie lubili i do dziś mam szacunek u tych, co mnie znają.

I powiem coś jeszcze, tak mi nagle przyszło do głowy. Chciałbym, żeby w moim z dziada pradziada Piotrkowie każde życie tworzyło życiorys miasta. Czy to się nazywa historią? Nie wiem. Wspomniałem to i owo ze swego życia — nawet sporo mi się tego przypomniało. Może dlatego, że pamięć jest trochę podobna do szkła. Ono też jest kruche, ale jak się je w trudzie uformuje, to jakby życia nabrało.

Cząstka przyrody

W powojennej poezji amerykańskiej dają się zauważyć dwie zasadnicze tendencje — pierwsza, nieco skostniała, odwołuje się głównie do archetypicznych, uniwersalnych założeń poetyki modernistycznej; znajduje ona swoje odzwierciedlenie w tzw. poezji akademickiej. Tendencja druga charakteryzuje się licznymi eksperymentami formalnymi, nowym spojrzeniem na rolę i zadania poety, i wreszcie poważnymi przeobrażeniami światopoglądowymi, stanowiącymi bodaj najsilniejszy impuls dla twórców nowej poezji. Powstałe w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych grupy poetyckie wysunęły tezę o upadku powszechnych ideałów humanistycznych, których próbowali niegdyś bronić moderniści. Pogłębiający się kryzys wartości, komercjalizacja wszystkich aspektów życia jednostki, samotnej i wyobcowanej na tle stechnicyzowanego świata, zrodziły potrzebę ucieczki do wnętrza ludzkiej psychiki, skłaniały do osobistych zwierzeń i zwiastowały powrót do bezpośredniości wyrazu poetyckiego. Poddano krytyce niektóre teorie poetyki T. S. Eliota, zaatakowana została również inna monumentalna postać poezji anglosaskiej Ezra Pound, któremu zarzucano zbytnie wyrafinowanie intelektualne i erudycyjną oschłość, pozbawiającą poezję czaru i swobody.

Na niezwykle zróżnicowanym i dynamicznym tle współczesnej poezji amerykańskiej szczególnie oryginalnie zabrzmiał pod koniec lat pięćdziesiątych głos poetów z kręgu „Deep Image", zgrupowanych wokół swego czołowego przedstawiciela, Roberta Bly'a. Podkreślali oni niejednokrotnie swój bliski związek z surrealistyczną twórczością Lorki i Pabla Nerudy, a sam Bly gwałtownie występował przeciwko mitotwórczej tradycji poundowskiej, proponując w zamian subiektywne podejście do aktu tworzenia, nacechowane intuicjonizmem, uczuciowością i zmysłowością. W poszukiwaniu własnych rozwiązań artystycznych Bly oddalił się nieco od poetów „Deep Image" (choć nie zerwał z nimi do dziś), i szybko stał się jedną z najciekawszych osobowości poetyckich Ameryki. W jego twórczości wiodącą rolę odgrywa koncepcja jedności człowieka i przyrody, natura stanowi przedmiot jego pisarskich doświadczeń i refleksji, jest traktowana chwilami na sposób mistyczny, wzniosły i nie wolny od egzaltacji, lecz zawsze przystępny i łagodny. Zjednoczenie z przyrodą jest w utworach Bly'a koniecznym warunkiem osiągnięcia utraconego szczęścia, które może znów stać się udziałem człowieka, jeśli odnowi on związki łączące go ze światem natury, i poprzez nieskrępowaną i nieskomplikowaną cielesność zatopi się znów w panującej w kosmosie odwiecznej harmonii. Podobnie jak sto lat wcześniej u Walta Whitmana, człowiek w wierszach Bly'a obcuje z przyrodą z pominięciem intelektu, będącego czynnikiem destruktywnym, działającym według z góry ustalonych, schematycznych reguł i zasad.

Procesy psychiczne opisywane w wierszach powstają z osobistych, intymnych przeżyć poety — ich skrajny subiektywizm powoduje, że ciąg skojarzeń staje się czasem niejasny, „głęboki obraz" tkwiący w podświadomości autora bywa trudny do rozszyfrowania, a jednak utwory Bly'a stanowią spójną, wiarygodną i tchnącą niewymuszoną prostotą całość. Widoczna jest w nich zamierzona ucieczka od abstrakcji ku narracji realistycznej, a momentami nawet naturalistycznej, prowadzonej językiem potocznym, powszechnie zrozumiałym, lecz przy tym soczystym i jędrnym, dodającym niezbędnej prawdy malowniczym wizjom poety. Wielokrotnie objawiana przez Bly'a chęć opowiadania wydarzeń uwidacznia się w całej pełni w pięknych poematach prozą, jednej z ulubionych form wypowiedzi pisarza. Niezwykle subtelny sposób obrazowania pozwala autorowi na uniknięcie ewentualnych konfliktów z czytelnikiem, brak jest w tych utworach drastycznych szczegółów obyczajowych czy biologicznych, wszystko jest delikatne, pastelowe, wycieniowane. Uderzająca jest wymowa zdarzeń przedstawianych przez poetę — radosna i zarazem melancholijna, skłaniająca do zadumy i uśmiechu, zawierająca zdumiewająco potężny ładunek emocjonalny, którego źródłem jest niepozorny, niewyszukany komunikat słowny.

Filozofia leżąca u podłoża twórczości Roberta Bly'a da się streścić w jednym zdaniu: „Człowiek jest cząstką przyrody". Powie ktoś, że jest to stwierdzenie oczywiste — być może, ale to właśnie rzeczy oczywiste tak często umykają naszej uwadze. Miejmy zatem nadzieję że proces weryfikacji naszego stosunku do Natury już się rozpoczął, i że słowa poetów będą miały w tym procesie swój skromny udział.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Robert Bly — „Jadąc przez Ohio i inne wiersze", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985, wydanie I, nakład 5000+250egz.

Polemiki • Listy • Opinie

ODURZENIE

Wiele można powiedzieć na temat narkomanii w Polsce, nie można powiedzieć natomiast jednego — jaka jest skala zjawiska, ilu jest narkomanów w Polsce. A więc ludzi faktycznie uzależnionych od narkotyku, medycznie uzależnionych od obecności w organizmie takich czy innych środków. Wszelkie podawane liczby były i pozostaną wyłącznie szacunkami. Różne źródła podają różne liczby narkomanów w Polsce.

Źródło podstawowe — Monar. Popularność Monaru rośnie. Być zarejestrowanym w Monarze — to posiadać glejt na narkomana, na oryginalność na zainteresowanie, chociaż w małej, maleńkiej skali. Wcale nie, nie w takiej małej. Kto jest zarejestrowany w Monarze jest ujęty w statystykę, ale przecież ujęci są w niej nie tylko ludzie trwale uzależnieni od nałogu. Rozdmuchiwanie problemu sprawia, że w pewnych kręgach zjawisko staje się modne; strzykawka nobilituje. Trudno przecież wyraźnie i jednoznacznie, z punktu widzenia lekarskiego stwierdzić czy delikwent ze strzykawką w kieszeni jest już uzależniony czy tylko (dopiero!) eksperymentuje z własnym życiem.

A zwiększone liczby osób zagrożonych nałogiem, to zwiększone dotacje, to nowe domy, to miejsca leczenia, to pomoc państwa, osób prywatnych. Stąd też (absolutnie nie podejrzewając Monaru o jakąkolwiek złą wolę) w ogólnej liczbie osób uzależnionych podawanej przez tę instytucję, obok liczby narkomanów profesjonalistów, mieści się liczba amatorów i przyszłych adeptów sztuki.

Drugim (ewentualnie) źródłem wiedzy o liczbie narkomanów w Polsce mogłaby być służba zdrowia. Mogłaby być, ale nie jest. Przyczyna — bardzo prosta. Tylko wąska grupa osób zgłasza się do leczenia. Asortyment środków jaki oferuje medycyna — jest ubogi. Zresztą co można w ogóle zaoferować: przede wszystkim detoksykacja — odtrucie zatrutego narkotykiem organizmu. Ale to jest dopiero wstępne działanie i z pewnością powinno być domeną medycyny. W Łodzi zajmuje się tym zastępczo Instytut Medycyny Pracy, bo przecież na dobrą (czy raczej złą sprawę) nie ma ani jednego łóżka w szpitalach przygotowanego do leczenia narkomanów.

Nie mniej jednak niż proces detoksykacji, ważna jest druga faza leczenia — wczesna rehabilitacja. Może nawet ważniejsza. Istotne jest przecież nie tylko to, aby usunąć truciznę z organizmu, ale aby tak pokierować tymże organizmem, aby nie wrócił do nałogu. I tu jest pole działania, które stało się źródłem popularności Monaru, popularności i, co tu dużo mówić, skuteczności jego działania. Ogromnie ważne jest bowiem, właśnie w tym wczesnym okresie rehabilitacji, skierowanie myśli, działań, odniesień ludzi w inną stronę, może praca jako jedna z dróg, możliwości, próby twórczości, działalność artystyczna...

Właśnie praca, działalność twórcza, artystyczna jako alternatywa, jako substytut... Ale tego wszystkiego medycyna nie oferuje. Inna rzecz, że potrzebne są tutaj pieniądze ludzie potrafiący prowadzić zajęcia z zagrożoną młodzieżą, umiejący zorganizować pracę, potrzebne są pomieszczenia, warsztaty, materiały, pomysły... A tego po prostu — brak. Stąd też zainteresowanie usługami służby zdrowia w tym względzie jest znikome. Nie może to być zatem miarodajne źródło informacji o narkomanii.

Pozostaje trzecie źródło — milicja. Sprawa przedstawia się jeszcze inaczej. Narkomania nie jest karalna. Stąd też samo używanie narkotyków, z punktu widzenia prawnego nie jest czynem przestępnym, karalny jest natomiast handel narkotykami... Wobec powyższego, nie ma konieczności rejestrowania narkomanów o ile nie wiąże się to z nielegalną produkcją środków odurzających, ich dystrybucją, przemytem itp. Takie tylko bowiem działania stają się przedmiotem ścigania. Nadto milicja operuje zupełnie innymi parametrami, innymi normami oceny swojej pracy, pod innym kątem rozpatrywane są te problemy: ważna jest kwestia wykrywalności: ścigania, represji, przestępczości — to jest leitmotiv działania MO. Dane, które w ten sposób powstają, nie ilustrują problemu, ale raczej otaczają go, fabularyzują nawet.

Nie chce powiedzieć, że skoro nie ma ścisłych danych, to problem nie istnieje. Owszem, problem narkomanii w Polsce istnieje i z tym trzeba się liczyć. Jednak twierdzę, że jego nadmierne rozdmuchiwanie, nadawanie mu rangi plagi społecznej, popularyzacja środowisk narkomańskich, więcej, prezentowanie technik produkcji i źródeł pochodzenia polskich narkotyków — nie przynosi problemowi pożytku, a raczej szkodę. Popularyzowany i rozdmuchiwany — problem pęcznieje i rozmnaża się, atakując coraz to nowe środowiska i pojedyncze osobniki, które przedtem nie wiedziały, a teraz wiedzą i nie chcą być poza kręgiem powszechnego oburzenia.

BARBARA KEMPA

OD REDAKCJI: List ten publikujemy z mieszanymi uczuciami. Nie wydaje się nam bowiem, że najlepszą metodą zwalczania plag społecznych jest ich... przemilczanie. Mamy jednak nadzieję, że w tej — tak ważnej sprawie — wypowiedzą się Czytelnicy.

POZOSTAJE CIĄGLE W PAMIĘCI

Wśród dziesiątków tysięcy kobiet, więźniarek obozów koncentracyjnych Oświęcimia, Buchenwaldu i innych, nie brak było kobiet łódzkich. Były one także więźniarkami niemieckiego obozu koncentracyjnego w Ravensbrueck. Był to chyba jedyny kobiecy obóz zagłady na terenie Niemiec, utworzony już w 1939 r. Ogółem bramy tego obozu przekroczyło 139 tysięcy kobiet różnych narodowości, w tym około 20 tysięcy Polek. Przytłaczająca większość więźniarek, bo ponad 100 tysięcy, zginęła wymordowana przez hitlerowców.

1.

2 listopada 1939 r. znalazły się jako pierwsze więźniarki obozu — Polki. Były wśród nich m.in. mieszkanki Łodzi i regionu łódzkiego: prof. Helena Salska, Maria Reszponek z Chechła koło Pabianic, Julia Stanisławska, Eugenia Wolniak i Czesława Szybel z Łodzi. Później w następnych dniach grono łódzkich więźniarek powiększyły: Janina Ellert-Andrzejczak, lekarz dr Janina Węgierska-Paradecka, Maria Grabowska i inne.

Janina Ellert-Andrzejczak początkowo była w obozie w Ravensbrueck. Potem przeniesiono ją do obozu w Buchenwaldzie. Tu przeżyła istne piekło upokorzeń i cierpień. Oto jej wspomnienia:

— Pracowałyśmy w fabryce amunicji. Był to już rok 1944, okres bardzo intensywnych bombardowań Niemiec przez samoloty alianckie. Również i nasz obóz był często bombardowany. Początkowo alianci bombardowali wszystkie tereny obozu, nie wyłączając naszych baraków. Nieco później atakowali głównie fabrykę. W czasie nalotów zamykano nas w podziemiach, jak w grobie. Dla Niemców były specjalnie zbudowane schrony-bunkry. Niektóre kobiety ze strachu traciły mowę i jak oszalałe pędziły w pole lub w górę. Tam czekała ich pewna śmierć, bądź od bomb, bądź też od detonacji amunicji. Po każdym bombardowaniu wracałyśmy do równowagi i w dalszym ciągu pracowałyśmy w fabryce, w jeszcze gorszych niż uprzednio warunkach. Trzeba było bowiem po każdym bombardowaniu usuwać gruz i znosić go na dół z 4 lub 3 i 2 piętra. Pracowałyśmy wtedy ponad 12 godzin dziennie. Pod koniec naszego pobytu w obozie zaczęłyśmy sabotować zarządzenia Niemców i ociągać się w pracy. Pewnego dnia zjechała do naszego obozu komisja kontrolna. Jako tłumacz zostałam wezwana do tej komisji. Kiedy zapytano mnie, dlaczego więźniarki tak mało wyrabiają głowic, odpowiedziałam, że do tak ciężkiej, zwłaszcza dla kobiet, pracy, wymagane jest lepsze wyżywienie. Zupa z brukwi i pajdka chleba, które otrzymywałyśmy, absolutnie nie rekompensują naszych sił i energii. Po tym oświadczeniu oczekiwałam jak najgorszych następstw. Ale nazajutrz — o dziwo — otrzymałyśmy już zupę z ziemniakami i nieco większe porcje chleba. Ale to był tylko jeden jedyny raz, w czasie pobytu komisji w obozie. Po jej odjeździe, wszystko wróciło do dawnego stanu.

W obozie w Ravensbrueck przebywała także dr Janina Węgierska-Paradecka, lekarz ze Zgierza. W jej pamięci utrwaliło się zwłaszcza jedno wspomnienie z ostatnich już dni pobytu w obozie:

— Kiedy Niemcy opuścili Ravensbrueck, w obozie pozostało około dwóch tysięcy ciężko chorych więźniów. Ja jako lekarz objęłam nad nimi opiekę. Trzeba było zapewnić im wodę, światło, pożywienie. Sama niewiele bym zrobiła, ale przy pomocy kilkunastu więźniarek różnej narodowości, które pozostały w obozie dla utrzymania porządku, udało się utrzymać chorych przy życiu i zapewnić im jaką taką wegetację. Na dłuższą metę utrzymanie chorych w takich warunkach było niemożliwe. Ale liczyłyśmy na to, że za kilka dni przyjdzie nam ktoś z pomocą. I tak się stało. Było to 30 kwietnia. W godzinach popołudniowych, przy pięknej słonecznej pogodzie, do obozu wjechał pierwszy radziecki żołnierz. Zbiegłyśmy się wszystkie, by powitać go serdecznie. Dotykałyśmy go, całowałyśmy, obejmowałyśmy. Radości naszej nie było końca. Wkrótce weszły do obozu większe oddziały wojsk radzieckich.

2.

Ponad 10 tysięcy więźniów z obozów hitlerowskich zginęło na niemieckich okrętach śmierci w ostatnich godzinach wojny. Byli to przeważnie więźniowie ewakuowani z obozu koncentracyjnego w Neuengamme w pobliżu Hamburga. Transportował ich do statku pasażerskiego „Cap Arcona" niemiecki drobnicowiec „Ateny". Oprócz więźniów przeładowano na pokład statku także stu uzbrojonych esesmanów. Więźniów pozamykano w ładowniach i w kajutach pod pokładem. Hitlerowcy rozstawili wszędzie posterunki, które obserwowały także załogę „Arcony". W kilka dni później — 23 kwietnia 1945 r. — w pobliżu „Cap Arcony", opuściły kotwicę dwa następne statki: „Thielbeck" i „Deutschland". Wszystkie miały pod pokładem kilka tysięcy więźniów, ewakuowanych z obozów koncentracyjnych. Przez kilka dni statki oczekiwały dalszych rozkazów. Więźniowie stłoczeni pod pokładami, wyczerpani straszliwymi warunkami ewakuacji, mimo chorób i braku żywności, byli pełni dobrych nadziei. Znajdowali się z dala od linii frontu. Byli przekonani, że teraz zostaną przewiezieni do neutralnej Szwecji lub Norwegii i oddani pod opiekę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Dzień 3 maja zapowiadał się pogodnie. Około południa nad Zatoką Lubecką przeleciała eskadra brytyjskich samolotów. Zniżyły się pod pułap chmur i lecąc w stronę lądu, wzięły kurs nad statkami. Więźniowie znajdujący się na górnych pokładach zaczęli machać czapkami w stronę maszyn i wołać radośnie: — Anglicy! Okrzyki dotarły pod pokład. W kajutach i ładowniach rozległ się hałas. Za chwilę pękły drzwi i więźniowie zaczęli wypełniać pokład statku. W tym momencie esesmani, ukryci przed samolotami, otworzyli ogień do więźniów z karabinów maszynowych. Za chwilę rozegrała się następna, bardziej tragiczna w skutkach scena. Opowiada b. więzień obozu koncentracyjnego w Neuengamme inż. Jan Rączka z Łodzi:

— W dniu 3 maja, rano, dowiedzieliśmy się, że alianci zażądali od Niemców, by wszystkie statki, będące w Zatoce Lubeckiej, wpłynęły do portu. Te, które nie uczynią tego, zostaną zbombardowane. Statek, na którym znajdowałem się, był jedynym który podporządkował się zaleceniu aliantów. Wywiesił białą flagę i zaczął płynąć w kierunku portu. Inne statki natomiast nie wpłynęły do portu. W kilka chwil później nadleciał brytyjski samolot zwiadowczy, a za nim cała eskadra, która zaczęła intensywnie bombardować statki znajdujące się w zatoce. Między innymi zostały zbombardowane sąsiednie statki, na których przebywali nasi koledzy — więźniowie obozu koncentracyjnego w Neuengamme. Były to „Cap Arcona" z 8 tysiącami więźniów i „Thielbeck" z 3 tysiącami. Sceny, jakie rozgrywały się na tych statkach, były iście dantejskie. Widziałem je w pewnej odległości, przepływając w pobliżu „Cap Arcony". Na jego pokładzie wśród krzyków i jęków rannych, kłębiło się mrowie głów. Woda tego dnia była bardzo zimna. Miała 8 st. C. Więźniowie szukając ratunku, wskakiwali do wody. Większość z nich ginęła, nie wytrzymując przejmującego zimna. Inni, bardziej wytrzymali, wyrywali deski z pokładów statku, wrzucali je do wody, by służyły im jako podpory w pływaniu. Wielu jednak skacząc do wody rozbijało się lub kaleczyło o te deski. Kilkakrotnie trafiona bombami „Arcona" zaczęła pogrążać się w morzu i po chwili znikła zupełnie z horyzontu. Z 8 tysięcy więźniów, uratowało się zaledwie około 500. Reszta zginęła bądź od kul esesmanów, bądź też utonęła w morzu.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

JEST PROBLEM

I to duży. Nosi on miano: niepożądana ciąża. Przynosi same kłopoty i załamania psychiczne, moralne i same nieprzyjemności.

Oświata, służba zdrowia, Kościół zakładają, że każde małżeństwo (dziewczyna dojrzała) jest uświadomione, co do stanu dojrzewania i narodzin dziecka. Ale tak nie jest. Opieram ten sąd na różnych dyskusjach między moimi znajomymi, przyjaciółmi i kolegami. Zakładam, że gdyby nie „pomoc" lekarzy ginekologów, to w niejednej rodzinie (przy stażu małżeńskim 5—10 lat) zabrakłoby zastawy stołowej na 6—8 osób. Zapewne odezwą się głosy, że to nieprawda, że lekarze ginekolodzy prowadzą statystykę usunięć (nawet prywatnie), że taki stan rzeczy nie istnieje! Nie zgodzę się z tym stwierdzeniem, bo gdy kobieta przyjdzie z taką sprawą do lekarza, to ten zawsze „zaniży" stan rzeczy, no bo czym się tu chwalić?

Moraliści zapewne powiedzą, że to grzech, morderstwo itp., ale nie biorą pod uwagę drugiej strony medalu. Jeżeli te dzieci nieplanowane by się urodziły, to państwo musiałoby na nie dokładać ogromne sumy pieniędzy, a w rodzinach tych byłby „smród, głód i ubóstwo".

Ktoś inny powie, że przesadzam, że mamy środki antykoncepcyjne, świadomość życia seksualnego itp. To wszystko jest na papierze i w ogólnie dostępnej literaturze związanej z pożyciem seksualnym, ale, jak uczy nas życie, jest to dla przeciętnej Polki obraz dość mglisty. Proszę mi pokazać aptekę, gdzie bez żadnych znajomości mógłbym kupić potrzebne środki (spirale — krajowe w cenie około 200 zł), piguły, kapturki itp. Zostały jeszcze dostępne w kiosku „Ruchu" prezerwatywy, ale o jakości ich wykonania mogłaby się wypowiedzieć niejedna para. Przekonał się o tym mój znajomy, który w wieku, gdy wnuczki kończą szkołę, został ojcem.

Wpływa na ten stan rzeczy (moim zdaniem):

— niska świadomość współżycia, przeważnie mężczyzn, którzy „ufają" kobiecie „w tych sprawach";

— brak jakichkolwiek audycji w TV dotyczących zapobiegania i brak propagowania tych środków i reklamowania.

Należałoby:

— co miesiąc od A do Z pomału, bez pruderii, obrazowo wytłumaczyć sprawy z tym związane;

— Zapewnić kupno środków antykoncepcyjnych w szerokim wyborze;

— ciągle „wałkować" ten temat wśród młodzieży.

Może wśród lekarzy-ginekologów nie zyskam sympatii tymi wskazówkami (bo to żadna tajemnica), że to jest „żyła złota", jeżeli chodzi o zabiegi. Moim zdaniem lekarz specjalista powinien mieć za punkt honoru postanowienie, że pacjentka jest w tej sprawie u niego ostatni raz. I gdy inkasuje pieniążki za niecałą godzinę pracy, to gratis powinien założyć sprężynkę spiralną w czasie następnej wizyty, a nie żądać 2,5—3 tys. zł za krajową lub 10 dolarów za zagraniczną. Lekarz mówi „do widzenia", a w myśli do „zobaczenia".

J. M.
(Imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

JAK NAPISAĆ PAMIĘTNIK?

Pomysł pisania pamiętnika od dawna mam zakodowany w umyśle. Od dawna, bo od roku 1928, gdy jako dziecko polskiej rodziny z Pabianic, znalazłem się we Francji w Amiens. To duży ośrodek przemysłu tekstylnego.

Opuściliśmy Francję w roku 1935, a to na skutek lewicowych zapatrywań ojca. Ówczesny Rząd Francuski z premierem Leonem BLUMEM, mieniący się socjalistycznym, już wtedy ostro występował przeciw postępowym siłom. Do tego jeszcze, gdy wyszperano, że ojciec należał do Komunistycznej Partii Polski i z tego powodu — odsiedział 1 rok w Cytadeli Warszawskiej w 1919 r.!

Posiadam setki listów w językach: francuskim, niemieckim, angielskim od korespondentów z różnych stron świata i to od lat 1965. Szczególnie od tego 1965 roku, kiedy to zapoczątkowałem starania o emeryturę dla ojca.

W roku 1976 przewodniczący sądu konkursowego prof. dr Józef Chałasiński przesłał mi podziękowanie — Dyplom za dostarczenie cennych materiałów dla publikacji dokumentalnej i badań naukowych. W imieniu Komisji Badań nad Pamiętnikarstwem PAN i Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „POLONIA" oraz Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa.

Dość dawno temu zwróciłem się do Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa w Warszawie z podaniem propozycji napisania pamiętnika nie tylko z okresu francuskiego, ale w ogóle. Prosiłem o materiały pisemne, jak papier w kratkę, bruliony dużego formatu, zestaw długopisów kolorowych. Pozostało to bez odpowiedzi. A materiału do napisania pamiętnika posiadam bardzo wiele. Dodam, że od 1930 roku wszedłem w kontakt z: Societé Jules Verne, co zapoczątkowało — wielką przygodę z Julesem Verne, z którego twórczością spotkałem się, gdy byliśmy we Francji w Amiens, gdzie „Czarodziej z Nautes" mieszkał prawie 40 lat i często koło domu, w którym mieszkał i pracował, przechodziliśmy idąc do szkoły.

Warunek jeden, by mieć do dyspozycji i papier i czym pisać, gdyż tylko mogę to uczynić pisząc odręcznie, bo nie umiem pisać na maszynie i takowej nie posiadam. Także potrzebna byłaby jakaś rada fachowa by to ująć chronologicznie i w przejrzysty sposób. Pragnę zaznaczyć, że nie myślę tu o zarobieniu pieniędzy.

WINICJUSZ ŁACHACIŃSKI
(Pabianice)

PODRÓŻ W POPRZEK POLSKI

W Palmową Niedzielę musiałem się dostać z Zakopanego do Szklarskiej Poręby. Zajęczy skok w poprzek południowej Polski. Wydawało mi się, że zajmie to z górą sześć godzin. Wprawdzie ojciec, który o 6 rano odprowadzał mnie na zakopiański dworzec autobusowy twierdził, że łatwiej dostałbym się koleją z Polski poprzez Chiny do Hongkongu, ale potraktowałem to jako zrzędzenie malkontenta.

Autobus wyruszył zimową porą. Zakopiańskie smreki ślicznie przyprószone śniegiem żegnały mnie smętne, jakby ostrzegając przed drogą. Obrazek jak ze stycznia. Pod Nowym Targiem słońce diabli wzięli i przykryli je mgłą gęstą, szarawą. Twarze troszeczkę jakby inne. Nie na darmo Zośka Obrochtowa mówi o mieszkańcach Szaflar i Nowego Targu — „To nie górale — to chłopi".

W Katowicach rozpacz. Komunikacja autobusowa kończy się za rogatkami molocha. Owszem można dostać się do Rzeszowa, Tarnowa, Krynicy, ba — Warszawy, ale na zachód Polski — o co to to nie. Na dźwięk nazwy — Wałbrzych — pani w okienku informacji wybucha śmiechem i zasłania się szczelnie firanką, bo to i niedziela, i z wariatami nie chce mieć do czynienia.

Ale dzięki Bogu mamy jeszcze PKP. Nie mogę opowiedzieć o krajobrazie Górnego Śląska, bo szyby pociągu relacji Katowice — Gliwice były tak przysypane pyłem, że czułem się jak w metrze kilkadziesiąt metrów pod ziemią. W osobowy z Gliwic do Wrocławia, przez Opole, co trzydzieści kilometrów wsiadali inni pasażerowie. Najpierw wiejskie kobiety opatulone w kwieciste chusty. Mimo że to niedziela, mocno trzymały na kolanach ogromne kosze plecione z wikliny albo z plastyku. Dalej wsiadły Cyganki z chmarą dzieciarów. Pod Opolem zaczął się szyk. Odblaskowa czerwień, róż i seledyn sweterków szły o lepsze z grubą warstwą makijażu. Panny pilnie przesiedziały niedzielne przedpołudnie przed lustrem. Za oknem też zmiana. Pochmurno i leje jak z cebra.

Wrocław. Stary i funkcjonalny dworzec. Kino, kawiarnia, herbaciarnia, księgarnia, restauracje. Paru facetów paraduje z nartami na ramieniu. Osobowy do Jeleniej Góry zapchany młodzieżą. Za oknem już od dawna zmrok zapadł. Tylko deszcz bębni po dachu wagonu. Z Jeleniej do Szklarskiej Poręby autobusem.

Kurort wymarły. Żywego ducha nie ma. Na ulicy błotko. Ponuro, ciemno i dzięki temu nie widać, że tynk odpada z niedawno odnawianych pensjonatów. A to już staruszki-pensjonaty i wymagają częstszych remontów.

Podróż trwała siedemnaście godzin.

Po dwóch dniach, w samym środku nocy, o godzinie niesłusznie zwanej „czwartą rano" wysiadłem na dworcu Łódź Kaliska. Wszystkie pociągi jadące przez tę stację, i kończące swój bieg na Warszawa Centralna lub Wschodnia fundują łódzkim pasażerom zwiedzanie Łodzi by night. Spacery po mieście, bo MPK jeszcze słodko śpi.

Stanąłem na chodniku. Wciągnąłem najgłębiej jak się dało, do pół płuc, powietrze łódzkie, odetchnąłem i wiedziałem, że jestem w domu. Ale pozostał niepokój. W podróży przez Polskę południową zmieniały się twarze, krajobrazy, język, nawet pory roku i pogoda zmieniała się. Ale jedno, tajemnicze, nieznane było wspólne dla wszystkich miejsc, w których byłem. Dopiero następnego dnia, w samo południe, na Piotrkowskiej doznałem olśnienia. To był BRUD.

ANDRZEJ BETULSKI

ze str. 1

ny, aby strzelić mu otwarcie w łeb. Odmawiają mu oczywiście paszportu. Ojciec Fernando schodzi do podziemia, a potem ucieka przez zieloną granicę do Kostaryki, gdzie przystępuje do „Grupy Dwunastu" (Grupo de los Doce) skupiającej wszystkich najważniejszych, sandinistycznych komendantów — przywódców powstania.

Bierze czynny udział w przygotowaniach do zadania ciosu reżimowi Somozy decydującego ciosu. Twierdzi, że jest wielkim zwolennikiem Gandhiego i Martina Luthera Kinga, a więc tych, którzy byli przeciwko wszelkiej przemocy i nawoływali do walki pokojowej. Jednak w Ameryce Środkowej, w Nikaragui sterroryzowanej przez morderców, pokojowa walka nie wchodziła w ogóle w rachubę. Nie było innego wyjścia, jak sięgnąć po broń.

W sierpniu 1979 roku, po zwycięstwie rewolucji, ojciec Fernando pełni urząd przewodniczącego do spraw walki z analfabetyzmem (Coordinador Nacional de la Cruzada Nacional de Alfabetizacion). Ponad połowa ludności nikaraguańskiej nie umiała czytać i pisać. Szeroko zakrojona akcja zredukowała analfabetyzm do 12 procent.

W trzynaście miesięcy później zaproponowano Cardenalowi stanowisko wiceministra edukacji dorosłych. Odmówił twierdząc, że woli pracować z młodzieżą. Zostaje więc wiceprzewodniczącym młodzieży sandinistycznej (Vicecoordinador en el Comité Ejecutivo Nacional de la Juventud Sandinista 19 de Julio). Powierzono mu również funkcję członka w Asamblea Sandinista (najwyższy nikaraguański organ ustawodawczy).

Na pytanie Teofila Cabestrera, czy Fernando Cardenal nie widzi sprzeczności pomiędzy swoją działalnością ideologiczną i partyjną w rewolucyjnym rządzie a jezuickim i kościelnym powołaniem, człowiek ten odpowiada: — *Nie widzę żadnych sprzeczności. Jeśli ksiądz uczy na przykład algebry, jest to absolutnie normalne i nikt nie ma do niego pretensji. Nikt, ani lokalna oligarchia, ani Watykan nie miał do mnie pretensji, kiedy wykładałem filozofię na Uniwersytecie Autonomicznym. Czemu więc potępiają mnie za to, że teraz służę ludowi? Jestem księdzem na zawsze, lecz do śmierci będę związany z narodem. Liczyłem się i liczę z moimi przełożonymi kościelnymi. Dzięki temu mam świadomość, że realizuję wolę Boga. Przynależąc do młodzieżowej organizacji sandinistycznej pełnię jednocześnie misję apostolską. Sam fakt, że nasza młodzież, wbrew temu, co słyszy o rewolucji, o marksizmie i ateizmie, widzi w swoich szeregach księdza i to księdza, który będąc przewodniczącym organizacji pozostaje wierny Bogu i duchowym ideałom, jest wystarczająco wymowny.*

W czerwcu 1985 roku Fernando Cardenal przyjmuje tekę ministra edukacji. Wraz z bratem Ernestem i Miguelem D'Escoto popada w niełaskę Watykanu i nikaraguańskich biskupów. Wszyscy trzej zostają zawieszeni w swoich duszpasterskich prawach: nie wolno im spowiadać i celebrować mszy. Odwołują się raz po raz od tego wyroku. Wspólnie i osobno redagują pisma do Stolicy Apostolskiej i miejscowych władz kościelnych. Utrzymują kontakty ze swoimi braćmi zakonnymi. Zachowują celibat i powtarzają z uporem: — *Jesteśmy przede wszystkim kapłanami, nie wolno nam jednak porzucić swoich świeckich obowiązków, gdyż byłoby to równoznaczne ze zdradą Boga i Narodu.*

4.

Pięć po dwunastej w drzwiach ukazała się jakaś panienka.

— *Compañero* (towarzysz) *Makowiecki?*

— Si.

— *Por favor.*

Wiodła mnie w głąb budynku przez szereg ciasnych pomieszczeń, w których młode i dorodne kobiety załatwiały różne sprawy przez telefon albo stukały pracowicie na maszynach. Wszedłem do gabinetu ministra z przekonaniem, iż będzie to mała, ascetyczna klitka. Zamiast tego zobaczyłem zdecydowanie duży pokój urządzony wygodnie i ze smakiem.

Fernando Cardenal wstał zza szerokiego biurka. Jest bardzo wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt siedem; szczupły. Gęsto przetkana srebrem czupryna i okulary nie kłócą się z jego młodzieńczym wyglądem. Przypominał raczej sportowca na emeryturze niż księdza. Był w wąskich, starannie wyprasowanych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli. Podał mi rękę, ale nie uśmiechnął się, co przyjąłem bez zdziwienia. Polacy przyjmowani są w tym kraju ciepło, ale z pewną dozą nieufności.

Wskazał mi fotel po drugiej stronie biurka. Głos miał uprzejmy, lecz suchy:

— *Proszę usiąść.*

Ta panienka, co mnie wprowadziła, weszła ponownie z jedną tylko filiżanką kawy. Postawiła ją przede mną na zasłanym dokumentami blacie i wyszła.

Kiedy próbowałem rozwinąć myśl, którą swego czasu przedstawiłem wiceministrowi Espinosie w Hawanie (chodziło o dominację północnoamerykańskiej kultury i subkultury), Fernando Cardenal nie przerywał mi wprawdzie, potem jednak zakończył całą sprawę krótko:

Padre Fernando Cardenal

(Korespondencja z Nikaragui)

— *Mamy swoją własną kulturę, gumy do żucia i coca-colę chwilowo brak, a jeśli chodzi o dżins, to nawet nasi komendanci chodzą w dżinsach i nikomu to nie przeszkadza.*

Przypomniałem sobie, że kiedyś, w rozmowie z Cabestrerem, ojciec Fernando oświadczył, iż na wszystkich swoich świeckich stanowiskach nigdy nie rządził, lecz służył, zaś władzę w Nikaragui, i to władzę w imieniu ludu, sprawuje dziewięciu komendantów, członków Dirección Nacional (rodzaj biura politycznego w Sandinistycznym Froncie Wyzwolenia) Korzystając z okazji przedstawiam ową nieznaną w Polsce „dziewiątkę": Daniel Ortega — prezydent, Umberto Ortega — minister obrony, Carlos Nunez — przewodniczący parlamentu, Tomas Borge — sprawy wewnętrzne, Bayardo Arse — ideologia, Jaime Wheelock — rolnictwo, Henri Ruiz — współpraca gospodarcza z zagranicą oraz Victor Tirado i Luis Cariόn.

Jestem w gruncie rzeczy człowiekiem nieśmiałym, zdobyłem się jednak na wyłożenie swoich wątpliwości.

— Panie ministrze, czy któryś z dziewięciu komendantów wierzy w Boga?

Fernando Cardenal zastanawiał się chwilę, nim odparł:

— *Chyba nie.*

— Czemu?

— *Zraził ich prawdopodobnie stosunek oligarchii kościelnej do naszych rewolucyjnych przemian.*

— Zatem są ateistami?

— *Owszem. Ale ateistami, którzy chrzczą swoje dzieci i zawierają związki małżeńskie przed ołtarzem. Niejeden z nich, choćby Tomás Borge, zna Pismo Święte nie gorzej od wykształconego księdza.*

— Nie obawia się pan, ojcze ministrze, że w miarę radykalizowania się rewolucji stosunek komendantów do kleru i do was, duchownych pracujących w rządzie, może się zmienić?

odtrącanie czy też usunięcie w cień księży, którzy całe swoje życie poświęcili walce z ciemiężycielami ludu i którzy wychowali dla tej walki pokaźną rzeszę powstańców.

Wszystko to zostało powiedziane dobitnie, z akcentem, który wyczerpywał temat.

Sięgnąłem odruchowo po papierosa, ale tak, jak zawsze palę, tym razem zabrakło mi odwagi.

— Panie ministrze, kiedyś był pan przewodniczącym do spraw walki z analfabetyzmem, obecnie kieruje pan resortem edukacji, w którego gestii pozostaje nie zakończona jeszcze krucjata o to, aby nie było w Nikaragui człowieka nie umiejącego czytać i pisać. Ciemnota zamykająca drogę do gazet i książek stanowi ogromną przeszkodę w upowszechnianiu rewolucji, wysyłacie więc w rejony frontowe wielu młodych, nieraz kilkunastoletnich nauczycieli którzy sami często powinni być w ławkach, a nie za katedrą. Zdarza się nierzadko, że owi żarliwi chłopcy i dziewczęta, szczególnie znienawidzeni przez Contrasów, są porywani, torturowani lub mordowani i potem odbywają się w miastach po stronie Pacyfiku ceremonie pogrzebowe. Chciałbym z należytą powagą zapytać, czy jest to słuszne i czy nie odczuwa pan w związku z tym wyrzutów sumienia.

— *Po pierwsze, nigdy nie wysyłamy nauczycieli w rejony frontowe, tylko przyfrontowe, gdzie, rzecz jasna, także można zginąć, kiedy Contrasi dokonują wypadu. Co do słuszności kontynuowania walki z analfabetyzmem, sam pan odpowiedział już na to pytanie: jest ona nie tylko słuszna, ale również konieczna i nieunikniona tak z punktu widzenia kościoła jak i rządu. Lud nigdy nie miał większego wroga nad ciemnotę, dzięki której pozwalać się ujarzmiać i maltretować. Jeśli chodzi natomiast o wyrzuty sumienia, proszę o nich raczej nie wspominać i zostawić je mnie.*

— Przepraszam — powiedziałem — ale jest jeszcze jedna bolesna kwestia. Dzieci. Kiedy Europejczyk dowiaduje się z gazet i tygodników, że w Nikaragui mordowane są dzieci, nie wierzy w to po prostu. Co innego młodzież, co innego starszyzna — ginęli i giną we wszystkich wojnach, bowiem zawsze można im przypisać jakiś grzech. Natomiast noworodek lub trzy-czteroletnie dziecko... nie! Wydawało się, że tylko hitlerowców stać na takie bestialstwo, zwyrodnialstwo i zbrodnie, za które ludzkość będzie ich przeklinać jeszcze tysiące lat.

— *Do czego pan zmierza?*

— Do tego, iż tu, na miejscu, w Nikaragui, przekonałem się, że to niestety prawda. Giną dzieci. Widziałem dokumentalne zdjęcia tych najmłodszych, porozrywanych przez Contrasów i skłutych nożami. W żaden sposób, proszę ojca ministra, nie umiem się z tym pogodzić: Nie mogę zrozumieć, jak to jest, że Amerykanie (USA), którzy wiedzą z pewnością o tych nie mieszczących się w głowie tragediach i którzy w swoim własnym pojęciu uchodzą za zbawienie i sprawiedliwość świata, popierają i zbroją morderców.

Fernando Cardenal patrzył na mnie bez mrugnięcia powieką. Słyszałem, że zawsze taki jest: chłodny, rzeczowy, powściągliwy w gestach i uśmiechach. Oczy jednak za szkłem okularów błyszczały od gniewu.

Rzekł z naciskiem:

— *Jeśli stanie się krzywda, jakiemuś Amerykaninowi, porwą dajmy na to lub zamordują go w Europie, rząd Stanów Zjednoczonych gotów jest wysłać samoloty bojowe i okręty, aby dostać i ukarać terrorystów. Z drugiej strony fakt, iż w Nikaragui bandy Contrasów dopuszczają się zbrodni na dzieciach, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Wie pan dlaczego?*

— Nie.

— *Ponieważ dla Amerykanów zawsze byliśmy rasą podludzi. Każdy Latynos jest tylko półczłowiekiem, jakże więc może mieć znaczenie, że od czasu do czasu najemnicy pofolgują sobie na dzieciach?*

— Latynoskie dziecko jest tylko półdzieckiem?

— *Dokładnie, proszę pana.*

5.

Pożegnałem się z ojcem Fernando, podziękowałem za kawę tej panience, która wprowadziła mnie do ministra, a potem, w recepcji, uścisnąłem rękę strażnikowi za biurkiem, który pilnował teraz urzędu w pojedynkę.

Wyszedłem na ulicę i oddychałem lekko szczytami płuc, aby oswoić się z szalejącym upałem. Słońce cięło w kark jak ostrze noża, ale na placyku dzieciaki ciągle jeszcze kopały zardzewiałą puszkę po konserwie. W stołówce po drugiej stronie jezdni wydawano obiad. „JANKESIE, SKURWYSYNU, TU CIĘ OCZEKUJEMY!"

Hasło jest odważne, wyzywające, zastanawiałem się jednak, co zrobiłby ten biedny, niewielki kraj, gdyby naprawdę weszli Amerykanie. Niedawno, kiedyśmy jechali do portu Corinto, aby uczestniczyć na pokładzie statku ms. Gałczyński w uroczystości przekazywania darów polskich dla narodu nikaraguańskiego, ambasador Mieczysław Rysiński pokazał mi fabrykę betonowych krzyżaków, które w razie inwazji rozstawiono by na szosach i drogach jako zaporę przeciwczołgową. Drugą taką fabrykę spotkałem później na przedmieściach Managui i cholera jasna, wzruszyłem się głupio. Przyszedł mi na myśl drobny kilkuletni chłopiec, który stoi na ringu i z poważną miną wkłada na głowę plastykowy kask, a na piąstki lilipucie rękawice. Wagi dla zawodników w tym meczu nie przewidziano i oto wkracza triumfalnie na ring uśmiechnięty dwumetrowy olbrzym.

Łatwo wytypować zwycięzcę. Ale nie należy zapominać, że oprócz wagi ciała jest jeszcze waga charakteru i duszy. Przekonałem się o tym rozmawiając z ojcem Fernando Cardenalem i studiując życiorysy innych księży-ministrów.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

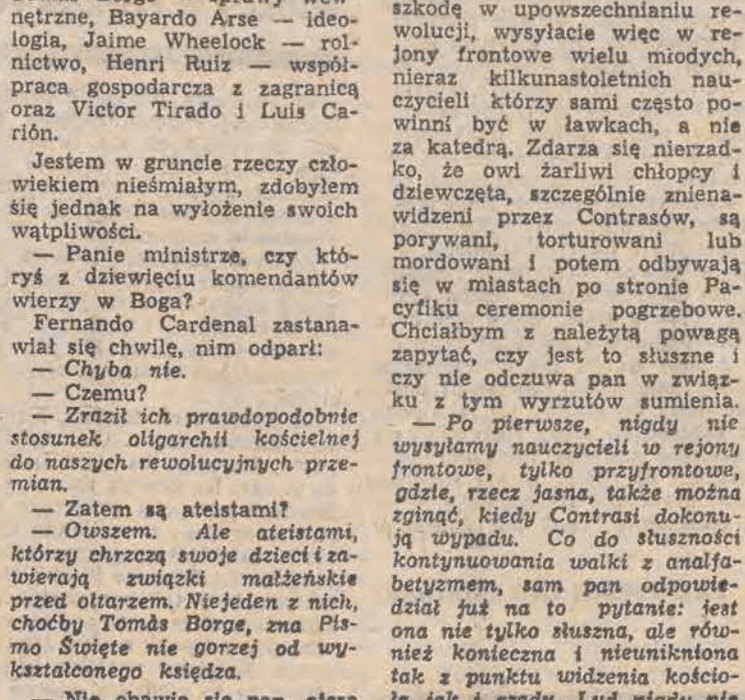

Ksiądz Fernando Cardenal, minister edukacji.

Agresja i arogancja zagrażają pokojowi

Barbarzyński atak amerykańskiego lotnictwa na Libię zwrócił uwagę światowej opinii publicznej na rejon Morza Śródziemnego. Pojawiło się nowe, realne i bardzo groźne niebezpieczeństwo dla pokoju na świecie. W oświadczeniu Państw — Stron Układu Warszawskiego stwierdza się między innymi:

„Piracka napaść na suwerenne państwo arabskie stwarza realne zagrożenie dla pokju nie tylko w południowym rejonie Morza Śródziemnego, grozi niekontrolowaną eskalacją napięcia międzynarodowego, która nieuchronnie wywrze negatywny wpływ również na sytuację w Europie i w całym świecie".

Napięta sytuacja między USA a Libią nie powstała w 1986 roku. Trwa już co najmniej sześć lat. Jej powodem jest fakt, że Libia zajmuje strategiczne położenie w południowym rejonie Morza Śródziemnego i nie znajduje się w sferze wpływów politycznych i wojskowych USA. Przeciwnie Libia prowadzi zdecydowanie antyimperialistyczną politykę, co budzi — z jednej strony — zainteresowanie niektórych państw krajów Afryki, a z drugiej strony — niechęć i wrogość państw nastawionych konserwatywnie, w tym części państw arabskich.

Libia jest niewielkim krajem. Zajmuje obszar 1 759 540 km kwadratowych, na których mieszka przeszło 3 miliony ludzi. Graniczy z Tunezją, Algierią, Nigrem, Czadem, Sudanem i Egiptem. W rejonie wybrzeża Morza Śródziemnego znajdują się jedynie żyzne ziemie, pozostała część tego państwa to pustynia. Głównym bogactwem jest ropa naftowa. Ale już od 1982 roku następował spadek sprzedaży ropy naftowej. W tym czasie USA ogłosiły zakaz importu libijskiej ropy naftowej. Zaczęły też wycofywać z Libii swoich specjalistów. 6 lutego 1980 roku Stany Zjednoczone podjęły decyzję zamknięcia swej ambasady w Trypolisie, a 6 maja 1981 roku zażądały zamknięcia przedstawicielstwa Libii w USA.

W czerwcu 1981 roku Kongres Stanów Zjednoczonych zadeklarował gotowość przyjścia z pomocą każdemu państwu Afryki czy Azji, które zostanie narażone na *„awanturniczość"* płk Muammara al-Kadafiego. W sierpniu 1981 roku w rejonie Zatoki Wielkiej Syrty odbywały się manewry VI Floty USA. 19 sierpnia amerykańskie samoloty zestrzeliły dwa myśliwce libijskie. Libia od 1973 roku wody Zatoki Wielkiej Syrty uważa za swoje wody terytorialne. W kilka dni później płk Muammar al-Kadafi w czasie wizyty w Etiopii nazwał fakt zestrzelenia myśliwców libijskich *„aktem międzynarodowego terroryzmu"*. W październiku 1981 roku ostrzegł Stany Zjednoczone, że *„w razie nowej agresji amerykańskiej przeciw Libii"* dokona zamachu na amerykańskie bazy atomowe. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta.

W czerwcu 1985 roku władze amerykańskie wydaliły z terytorium USA przedstawicielstwo Libii przy ONZ. Na początku 1986 roku USA zerwały wszelkie więzy gospodarcze z Libią oraz ogłosiły blokadę gospodarczą tego kraju. Libia musi z racji swojego położenia gospodarczego wiele towarów importować. Blokada gospodarcza miała więc poważne znaczenie dla sytuacji wewnętrznej tego kraju. Wszakże nie wszyscy sojusznicy USA podporządkowali się amerykańskiemu nakazowi.

Od początku 1986 roku rozpoczęły się — można rzec — nieustające manewry VI Floty USA u libijskich wybrzeży. Pod koniec marca 1986 roku doszło do ataku na radarowe instalacje libijskie i wyrzutnie rakiet ziemia — powietrze. Są to już znane fakty.

Atak amerykańskich bombowców na miasta Libii poprzedzony został intensywnym przygotowaniem dyplomatycznym. Wiceprezydent George Bush i zastępca sekretarza stanu — Robert Murphy podróżowali po krajach Bliskiego Wschodu szukając poparcia dla zamierzonej akcji. Nie spotkali się z dobrym przyjęciem. Polityka amerykańska — szczególnie w stosunku do Izraela — nie znajduje w tym rejonie świata bezkrytycznego poparcia. Również agresywny i arogancki stosunek do Libii budzi wiele zastrzeżeń.

Brytyjski publicysta Peter Mansfield trafnie scharakteryzował ten stan rzeczy:

„Kadafi jest i pozostanie najbardziej kontrowersyjną osobistością świata arabskiego, jednakże wówczas kiedy jest atakowany w sposób, który państwa Bliskiego Wschodu określają jako agresję Stanów Zjednoczonych, w efekcie przeważy fakt, że jest przywódcą arabskim, budząc bardziej uczucia solidarności niż niechęci."

Tak się też stało. Ale jeszcze nim samoloty amerykańskie zaatakowały wśród nocy Tripolis i Benghazi prezydent Egiptu, Mohammed Hosni Mubarak odrzucił propozycje Roberta Murphy'ego, aby poparł ewentualną akcję przeciw Libii. Po ataku zaś nawet państwa niechętne płk. Muammarowi al-Kadafiemu wyraziły solidarność z atakowaną Libią. Natomiast w prasie zachodniej — między innymi francuskiej — pojawiły się poważne wątpliwości, czy zapowiedziane przez Ronalda Reagana dowody udziału Libii w zamachu terrorystycznym w Zachodnim Berlinie, co było bezpośrednim powodem ataku, w ogóle istnieją.

Sytuacja stała się poważna. Wielkie mocarstwo — wbrew zastrzeżeniom swoich sojuszników — „karze" małe afrykańskie państwo za popieranie międzynarodowego terroryzmu. Budzi to w całym świecie falę oburzenia i protestu, ale znajduje też w określonych kołach uznanie i poparcie. Atak na Libię wpływa i musi wpływać na sytuację międzynarodową, a szczególnie na stosunki między USA a Związkiem Radzieckim. Z takimi trudem wywołany „duch Genewy" odchodzi w dal, wzajemne stosunki oziębiają się. Prasa radziecka ostro krytykuje atak na Libię. Ale w społeczeństwie amerykańskim budzi on niepojęty dla nas entuzjazm, choć jesteśmy w stanie domyślać się, że Amerykanie biorą psychiczny odwet za klęskę w Wietnamie. Za jaką jednak cenę? Doświadczony drugą światową wojną Europejczyk nie jest w stanie tego pojąć.

Arogancka i agresywna polityka siły prowadzona przez Ronalda Reagana musi budzić niepokój i sprzeciw. Żadne małe państwo nie może już czuć się bezpieczne, gdyby przypadkiem zechciało sprzeciwić się USA. Przecież Ronald Reagan wyraźnie oświadczył w telewizyjnym przemówieniu, wygłoszonym w momencie ataku na Libię: *„Dzisiaj zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić. Jeśli będzie trzeba, zrobimy to ponownie. (...) Kiedy łży się lub atakuje gdziekolwiek na świecie naszych obywateli na bezpośredni rozkaz wrogiego reżimu, będziemy reagować tak długo, dopóki pozostaję w tym Owalnym Gabinecie"*. A jest to gabinet prezydenta USA. Czy po takim oświadczeniu można spokojnie myśleć o pokojowej przyszłości naszego skomplikowanego świata?

JAN GRZEGORZ PAWEŁCZYK

Jak polski agent „Brutus" wyprowadził w pole Adolfa Hitlera (1)

Chodziło o to, aby Adolf Hitler uwierzył, że prawdziwy desant latem 1944 był przewidziany w rejonie Calais i że ten w Normandii miał jedynie odwrócić uwagę. Od tej niesłychanej mistyfikacji zatwierdzonej osobiście przez Winstona Churchilla zależał cały los wojny. O tym, jak Hitler wpadł w pułapkę, jak jego dywizje czołgów zostały unieruchomione i stały się nieużyteczne na Północy Francji podczas gdy Alianci stawiali swe stopy na plażach Normandii opowiadał Larry Collins w znakomitej zbeletryzowanej opowieści „Fortitude" Zdarzenia w niej przedstawione są absolutnie prawdziwe. Autor ujawnia tam na przykład, że podstawowym elementem mistyfikacji był pewien oficer polski zakodowany jako „Brutus". Jego prawdziwe nazwisko brzmi — **Roman Czerniawski.** Opowiada on współpracownikowi „Paris Match" — Michelowi Leclercqowi w jakich warunkach mógł dokonać swego niewiarygodnego wyczynu.

— A więc, pułkowniku Czerniawski, jest pan tym sławnym „Brutusem", któremu podczas ostatniej wojny udało się dokonać tego, że Niemcy wpadli w straszliwą pułapkę w czasie operacji „Overlord". Larry Collins potwierdza, że bez pana Alianci nigdy nie osiągnęliby powodzenia w czasie lądowania w czerwcu 1944. Co pan o tym sądzi?

— To prawda, że w momencie decydującym cały sukces operacji „Overlord" zależał od dwóch osób, agenta hiszpańskiego Garbo i mnie. Naprawdę odegraliśmy historyczną rolę, lecz wszystko to zdarzyło się czterdzieści lat temu. Gdy myślę o tym obecnie zastanawiam się, czy naprawdę przeżyłem tę przygodę. Mam raczej wrażenie, że przypominam sobie jakiś film lub książkę.

— Lecz czy sądzi pan naprawdę, że bez „Overlord" Aliantom nie udałby się desant?

— O tak! Jestem tego całkowicie pewien. Jeśli Niemcy zdecydowaliby się rzucić do walki wszystkie siły, jakimi dysponowali we Francji, nie mieliby żadnych trudności w odrzuceniu Aliantów do morza. Jedynie dzięki „Overlord" ciągle oczekiwali drugiego desantu w rejonie Calais. I dlatego większość ich sił, na przykład czołgi pozostała nie użyta na północy Francji, podczas gdy Aliantom udało się z trudem zająć Normandię. A więc to prawda, że „Overlord" pozwolił wygrać bitwę, a może nawet wojnę.

— Wydaje się to niewiarygodne w jaki sposób Niemcy mogli wpaść w taką pułapkę? W jaki sposób dotyczy to pana? Mogli mieć do pana takie zaufanie, że uwierzyli w największe kłamstwa?

— Aby spróbować odpowiedzieć panu, muszę opowiedzieć swą historię W dwóch słowach: zanim zostałem „Brutusem", rozpocząłem jako Armand, szef siatki szpiegowskiej w służbie Anglików we Francji okupowanej przez Niemców Bez Armanda „Brutus" nie mógłby nigdy zaistnieć. Gdyż to Armandowi udało się zyskać zaufanie Niemców.

Wyjaśnię to. Będąc oficerem armii polskiej, pilotem myśliwskim, następnie członkiem sztabu generalnego, znalazłem się we Francji Jako stażysta szkoły wojennej, w momencie, gdy wybuchł konflikt; to we Francji brałem udział w walce Otrzymałem nawet krzyż wojenny z palmami.

W 1940 dostałem się do niewoli w Alzacji, skąd udało mi się natychmiast uciec. I wtedy, zamiast wyjechać do Anglii, aby dołączyć do grupy polskich pilotów myśliwskich, pomyślałem, że będę bardziej użytecznym, jeśli spróbuję informować Anglików o rozmieszczeniu sił niemieckich które właśnie organizowały się w okupowanej Francji. Moje przygotowanie jako oficera sztabu generalnego predysponowało mnie do podobnej pracy i wiedziałem, ile takie informacje mogą oddać usług na wysokim szczeblu dowodzenia Zmontowałem więc siatkę złożoną wyłącznie z ochotników francuskich, samych lotników lub kolejarzy, którą nazwałem „Réseau Interallié" — „Siatka Międzysojusznicza" I zacząłem przekazywać do Londynu przez radio ogromną ilość informacji. Podczas wielu miesięcy, wszystko szło bardzo dobrze. Miałem 160 agentów, we wszystkich zakątkach Francji. Dużo podróżowałem. Byłem również w Londynie, jeden raz, aby spotkać się z kierownictwem brytyjskim MI6: przysłali mi samolot Lysander, który wylądował po mnie pewnej nocy w środku wioski i który przywiózł mnie w ten sam sposób Wtedy Lysander wypełnił po raz pierwszy swą misję, lecz nie po raz ostatni Czy pan wie, że Lysandry przetransportowały podczas całej wojny setki tajnych agentów? Jednakże w nocy z 17 na 18 listopada 1941 wydarzyła się katastrofa: gestapo wtargnęło do mego mieszkania na Montmartrze i aresztowało mnie W następnych dniach również 64 moich agentów zostało aresztowanych. Pozostali, ostrzeżeni w porę, rozproszyli się w podziemiu Przekazuję panu pewne szczegóły, bardzo bolesne dla mnie, lecz ktoś popełnił poważną nieostrożność, a potem pewna kobieta, do której miałem największe zaufanie, dała się przekabacić Niemcom i dostarczyła im całą listę siatki

— W tym momencie musiał pan myśleć, że wojna została dla pana skończona!

— Naturalnie! Zamknięto mnie w więzieniu Fresnes Lecz byłem przede wszystkim zrozpaczony myśląc o tych 64 Francuzach, zatrzymanych w tym samym czasie co ja, a za których czułem się odpowiedzialny Ale było kilka spraw, o których jeszcze nie wiedziałem, a które wszystko zmieniły Kierownik Abwehry (kontrwywiadu niemieckiego) na Francję, niejaki pułkownik Reile, zapoznał się z papierami znalezionymi przez gestapo w moim mieszkaniu; zatrzymał się przede wszystkim nad mapą okupowanej Francji, gdzie zaznaczyłem dokładnie pozycje wszystkich wojsk niemieckich, jakie siatka „Interallié" pozwoliła mi odtworzyć; dwadzieścia dwie dywizje, wszystkie pułki aż do ostatniego batalionu Dokładność tej mapy tak go zadziwiła, że pokazał ją generałowi Stulpnagelowi, głównodowodzącemu wojskami niemieckimi we Francji Na co ten wpadł w gniew „Dlaczego nie może pan pokazać mi podobnej mapy Anglii i wojsk tam się znajdujących?"

Był to poważny problem Abwehry: jej szpiegom w Anglii nie udało się dostarczać informacji wystarczająco spójnych aby dowództwo niemieckie wyrobiło sobie dokładny obraz rozmieszczenia wojsk w tym kraju I to wtedy pułkownikowi Reilemu wpadł pomysł, który okazał się zabójczy dla niego i dla Niemiec: powziął zamiar przeciągnięcia mnie na swoją stronę, abym zgodził się pracować dla Abwehry.

— Jak się to odbyło? Czy on sam przybył do Fresnes, aby spotkać się z panem?

— Dokładnie tak. Całkiem po prostu zaproponował mi pracę dla siebie.

— Wyobrażam sobie, że był pan raczej zdziwiony?

— Byłem przede wszystkim wściekły, że ośmielono się zaproponować mi zdradę mej ojczyzny! Lecz oczywiście Reile oczekiwał takiej reakcji z mej strony Moje oburzenie zdawało się go nie wzruszać; tego dnia po prostu wyszedł, prosząc mnie ażebym zastanowił się nad jego propozycją Zastanowić się? Nie miałem przecież oprócz tego nic do roboty w mej celi. A więc krok po kroku zacząłem się przekonywać, że jeśli mógłbym zdobyć zaufanie Niemców, być może mógłbym dalej z nimi walczyć, dostarczając im fałszywych informacji Dzisiaj nazywałoby się to „uprawiać dezinformację".

Lecz ja potrzebowałem, aby Reile miał do mnie zaufanie absolutne Jak to uzyskać Jeśli człowiek pozwala się odwrócić bez oporu, nikt nie może mu ufać, nie ma żadnej gwarancji, że przy pierwszej okazji nie odwróci się jeszcze raz. Jeśli zgodzę się pracować dla Reilego, musi być przekonany, że nie rezygnuję ze swej lojalności ani wobec mego kraju, ani wobec 64 członków Ruchu Oporu, zatrzymanych razem ze mną... Powoli, pewien plan powstawał w mym umyśle.

Pewnego dnia przybył ponownie Reile Zapytał mnie, z obłudną miną, czy się zastanowiłem A ja starałem się sprawiać wrażenie pogrążonego w wielkim zakłopotaniu Tak, zastanowiłem się Lecz po długich wahaniach, doszedłem do wniosku, że sprawa była z pewnością niewykonalna To pewne że Reile nie mógł się zadowolić tą odpowiedzią Chciał poznać powody mego wahania, a potem mej negatywnej odpowiedzi Lecz ja kazałem mu czekać. Nie, nie warto kontynuować tej rozmowy, Reile traci czas ze mną itp Oczywiście, mój rozmówca, coraz bardziej zaintrygowany, chciał koniecznie dowiedzieć się „Lecz co to jest, co pana tak dręczy w tej sprawie?" — pytał mnie. Zakończyłem wyznając mu:

Jesteśmy w impasie Ja mogę się zgodzić lojalnie pracować dla was tylko pod pewnymi warunkami. Lecz tych warunków, jestem tego pewien, nie będzie pan mógł nigdy zaakceptować. A więc widzi pan, będzie lepiej, gdy poprzestaniemy na tym.

W tym miejscu wydawało się, że Reile przystępuje do mej gry Oświadczył, że mi wierzy, że rezygnuje ze swego projektu, lecz przez zwykłą ciekawość chciałby wiedzieć jakie są te niesłychane warunki. Po tym pójdzie sobie i więcej nie wróci... I ja przedstawiłem jedynie moje warunki. Warunki te Niemcy zaakceptowali.

W tym miejscu wydawało się, że Reile przysem

— Z kolei ja jestem zaintrygowany. Jakie były te niezwykłe warunki?

— Po pierwsze, chciałem żeby Niemcy zobowiązali się traktować dobrze Polskę po wojnie. Oczywiście, nie byłem na tyle naiwnym, żeby wierzyć, że Niemcy nawet jeśli uczynią taką obietnicę, będą się czuli zobowiązani do jej dotrzymania po swym zwycięstwie. Lecz, psychologicznie, byłem pewien, że takie wymaganie zrobi wrażenie na Reilem W rzeczywistości tenże nie skomentował tego Ograniczył się do powiedzenia mi, że rzecz nie wydaje mu się niemożliwą, lecz że musi zreferować to w Berlinie.

Drugi warunek — chciałem, aby moich 64 towarzyszy aresztowanych ze mną, było odtąd uznanych nie za szpiegów, lecz jeńców wojennych i żeby byli tak traktowani aż do końca działań wojennych. Z tym Reile nie robił żadnych trudności. Taka decyzja leżała w jego kompetencji i mógł zaakceptować ten warunek, jeśli pracowałbym dla niego.

I wreszcie ostatni warunek: chciałem korzystać z pełnej niezależności Żaden agent Abwehry nie będzie próbował nigdy mnie śledzić. Tym Reile był zaskoczony Lecz wyjaśniłem mu, że mam zamiar nawiązać ponownie kontakty z mymi przyjaciółmi z siatki Interallié i mimo że zgodziłbym się pracować dla Niemiec nie mam zamiaru zdradzić mych przyjaciół. To wyjaśnienie wydało mu się wystarczające.

— Czy w tym momencie został pan uwolniony?

— Och, nie! To trwało znacznie dłużej. Reile opuścił mnie tego dnia, obiecując wkrótce wrócić Lecz kazał mi czekać długie dwa tygodnie. Potem ujrzałem go we Fresnes, gdzie oświadczył mi, że przedstawił swój raport admirałowi Canarisowi, głównemu szefowi Abwehry w Berlinie, i że wszystkie moje warunki zostały przyjęte Ja zgadzałem się w dalszym ciągu na współpracę i pozostało jedynie ustalić okoliczności ucieczki, wystarczająco wiarygodne, aby nie obudzić podejrzeń Anglików.

Było już lato 14 lipca było niedaleko Tego dnia na ulicach Paryża zawsze znajdowało się dużo ludzi Zaproponowałem żeby wykorzystać to i stworzyć pozory przewożenia mnie z Fresnes na aleję Focha do ponurej sławy budynku Gestapo, pod pozorem przesłuchania: wystarczy zorganizować w czasie przejazdu małą kolizję z innym samochodem, a ja skorzystam z tego i zniknę w tłumie. Plan ten został zatwierdzony i zorganizowany w najdrobniejszych szczegółach.

Gdy znajdziemy się na bulwarze Saint-Germain, nasz samochód będzie musiał wyprzedzić kolumnę niemieckich żołnierzy maszerującą bulwarem w tym samym kierunku W tym momencie nasz samochód zderzy się z innym wozem niemieckim ustawionym w poprzek naszego kierunku; korzystając z zamieszania wyskoczę, gdyż moi strażnicy nie będą kwapili się zbytnio przeszkadzać mi Pozostanie tylko przebyć pochód żołnierzy i skryć się przed pościgiem. Wszystkim jest wiadome, że maszerującemu oddziałowi żołnierzy (szczególnie niemieckich) nic nie jest w stanie rozerwać szeregów; stanowiłoby to przeszkodę dla pościgu za zbiegiem.

Ten scenariusz był dla mnie nadzwyczaj ważny — aby stworzyć odpowiednią atmosferę dla mych projektów , tak u Niemców, jak i u Anglików.

Nadszedł więc 14 lipca 1942. O umówionej godzinie zabrał mnie samochód. Jedziemy na bulwar Saint-Germain, spotykamy przewidziany oddział i ukazuje się drugi samochód Nadszedł właściwy moment. Lecz co się dzieje? Mój samochód omija przeszkodę bez zatrzymywania i kontynuujemy jazdę do placu de l'Etoile, ale Focha nr 84.

Wjeżdżamy do budynku Gestapo. Na drugim piętrze wita mnie pułkownik Reile cały uśmiechnięty Oczywiście, jestem wściekły. Sądzę, że wszystko jest stracone Lecz Reile natychmiast mnie uspokaja. Nic nie jest stracone. Przeciwnie! Jedynie zrezygnował w ostatniej chwili w naszym planie z ucieczki, gdyż ocenił ją jako zbyt ryzykowną dla mnie. Inna ucieczka miała miejsce w przewidzianym miejscu, tego samego ranka, według tego samego scenariusza: lecz inny francuski członek ruchu oporu z tego skorzystał Niemcy ogłoszą, że zbiegł niebezpieczny terrorysta: mnie pozostanie uważać się za tego zbiega, nikt nie będzie mógł odkryć różnicy!

— Ten bojownik francuski, gdy go strażnicy niemieccy wypchnęli z samochodu, musiał być mocno zdziwiony?

— Najważniejsze dla niego, że z tego skorzystał Jeżeli obecnie jeszcze żyje i przeczyta to, co mówię, dowie się teraz, co mu się przytrafiło. Co by nie było, w tym momencie ustaliliśmy ostatecznie z Reilem resztę szczegółów dotyczących naszej współpracy: częstotliwości radiowe, tajne kody etc Zapytałem go także o szczegóły losu moich 64 współtowarzyszy Zapewnił mnie: są i będą tak długo traktowani dobrze, dopóki ja będę wypełniał swoją stronę kontraktu Zostali wszyscy zakładnikami dla zagwarantowania mej lojalności! Nigdy, aż do końca wojny, nie mogłem zapomnieć, że los tych dzielnych ludzi był w moich rękach.

Reile chciał także dostarczyć mi środków ułatwiających przedostanie się do Anglii. Lecz ja wolałem poradzić sobie sam. Tak więc, za pomocą swych własnych sposobów, przekroczyłem linię demarkacyjną, dotarłem do Pirenejów, które przeszedłem przez Andorrę. Podróż niezmiernie męcząca! Po czym dostałem się aż do Madrytu, gdzie przedstawiłem się w ambasadzie brytyjskiej: „Jestem Armandem, z siatki „Interallié". Udało mi się uciec z Gestapo. Pomóżcie mi dostać się do Anglii!". Niedługo potem, via Gibraltar, samolot zabrał mnie do Londynu.

— Po wyłudzeniu zaufania Niemców musiał pan zdobyć je teraz u Anglików. Wyobrażam sobie, że nie było to zbyt łatwe? Mimo wszystko, mógł być pan prawdziwym szpiegiem niemieckim.

— To prawda. W tych historiach o podwójnej i potrójnej grze, w końcu nie wiadomo dla kogo rzeczywiście pracuje dany agent. Lecz ja zdecydowałem się powiedzieć całą prawdę i w końcu uwierzono mi. Rozpocząłem od zwrócenia się do organizacji wolnych Polaków mieszczącej się w Londynie, tak jak wolni Francuzi generała de Gaulle'a.

Spotkałem się więc z szefem II Oddziału, któremu opowiedziałem całą historię i przedłożyłem mój plan, nazwany przeze mnie „Wielka gra" Opierał się on na tym, żeby zdobyć pełne zaufanie Niemców wysyłając im prawdziwe informacje, aby ich następnie tumanić fałszywymi wiadomościami, gdy przyjdzie odpowiednia pora Mój rozmówca przedstawił mnie następnie generałowi Władysławowi Sikorskiemu, szefowi rządu polskiego na wygnaniu który wydawał się bardzo zainteresowany moim projektem. Tymczasem, według mnie, takie przedsięwzięcie wymagało ogromnych środków i pociągało za sobą ogromną odpowiedzialność: trzeba to było bezwzględnie przekazać Anglikom Nazajutrz po tym spotkaniu z Sikorskim zostałem więc zaproszony na robocze śniadanie z przedstawicielami tajnej organizacji brytyjskiej, tworzonej przez Winstona Churchilla, „Double cross system".. double cross.. to trudno przetłumaczyć

— To chyba coś w rodzaju „podwójnej gry"...

— Tak jest: nazwijmy więc „organizacja podwójnej gry".

— Przypuszczam, że pana projekt został całkowicie włączony do tych planów?

— No cóż! Nie całkowicie. Przynajmniej na początku. Moi rozmówcy nie byli zachwyceni. Najbardziej ich martwiło to, że według mego planu należało rozpocząć od poświęcenia znacznej ilości informacji prawdziwych Była to ogromna inwestycja, o której nikt nie mógł zaręczyć na początku, czy przyniesie korzyści.

A więc, przy kawie, zagrałem swą ostatnią kartę i powiedziałem im:

Nie jesteście pewni, czy ten plan przyniesie korzyści. Lecz ja jestem pewien jednego: dla mnie jest to jedyny sposób uratowania mych 64 towarzyszy uwięzionych we Francji. Zgódźcie się chociażby dla nich!

W planach strategicznych, podobny argument nie miał większej wagi Jednakże to dzięki niemu uzyskałem ich zgodę. Zapalili mi zielone światło: mogłem rozpocząć swą pracę informowania Abwehry, co prawda na niskim szczeblu, żeby zobaczyć jak sobie z tym poradzę...

— Jaką więc oficjalną funkcję pan pełnił?

— Byłem oficerem polskiego sztabu generalnego i wykonywałem normalne obowiązki. Jedynie od czasu do czasu byłem nieobecny. Moi koledzy, oczywiście, nie wiedzieli nic o mojej drugiej działalności: powiedziano im tylko, że jestem obarczony pewnymi misjami we współpracy z Anglikami i to wystarczyło dla wyjaśnienia mych nieobecności. Jedynie generał Władysław Sikorski był świadomy roli wypełnianej przeze mnie w „Double cross"

W styczniu 1943 zacząłem wysyłać do Niemców informacje dotyczące pozycji wojsk brytyjskich i amerykańskich na terytorium Zjednoczonego Królestwa Moja stacja nadawcza znajdowała się na przedmieściu Londynu, adresatem był zawsze pułkownik Reile w Paryżu. Naturalnie, wszystkie komunikaty były zaszyfrowane Anglicy przekazali do mej dyspozycji jednego radiooperatora, którego nazywałem Szopenem, gdyż przed rozpoczęciem nadawania miał zwyczaj bębnić palcami po stole dla rozprostowania palców Przekazywane informacje były zawsze bezwzględnie dokładne, przestrzegałem tego bezwarunkowo i Anglicy, którzy mi je dostarczali, dobrze to rozumieli

W każdym razie, jaką szkodę mogło przynieść Aliantom, jeśli przekazano Niemcom na przykład, że taki a taki pułk Highlandersów został przeniesiony z Glasgow do Edynburga? Dopóki nie było widoku na lądowanie, informacje takie nie miały większej wartości strategicznej. Lecz Niemcy, oni byli zachwyceni: mogli stopniowo sporządzić tę sławetną mapę, której żądał od nich Stulpnagel Byli przekonani, że pewnego dnia odda im największą przysługę.

C.D.N.

Tłumaczył:
W. L. KOBIELA
(Według „Paris Match")

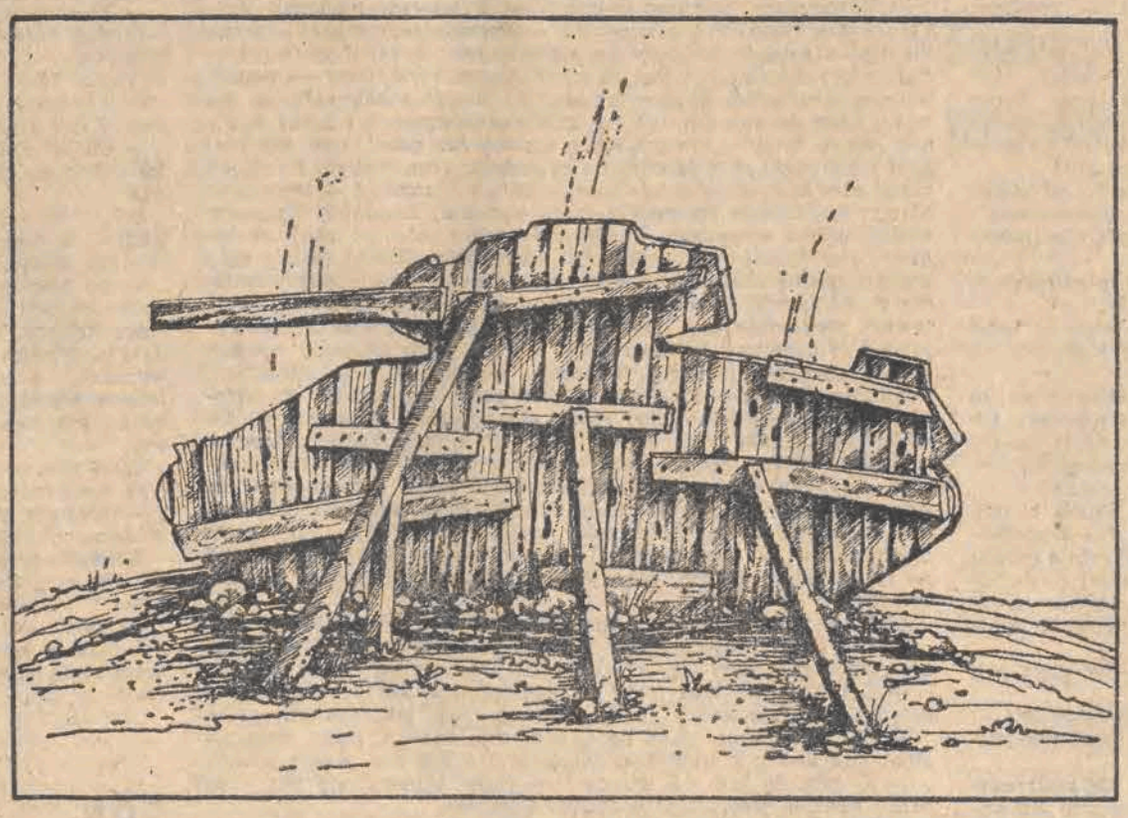

Rys. Janusz Szymański-Glanc

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

(1)

OD REDAKCJI: Dwukrotnie już drukowaliśmy fragmenty nowej powieści Marka Adama Jaworskiego „Taniec w tunelu". Jest to powieść współczesna, jej akcja rozgrywa się w latach 1980—1981 Ma ona charakter powieści obyczajowo-politycznej. Ponieważ interesuje ona naszych Czytelników, zwróciliśmy się do autora o udostępnienie kilku jej fragmentów, których druk właśnie rozpoczynamy. Mamy nadzieję, że teraz również wzbudzi zainteresowanie naszych Czytelników.

— Dzwonił do pana redaktora towarzysz sekretarz — powiedziała Mirka, gdy Doliński zjawił się w redakcji.

— Gnatowski?

— Nie, sam Pierwszy. I prosił aby pan redaktor natychmiast z nim się skontaktował.

(...) Kierowca siedział w samochodzie, toteż Doliński błyskawicznie znalazł się w Białym Domu, bo tak powszechnie nazywano gmach Komitetu. Świeżo otynkowany, sprawiał wrażenie, jakby niedawno przekazano go do użytku.

Połtawski wyglądał dzisiaj bardzo źle, oczy miał podkrążone, chyba wcale nie spał tej nocy.

— Siadajcie. Papierosa?

— Dziękuję.

— Dziękuję tak, czy dziękuję nie?

— Chętnie zapalę.

— No to tak mówcie!

Znowu siedzieli koło rozłożystej palmy, przy stoliku zawalonym gazetami.

— Prosiłem was — zagaił Pierwszy — bo chciałbym, abyście poszli ze mną na zebranie partyjne do Fabryki.

Fabryką nazywano największy w mieście zakład przemysłowy.

— Spodziewam się — kontynuował Pierwszy — że będzie tam gorąco.

— Mam zrobić jakieś sprawozdanie do gazety?

— Zastanowimy się. Zebranie zwołali na siedemnastą.

— Dawniej zebrania odbywały się zaraz po pracy...

— Niekiedy i z pracy urywano godzinę... A więc będziecie, tak? — nie czekając na odpowiedź, nagle zmienił temat: — Co w redakcji nowego? Macie jakieś kłopoty?

— Kłopoty? Chyba nie. Z nowości to sprawa Michałka. Chce odejść do „Solidarności" i redagować biuletyn.

— Michałek? To się dopiero jego ojciec ucieszy! Stary Michałek to porządny facet, zdrowie stracił w czasie walk z bandami. Ale, jak słyszałem, z synem nie znajduje żadnego wspólnego języka. No cóż, różnie w życiu bywa. — Połtawski spojrzał na zegarek. — Badźcie u mnie po czwartej. Pojedziemy razem.

(...) W Fabryce już na portierni czekał na nich Szykuła, pierwszy sekretarz Komitetu Zakładowego.

— Wpadnijcie jeszcze do mnie, towarzysze — zaproponował. — Kawa już przygotowana.

— Dobrze się wam powodzi! Kawa! Macie chody w Delikatesach? — zaśmiał się Pierwszy. — Zdążymy wypić?

— Zdążymy. U nas zebrania rozpoczynają się z kwadransem opóźnienia.

Mieszali już cukier, gdy zjawił się dyrektor naczelny, Kramer.

— Przepraszam, sekretarzu, za spóźnienie. Dopiero teraz mogłem coś przegryźć.

— Siadaj, siadaj i nie tłumacz się. Dziś nie narada produkcyjna i nie ty grasz pierwsze skrzypce. Powiedz lepiej o nastrojach w Fabryce.

— Rozdyskutowali się wszyscy. — Kramer spoważniał. — Narzekają na kooperację, na to, że maszyny się psują i brak do nich części zamiennych.

Kramer był dość spoufalony z Połtawskim. Wprawdzie do Fabryki ściągnął go poprzednik obecnego Pierwszego, niemniej Kramer umiał sobie zapewnić przychylność Połtawskiego. Fabryka była wizytówką miasta, zwykle przekraczała plany i po modernizacji, przeprowadzonej w połowie lat siedemdziesiątych, wyraźnie poprawiła jakość produkcji.

— Wszystkiemu winien dyrektor, prawda? Nie masz i ty łatwego życia!

— Moich dwóch zastępców wstąpiło do „Solidarności". Jeden z drugim się gryzie, ale chyba obaj pragnęliby przede wszystkim wygryźć mnie. Jeszcze żadnej skargi Komitet nie otrzymał?

— Oficjalnie nie. Ale anonimy przychodzą. O, mam tu jeden. To o tobie. Posłuchaj! — Pierwszy sięgnął do kieszeni i wyciągnął jakiś świstek.

„Chcielibyśmy — czytał — aby do naszej Fabryki przyjechała kompetentna komisja i zajęła się sprawą premii. Premie zgarnia kierownictwo, a zwłaszcza dyrektor naczelny. Zwykli pracownicy nie mają nic do gadania. Dyrektor naczelny w ciągu ostatnich siedmiu lat trzykrotnie zmienił samochód. Najpierw jeździł trabantem, a teraz już ładą. Kiedy otrzyma talon na mercedesa?"... No i dalej w tym duchu. Co ty na to?

— Co ja na to? — Kramer musiał być lekko zdenerwowany, ale panował nad sobą. — Co ja na to? — powtórzył. — Kłamią, bezczelnie kłamią! Kiedy tu przyjechałem, to mój trabant już się sypał. Otrzymałem talon na dużego fiata. Ale co, nie należał mi się?

— Tak, a potem na ładę?

— Potem... Po pięciu latach, prawidłowo. Tą ładą już rok jeżdżę.

— Widzisz, jak można wrobić człowieka. Rzeczywiście masz trzeci samochód...

— Trzeci, trzeci, ale trabanta nie trzeba wliczać. Wcale go zresztą nie otrzymałem na talon, ale kupiłem na giełdzie. Wszystko można zresztą sprawdzić, ja jestem czysty jak łza.

— Dobrze już, dobrze, przecież ja nie mam do ciebie żadnych pretensji, uspokój się, chłopie! — Połtawski dopił kawę. — Chyba już czas na nas. Idziemy?

— Ja tylko skoczę na salę i zobaczę, czy wszystko gotowe. — Szykuła poderwał się z miejsca. Wrócił po chwili. — Prosimy, towarzyszu sekretarzu.

Powitała ich cisza. Nikt nie wstał z miejsca, nikt nie bił brawa. Doliński zajął miejsce pod ścianą i przypomniał sobie, jak inaczej wyglądały zebrania jeszcze rok, dwa lata temu. Teraz miał pełne prawo podejrzewać, że te klaki, które dawniej witały Połtawskiego, były dokładnie wyreżyserowane. A może po prostu taki był styl? Celebra przeżywała najpiękniejsze dni?

— Witamy — zaczął Szykuła — na naszym zebraniu oddziałowej organizacji partyjnej przy kuźni towarzysza Połtawskiego, pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii. Czy mógłbym towarzysza sekretarza poprosić do prezydium?

— Dajcie spokój z prezydium! Mnie tutaj dobrze w pierwszym rzędzie.

Po sali przebiegł szmer. Aprobaty? Połtawski należał do ludzi bystrych, postanowił pójść jakby za ciosem. Wstał i obrócił się twarzą do obecnych.

— Chciałem wam, towarzysze, serdecznie podziękować za to zaproszenie na wasze zebranie partyjne. Nie po raz pierwszy jestem w Fabryce, znam, tak mi się przynajmniej wydaje, wasze bolączki, no, zapewne nie wszystkie — znów się zaasekurował. — Spotykaliśmy się tu w różnym gronie i w różnych czasach...

— Potępialiśmy warchołów z Radomia! — ktoś rzucił z sali. Połtawski nie podjął rękawicy i kontynuował: — Na posiedzeniach egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego wielokrotnie zajmowaliśmy się problemami Fabryki, cieszyliśmy się z jej modernizacji, z ofiarności załogi. Bo tu pracują ludzie naprawdę odpowiedzialni i twardzi. U was fluktuacja kadr jest znacznie mniejsza niż w innych zakładach.

— Ale będzie większa, towarzyszu sekretarzu! — w głębi sali podniósł się jakiś robotnik.

— Towarzyszu Martyniak, nie przeszkadzajcie sekretarzowi! — Szykuła nie ukrywał niezadowolenia, ale Połtawski miał inne zdanie:

— No to zaczęliśmy już dyskusję. Widzę, chociaż się zastrzegałem, że lepiej będzie jednak, gdy usiądę obok sekretarza Szykuły, będę wówczas miał was wszystkich na oku — roześmiał się. — Ale nie nazywajmy tego stołu prezydium!

Gdy Pierwszy zmieniał miejsce, Martyniak ciągnął dalej:

— Dlaczego będzie większa fluktuacja? Ano dlatego, towarzyszu sekretarzu, że nasze płace pozostały w tyle do innych zakładów. Towarzysz sekretarz powiedział, że u nas pracują ludzie twardzi. Tak jest, to prawda, ale ta twardość też ma swoje granice. U nas są tacy, którzy tę Fabrykę na szczerym polu stawiali. I wtedy nie patrzyli na pieniądze, nie patrzyli, co to świątek czy piątek. Plan to była rzecz święta. A przekroczyć ten plan to była ambicja. Dzisiaj jednak tych fabrycznych weteranów się nie szanuje. Przychodzi inżynierek i pyta po pierwsze „za ile?", a po drugie zaraz się kręci za mieszkaniem. I dostaje to mieszkanie! Jeszcze nie wiadomo, co z niego wyrośnie, jaką korzyść przyniesie Fabryce. Mieszkanie i koniec! A ci, co budowali Fabrykę, jak mieszkali, to i tak mieszkają. W norach, na strychach się gnieżdżą! Proszę zajść, towarzyszu sekretarzu, do takiego Mikołajczaka. Przodownik pracy. Już kiedy Krzyż Kawalerski dostał! A gdy dostawał, wówczas tych krzyży tak na pęczki nie dawano. Jak on mieszka? Na poddaszu. Woda mu na łeb cieknie. A to już chłop pod siedemdziesiątkę. My ciągle mówimy tylko o młodych. Młodym to, młodym tamto. A kiedy myśmy byli młodzi, to nam tylko pracować kazano. Do jasnego jutra. Jakoś słabo oświetla to słońce!

Ktoś zaklaskał, ale zaraz umilkł, bo sala nie podchwyciła. Może dlatego, że w połowie zapełniali ją ludzie młodzi i bardzo młodzi?

— Skończyliście, towarzyszu Martyniak? — zapytał Szykuła, gdy mówca umilkł.

— Na razie tak, ale może jeszcze coś powiem.

— Ale my, towarzyszu sekretarzu — Szykuła zwrócił się do Pierwszego — mamy porządek dzisiejszych obrad. Jeszcze o nim nie informowałem.

— Wiecie, porządek porządkiem, a życie życiem. Pogadajmy sobie dzisiaj bez jakiegoś protokołu. Jest na sali redaktor... Doliński, pokażcie się! Więc jest towarzysz Doliński, nowy szef naszej gazety, i myślę, że przekaże on czytelnikom to, co was boli. No a co młodzi na to, o czym tu mówił towarzysz Martyniak?

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, panowała cisza. W trzecim rzędzie podniosła się czyjaś ręka.

— Towarzysz... — Szykuła zawahał się, albo zapomniał nazwiska tego młodego człowieka.

— Ja tu słyszę: młodzi to, młodzi tamto. Huzia na młodych! Wiem, że starsi ciężko pracowali, że to oni odbudowywali po wojnie naszą zniszczoną ojczyznę. Czapki z głów przed nimi. Ale, towarzysze, ile my już lat jesteśmy po wojnie? Niedługo będziemy obchodzić czterdziestolecie. Czy młodzi mają czekać na mieszkania przez następnych lat czterdzieści?

— A gdzie wy mieszkacie? W hotelu robotniczym? — zapytał Połtawski.

— Na stancji. W czwórkę mieszkamy i z każdego leciało po osiemset od łebka. A teraz właściciel chce nam podnieść komorne o pół tysiąca. Mamy bulić po tysiąc trzysta. Jak nie, to fora ze dwora! Ja pochodzę ze wsi towarzyszu sekretarzu. Dwóch braci pojechało na Śląsk, pracują w kopalni. Jeden brat skończył medycynę. Ja jestem tutaj, a najmłodszy chyba zostanie na gospodarce. Jak się nie rozmyśli, bo co to za życie na wsi?

— Przed wojną — Pierwszy podniósł głos — pięciu zostałoby na gospodarce. Tak, tak, ja te czasy dobrze pamiętam. Pamiętam tę biedę na wsi. Każde miejsce pracy kosztuje. Myślicie, że to nam z nieba spada?

— Towarzyszu sekretarzu, przed wojną to było przed wojną, a teraz to jest teraz.

Rwetes podniósł się na sali. Doliński u jednych dostrzegał aprobatę, ale widział też, że niektórzy kręcą głowami. Poderwał się z miejsca jakiś siwy robotnik w kombinezonie.

— Nie można tak! My nie uciekniemy od tego, co było przed wojną! Martyniak mówił o Mikołajczaku. To prawda, że mieszka kiepsko, ale sam sobie winien. On na poddaszu, ale jego syn willę pobudował. I tak wychował syna, że ten syn się do niego nie przyznaje. W sześciu pokojach mieszka z żoną i dzieckiem. Dwie kuchnie mają. Sam Mikołajczak to opowiadał, kiedy się po kielichu rozkrochmalił. A młodzi to by chcieli przyjść na gotowe. Mieszkanie im dać, samochód, lodówkę, telewizor kolorowy, premie, awanse, wszystko ma być dla nich!

— Gdzie te mieszkania, gdzie te samochody? Towarzyszu Białkiewicz, przestalibyście pleść takie głupoty! — Ten, którego Szykuła nie znał bliżej, znów dorwał się do głosu.

— Ja plotę, ja plotę? Czy ci się zdaje, że zjadłeś już wszystkie rozumy?

— Tylko nie ty, tylko nie ty! Brudzia nie piliśmy!

— Towarzysze, bądźmy poważni! — Połtawski uprzedził Szykułę, który chciał coś powiedzieć. — Prawda leży gdzieś pośrodku. Po co nam te podziały na starych, na młodych? Ja też kiedyś byłem młody, dziś jestem stary, no... prawie stary — poprawił się — chociaż jeszcze tej starości u siebie tak całkiem nie widzę. Ale do starości też się trzeba przyzwyczaić i jakoś żyć z nią razem. Wiecie, życie biegnie szybko. Im dalej, tym żwawiej goni się z górki. Ale jest trochę prawdy w tym, o czym tu mówił przed chwilą towarzysz... — zawahał się na moment — towarzysz Martyniak. Ludzie starzy nie mieli pogodnej młodości. Najpierw wojna, potem odbudowa. Chcieliśmy szybko zaleczyć rany, chcieliśmy, aby te następne pokolenia inaczej żyły. Pewne rzeczy nam wyszły, pewne nie, popełniliśmy wiele błędów, często odkrywaliśmy to, co zostało już dawno odkryte. Start nie był łatwy... — Połtawski wstrzymał głos na moment i sięgnął ręką do teczki. Wyjął z niej kremową książeczkę. — Mam w ręku oficjalny rocznik statystyczny za 1935 rok. Tu ktoś wspomniał o samochodach. Pomińmy na razie samą wojnę. Otwieram ten rocznik na stronie sto trzynastej, kto chce, może sam zobaczyć, że nie bujam. Co widzimy? W 1934 roku Polska miała 26 tysięcy samochodów, w tym pięć tysięcy samochodów ciężarowych. Na tysiąc mieszkańców przypadało 0,8 samochodu. Inaczej: osiem samochodów na dziesięć tysięcy. A w tym czasie Francja miała tych samochodów milion osiemset dziewięćdziesiąt tysięcy, czyli 45,2 na tysiąc mieszkańców, a Czechosłowacja sto dwanaście tysięcy, czyli 7,5 na tysiąc mieszkańców. Taka jest prawda, czy się komuś podoba, czy nie.

— Dzisiaj tamte kraje też nie stoją w miejscu! — ktoś zawołał.

— Nie stoją, prawda, myśmy może za szybko chcieli je doganiać, zachłysnęliśmy się, a kredyty zwaliły się na nasze barki.

— Gomułka nie brał forsy od kapitalistów, ale przyszedł grudzień siedemdziesiątego... — Zrobiła się cisza, jak makiem zasiał.

— Był. Ten okres czeka na szczegółowe analizy. Nam, komunistom, nie wolno kierować się uczuciami i być pod presją chwili.

— Komunista nie ma uczucia? — znów odezwał się ten, co przed chwilką wspomniał nazwisko Gomułki.

— Ma. Źle mnie zrozumieliście. Ocenę Gomułki pozostawmy historykom. To wielka i tragiczna postać... — Przerwał na chwilę, a potem wrócił do ostatnich wydarzeń na Wybrzeżu.

— Dialog. Dialog z klasą robotniczą, z narodem. Porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia muszą być realizowane, ale i „Solidarność" też powinna ich przestrzegać. Były kłopoty z rejestracją „Solidarności", prawda, ale przecież „Solidarność" uznała kierowniczą rolę partii. Później się z tego zaczęła wycofywać, nawet uciekła się do strajku. Wasza załoga też częściowo strajkowała. No i co? Znowu z produkcją jesteśmy do tyłu. Niektórzy spośród członków partii wstąpili do „Solidarności". Dobrze, że tam są, bo członkowie partii powinni być wszędzie. Ale ja nie powiem, żeby głos członków partii w „Solidarności" było słychać doniośle!

— Towarzyszu sekretarzu — ten, który dwukrotnie rzucał „zwischenrufy", teraz wstał i zaczął mówić bardzo głośno, prawie krzyczeć:

— Nazywam się Janeczko i należę do „Solidarności". Ale mam i legitymację partyjną. W partii jestem cztery lata. Mówicie, że głos partii w „Solidarności" nie jest doniosły. To prawda, ale ja się chciałem zapytać, kiedy partia rozliczy się przed społeczeństwem ze swoich błędów? Kiedy przestanie w swoich szeregach tolerować złodziei, karierowiczów?

— Może po nazwisku, towarzyszu Janeczko?!

— Dobrze. Niech będzie po nazwisku. W prasie ukazał się krótki komunikat o zmianie na stanowisku wojewody. Ale nikt naprawdę nie wie, dlaczego Wolniak musiał odejść.

— Są różne ruchy kadrowe...

— Są. Czytamy w gazetach. Teraz szczególnie dużo prominentów rezygnuje. Epidemia jakaś, czy co?

— Musimy przyzwyczaić się do tego, że jedni ludzie odchodzą, a drudzy przychodzą. To powinien być proces jak najbardziej naturalny. U nas dotychczas tak bywało, że w każdej zmianie personalnej doszukiwano się różnych podtekstów. Czasem człowiek może być po prostu nieudolny, no nie? Uczciwy, ale nie dorósł do konkretnego stanowiska. No i co zaraz mamy pisać, że w swoim czasie za wysoko wyskoczył?

— To trzeba lepiej oceniać kadry, stworzyć rezerwę kadrową. Z tego, co usłyszałem, wynika, że Wolniak odszedł, bo nie dorósł. Może byłby dobry w innych czasach? To czasy go przerosły. Ale sekretarz Gnatowski nadal siedzi w Komitecie.

— A co macie do Gnatowskiego?

— Polowanka. Willa nad jeziorem.

— Przestańcie z tą willą! Pojedziemy tam kiedyś i zobaczycie na własne oczy, jak ona właściwie wygląda. — Teraz Pierwszy nieco podniósł głos. — Niekiedy zbyt łatwo oceniamy ludzi. To jest tak, jakby ktoś licytował szlema po obejrzeniu tylko siedmiu kart.

Doliński przekręcił na drugą stronę taśmę w magnetofonie. Dopiero zauważono, że nagrywa dyskusję. Ten z ciągłymi uwagami teraz zwrócił się do niego:

— Towarzysz redaktor nie uprzedził, że będzie nas utrwalał!

— Przecież magnetofon cały czas stoi na widoku. Po co te pretensje?

— Technika — Połtawski ujął się za Dolińskim — wkroczyła na dziennikarskie podwórko. A co my tutaj, towarzysze, mamy do ukrycia? Ile było magnetofonów w czasie rozmów w stoczni gdańskiej?

Ostatecznie dano spokój Dolińskiemu, ale fala dyskusji najwyraźniej opadła. Jeszcze ktoś mówił o problemach Fabryki, ale już raczej na okrągło. Kramer nie musiał się nawet specjalnie gimnastykować. Niemniej Szykuła był najwyraźniej zadowolony, kiedy zebranie dobiegło końca. Może się cieszył, że nikt go nie próbował krytykować?

Międzynarodówka wypadła jednak blado. Niektórzy sprawiali wrażenie, jakby tylko poruszali ustami.

Kramer zaprosił gości do swego gabinetu.

— Ale tylko na chwilę — zastrzegł się Pierwszy. — Jeszcze muszę wpaść do Komitetu.

Doliński dawno tutaj nie był, toteż ze zdziwieniem spoglądał na wystrój gabinetu. Te meble musiały kosztować ładny grosz! — pomyślał. I zaraz doszedł do wniosku, że Kramer nie ma dobrego gustu. Olbrzymi, bogato rzeźbiony żyrandol niezbyt pasował do nowoczesnego biurka i foteli. Połtawski też sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Ale się wyeleganciłeś — powiedział. — Ten pokój kiedyś inaczej wyglądał.

— Udało mi się tanio kupić. Tamto to była ruina. Wiesz, ja tu przyjmuję różnych zagranicznych, muszę jakoś się pokazać. Przecież tu nie chodzi o mnie, ale o Fabrykę!

— Tak... Nie dokończyłem ci czytać tego anonimu. Właśnie i o tym wystroju twojego gniazdka też tam napisano. I tu się autor, nie pomylił, jak widzę.

— Masz mi za złe?

— Za złe, za złe... Po prostu uważam, że i ciebie powinna obowiązywać oszczędność.

— Te meble kupiłem jeszcze przed VIII Zjazdem.

— A co ma Zjazd do mebli? Za chwilę powiesz, że ci Gierek kazał. Po jakiego czorta jednak sam sobie kręcisz bicz na własną skórę? Sądzisz, że ludzie tego nie widzą? Nie szepczą po kątach? Co tam szepczą! Głośno o tym mówią. Głupio by ci było, gdybyś się pośliznął na żyrandolu!

— Nie bierz tego tak poważnie, towarzyszu sekretarzu! Po koniaku wypijecie?

— Ja absolutnie nie. — Połtawski uczynił charakterystyczny ruch ręką. — Zostaw go dla jakichś zagranicznych. Może coś lepiej utargujesz. U mnie tylko będziesz miał minus.

Kramer uśmiechnął się kwaśno, najwyraźniej żałował, że zaprosił tu gości.

— A jak, towarzyszu sekretarzu, oceniacie zebranie? — zapytał Szykuła.

— Ludziom otworzyły się usta. Ale i tak po kątach mówią więcej.

— A towarzysz redaktor coś o nas napisze?

— Może.

— O nas ostatnio źle się pisze. Kiedyś nas chwalono.

— Może za bardzo, towarzyszu Szykuła? Kota można i na śmierć zagłaskać.

— To niby nasza Fabryka ma być tym kotem?

— Nie, Fabryka to nie kot, ale lew! — Połtawski roześmiał się odprężony. — Redaktorze, jedziecie ze mną, czy zostajecie na koniaku? Może z wami Kramer też ubije jakiś interes?

— Ale jesteś dzisiaj złośliwy! Oczywiście, że zapraszam redaktora. Czym chata bogata...

— Chata! Dobry jesteś! Nie, namyśliłem się i zabieram redaktora. Jeszcze coś wspólnie uknujecie przeciwko mnie — zażartował.

(...) — No i co wy na to? — zapytał Pierwszy, kiedy już znaleźli się w samochodzie.

— Na zebranie czy gabinet?

— Co tam gabinet! Widziałem już nie gorsze i to w małych spółdzielniach u towarzyszy prezesów. Są tacy, co myślą, jak niektóre kobiety, że to suknia zdobi człowieka. A suknia garbu nie ukryje. Niektórym naszym towarzyszom takie właśnie garby powyrastały, a oni udają, że ich nie widzą. Z Kramerem da się jeszcze wytrzymać, to niezły organizator, uczciwy człowiek. Tak mi się przynajmniej zdaje, bo dzisiaj trudno za kogoś dawać głowę.

(...) Gdzie was podrzucić? Do domu czy do redakcji?

— Jeśli można prosić, to do domu.

— Wysiądę przed Komitetem, a kierowca was zawiezie. A co w domu? Po staremu?

Doliński spojrzał na Pierwszego z niepokojem. Czyżby wiedział, że jego syn, Kazik, żeni się z córką Pszczoły, działacza „Solidarności"?

— Tak... — wyjąkał. Połtawski zauważył jego zmieszanie.

— Coś z żoną? Macie jakieś kłopoty? W razie czego zawsze wam służę pomocą. Ja was nie tylko cenię, ale i lubię, redaktorze!

C.D.N.

MAREK KWIATKOWSKI

Drugie strony medali

— *To absurd!* — woła dyrektor do spraw handlowych Łódzkich Zakładów Piwowarskich LESŁAW FEDZIN. Przegląda właśnie informację o realizacji ustawy antyalkoholowej, sporządzoną przez Wydział Handlu Urzędu m. Łodzi. — *Podano tu, że w 1985 zwiększono liczbę punktów sprzedaży piwa do 870, podczas gdy naprawdę samochody browaru obsługują dokładnie 468 placówek. Liczba odbiorców ciągle maleje. Sam tylko śródmiejski oddział „Społem" zapowiedział w tym roku rezygnację z dostaw piwa do 20 sklepów.*

W Łódzkich Zakładach Piwowarskich wprowadzono ostatnio nowy system wynagradzania konwojentów i kierowców. Ich płace są teraz bezpośrednio uzależnione od ilości dostarczonego do sklepów i restauracji piwa. Natomiast sprzedawcy i kelnerzy — zgodnie z ustawą antyalkoholową — nie otrzymują prowizji od obrotu napojami alkoholowymi, a więc również piwem.

— *O przyjęcie od nas każdej skrzynki piwa staczamy prawdziwe boje* — mówią konwojenci. — *Czujemy się, jak na froncie.*

W tej sytuacji dyrekcja zakładu szuka nowych odbiorców. W latach siedemdziesiątych dwie trzecie produkcji przeznaczano na zaopatrzenie Łodzi i województwa, a resztę lokowano po sąsiedzku — w województwach sieradzkim i piotrkowskim. Obecnie, chociaż produkcja zmalała o jedną piątą, blisko połowę wyprodukowanego w Łodzi piwa samochody browaru *muszą wozić po Polsce*. Każdy odbiorca jest dobry — nawet jeśli znajduje się w województwie kieleckim, toruńskim czy tarnobrzeskim. Nic dziwnego, że cena piwa ciągle *rośnie. W 1983 litr butelkowanego* piwa o zawartości 12 proc. ekstraktu kosztował 54 zł, w 1984 roku — 90 zł, w 1985 roku — 102 zł, a na początku 1986 — już 126 zł.

Dyrektor Lesław Fedzin pokazuje „Program aktywizacji sprzedaży piwa", uchwalony przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług oraz Ministerstwo Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej w czerwcu 1984. Jest w nim mowa o ciągłej sprzedaży piwa w sklepach i restauracjach.

Dyrekcja Zakładów Piwowarskich zachęca potencjalnych odbiorców na różne sposoby. Oferuje pośrednictwo przy zakupie urządzeń do rozlewu piwa („w uzasadnionych wypadkach na koszt browaru"), proponuje władzom miasta założenie własnego sklepu bądź pijalni, kupuje i rozprowadza nabijacze do beczek. Wszystkie te działania przynoszą jednak mizerne efekty. Piwa beczkowego zakłady produkują dokładnie o połowę mniej niż w latach siedemdziesiątych — na więcej nie ma chętnych.

— *Dopóki pracownicy handlu i gastronomii nie będą zainteresowani materialnie sprzedażą piwa sytuacja się nie zmieni. Czy to tak trudno pojąć?* — dyrektor Fedzin kończy opowiadanie o kłopotach zakładów i patrzy ponuro na reklamę „Pepsi Coli". — *Jak tak dalej pójdzie browar będzie się musiał przerzucić na produkcję oranżady...*

Prezes Oddziału Gastronomii łódzkiej PSS „Społem", MONIKA PEREK wraca właśnie z uroczystości z okazji Dnia Handlowca, na której pracownicy gastronomii byli dekorowani medalami za dotychczasową ofiarną pracę.

— Pani prezes! Jesienią ubiegłego roku spędziłem kilka dni w małej greckiej mieścinie, nie mającej żadnego znaczenia turystycznego. Było w niej 12 niedużych restauracji. W każdej z nich był kolorowy telewizor i magnetofon lub gramofon. Oferowały pełny zestaw alkoholi oraz kilka potraw z baraniny. Pustoszały przeważnie dopiero koło północy. Ile takich lokali posiada milionowa aglomeracja łódzka?

— *Żadnego.*

— Jeśli darujemy sobie w wyposażeniu ten kolorowy telewizor, to ile będzie takich lokali?

— *Też ani jednego.*

— To może opuścimy jeszcze magnetofon...

— *Zaraz, zaraz. Do czego pan zmierza?*

— Chcę się po prostu dowiedzieć, gdzie w Łodzi można sobie posiedzieć przy piwie choćby tylko do godziny 22?

— *Jak to gdzie? W każdej restauracji czynnej o tej porze: w „Kaskadzie", „Halce", „Tivoli", „Europie"...*

W 1985 roku oddział osiągnął zysk w kwocie 63,8 mln zł (Dla porównania: koszty remontów wyniosły w tym czasie w łódzkiej gastronomii 162 mln zł, zaś bar i ciastkarnia w warszawskim „Supersamie" odnotowały zysk 12 mln zł.) Restauracje organizują wesela i przyjęcia, wydają obiady abonamentowe ii nikt nie uważa, że te ostatnie są ukrytą formą dotowania gastronomii. Z piwem faktycznie są nieraz kłopoty — uważa się w „Społem" — ale żeby wieczorem wcale nie można się go było napić, to przesada... jakość piwa jest marna, to fakt, z kulturą picia kiepsko, też prawda, ale za to trudno winić gastronomię.

Wchodzę do restauracji „Kaskada" sąsiadującej z biurem Oddziału Gastronomii. Jeszcze pół godziny wcześniej nie było tu piwa, o czym powiedziałem pani prezes. Na skutek jej interwencji kierownik lokalu „dokonał przerzutu piwa", jak *stwierdził przez telefon.*

— *Czy jest piwo?* — pytam. Czterech kelnerów stoi pośrodku pustej sali. Jeden z nich uderzając pięścią w wewnętrzną stronę drugiej dłoni cedzi przez zęby: „Na razie jest" i posyła mi spojrzenie, którego nie powstydziłby się nawet najbardziej ortodoksyjny punk.

Zaglądam do restauracji „Halka": „*Piwa nie prowadzimy i całe szczęście*". Restauracja „Tivoli": „*Piwa nie ma. Czasem bywa, ale najwyżej do godziny 20. Potem jest dancing, na który trzeba wykupić kartę wstępu za 100 zł i bon konsumpcyjny za 400 zł*". Bar „Łodzianka", dla którego Łódzkie Zakłady Piwowarskie zakupiły aparaturę do rozlewu piwa: „*U nas piwo podawane jest do konsumpcji. To nie piwiarnia. Najtańsze danie — frytki — kosztuje 70 zł.*"

Do jedynej łódzkiej piwiarni „Pod Kuflem" — czynnej zaledwie do godz. 21 — nie można się dostać z powodu tłoku. — *Piwo jest tu najwyżej do godziny 20* — mówi ostatni z tasiemcowej kolejki chętnych.

W 1983 kiedy weszła w życie „Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi" — której celem jest ograniczenie spożycia alkoholu i zmiana struktury jego spożycia, gastronomia sprzedała 4 281 tys. litrów piwa. W 1985 roku — 3 079 tys. litrów. Nastąpił więc spadek spożycia o blisko 30 proc.. W tym samym czasie sprzedaż wódki wzrosła o 10 proc. W 1983 sprzedano bowiem 284 tys. litrów wódki, a w 1985 już 317 tys. litrów.

Kelner z restauracji „Europa": — *Nie będziemy w naszym lokalu sprzedawać piwa, gdyż po pierwsze zwaliłby się do nas „element" z całej Łodzi, a po drugie — mój zarobek to 63 zł od każdego tysiąca, jednak z wyłączeniem wpływów za sprzedaż alkoholi. Nie będę z piwem latał za darmo. A z wódką? No cóż, coś gościowi muszę podać. Gdyby nie było u nas wódki, przyszliby tu jedynie konsumenci obiadów abonamentowych, do których dopłacają zakłady pracy. Ale po co w ogóle pisać taki artykuł? Przecież wszyscy o tym wiedzą, ale nic nie można zrobić.*

1 Opowieści wschodnie

Koński amok

Mam dużo ciepłych uczuć do mieszkańców Perszeronii — darzę sympatią ten kraj i jego mieszkańców. Przyznać jednak muszę, że nie jest to kraj obfitujący w niezwykłe intelekty, w umysły szczególnie bogate, w „tęgie łby". No cóż, „koń jaki jest każdy widzi", niestety... Inną cechą, która może zniechęcić do Perszerończyków, jest ich niezwykłe zamiłowanie do hazardu — nic dziwnego, skoro narodową rozrywką obywateli Perszeronii są wyścigi.

Jednak kibicowanie na wyścigach oraz totalizator, a nawet gra u bookmacherów (często bardzo gruba gra) nie wystarczały Perszerończykom. Kwitły najróżniejsze loterie, zakłady i wszystkie możliwe formy hazardu. A i tego wciąż było mało... Jeden z bardziej oświeconych regentów, przy okazji niezły ekonomista wpadł na pomysł jedyny w swoim rodzaju. Wprowadził mianowicie wielką, rzec można ogólnonarodową grę. Gra była najprymitywniejsza z prymitywnych, nie wymagała nawet takiego wysiłku umysłowego, jaki potrzebny jest przy grze w „salonowca".

Gra polegała na skreśleniu — na chybił trafił — sześciu cyfr spośród czterdziestu dziewięciu. Ta najgłupsza w świecie gra, wymagająca tylko umiejętności liczenia do sześciu podbiła Perszeronię — grały miliony! Chytry pomysłodawca, żeby zachęcić do gry także tych, którzy mieli nieco większe od przeciętnych ambicje intelektualne nazwał ją „Loterią Naukową". Cała — pożal się Boże — naukowość tej loterii polegała na tym, że poszczególne liczby połączono z nazwami dyscyplin naukowych: jedynka to była „astronomia", czterdziestka dziewiątka „zoologia, a pośrodku jeszcze inne dyscypliny, uszeregowane w porządku alfabetycznym. Tak więc prosty hazardzista skreślał cyfry a bardziej wyrafinowany dyscypliny naukowe... A płacili obydwaj tak samo. Ten drugi miał jeszcze taką satysfakcję, że przegrane przez niego pieniądze szły na rozwój nauki.

Ostatnimi laty „Loteria Naukowa" podupadła. Znudziła się graczom, mimo iż wprowadzano różne innowacje, polegające na przyśpieszaniu losowań albo upraszczaniu i tak dziecinnie prostej gry.

Kiedy ostatnio odwiedziłem Perszeronię cały kraj ogarnięty był nową grą. Dokładnie nie wiadomo kto ją wymyślił. Gra polega na tym, że jeden ogłupiały perszeron od drugiego kucyka albo wręcz osła kupuje tzw. listę. Na liście widnieje 12 adresów różnych obywateli Perszeronii. Pierwszemu z listy wysyła gracz sto szewali i dopisuje swoje nazwisko na końcu listy.

Niski poziom oświaty nie usprawiedliwia mieszkańców Perszeronii. Można nie wiedzieć co to jest postęp geometryczny, można było w dzieciństwie nie czytać „Lilavati", gdzie ta oszukańcza gra jest opisana. Nie sposób jednak wyobrazić sobie, że pieniądze zostaną w cudowny sposób rozmnożone i każdy zostanie milionerem a nikt do tego nie dołoży!

Obywatele Perszeronii — niestety — nie po raz pierwszy dają dowody że w prostą logikę nie wierzą a w cuda — owszem... Ale czego wymagać od głupich koni? Ludzie nigdy nie daliby się nabrać na podobny humbug. Matematyki się uczyli, wyobraźnię mają... i są uczciwi. A przecież, żeby grać w tę głupkowatą końską grę trzeba być albo oszustem albo idiotą. Obydwa te pojęcia zresztą nie wykluczają się — można być kandydatem na oszusta a zostać idiotą, co się zdarzy większości grających Perszerończyków. Już niebawem rozlegnie się w tym pięknym kraju żałosne rżenie wszystkich tych, którzy już nie mogą znaleźć chętnego do kontynuowania gry. A inicjatorzy, cwaniaczki, jakieś chytre koniki (może to koniki spod kina? może spod Pewexu?) zgarną co nieco szmalu i będą się nabijać z głupich wałachów i rozhisteryzowanych klaczy, które grę najhałaśliwiej reklamują i rozwijają.

Podobno mania dotknęła już nawet wielbłądy — znane w Perszeronii z refleksyjnego charakteru i filozoficznego dystansu do życia. Jeśli to prawda, to źle się dzieje w państwie perszerońskim i paraliż postępowy „po najtęższe sięga głowy".

Na szczęście to nie nasze zmartwienie. Wiemy wprawdzie, że błędem Fenicjan nie było wynalezienie pieniędzy a tylko wynalezienie ich w tak małej ilości, ale wiemy też, że jedynym sposobem naprawienia błędu Fenicjan jest praca, zapobiegliwość i oszczędność. Nie jesteśmy jak te głupie Perszerony z Perszeronii, durnie bez wyobraźni, którym się wydaje, że pieniądze leżą na poczcie i tylko trzeba uruchomić system przekazów, żeby je z poczty wypompować i napełnić nimi kieszenie. Cóż, głupie konie...

A jeśli idzie o pocztę Perszeronii, ta ma się znakomicie. Ekspresowe zebry pocztowe biegają z wywieszonymi ozorami, pracują w nadgodzinach i nie mogą sprostać obrotom. Kto jak kto, ale poczta perszerońska zarobi na tym końskim amoku.

BEN GRUNDIK

2 Zabawa w głuchy telefon

Gdy byłam mała, to ponoć głównym tematem satyry byli kelnerzy. Dziś pole krytyki i żartu znacznie się poszerzyło, ale jest kilka tematów, które nieustannie się powtarzają. Należy do nich kolej oraz poczta. Pisanie krytyczne o poczcie stało się już nudne i to zarówno dla piszących, jak i dla czytających. Mimo to chcę tym razem napisać właśnie o poczcie, a ściślej — o telefonach.

Nasza telefonia — mimo że uboga — powoli, ale ze to systematycznie rozwija się. I to dobrze. Unowocześniają się centrale, wydłużają się linie. Właśnie centrala na 84 przechodzi taki proces. Nie znam się na tym w ogóle. Ale z otrzymanych informacji wiem, że przełączane są te telefony do nowych szaf. Teoretycznie mnie to cieszy, bowiem mam prawo domyślać się, że teraz będzie lepiej, że już nie będę naraz słyszała dwóch rozmów, co jest naruszeniem tajemnicy korespondencji, nie z mojej winy zresztą. W praktyce wygląda to trochę inaczej.

Najpierw przyjaciółka moja poskarżyła się, że ma głuchy telefon. Poprosiła, abym w pracy zadzwoniła do centrali i dowiedziała się, co się stało. Okazało się, że nic wielkiego. Jakaś mała awaria, ale ponieważ będą przełączali do nowej szafy, to zrobią razem.

— Ile to może potrwać? — zapytałam.

— Jakieś parę tygodni — usłyszałam w słuchawce.

— Dlaczego tak długo?

— No, wie pani, trzeba kabel wymienić przy okazji.

Kabel w telekomunikacji — to jest takie słowo, które natychmiast zamyka usta, znamionuje ono bowiem niebywałe, prawie nieprzezwyciężalne trudności pracowników zajmujących się telefonami. Kiedy słyszę: „nie ma kabla", „awaria kabla", „trzeba kabel wymienić" — truchleję i wiem, że sprawa jest beznadziejna. Po miesiącu jednak spróbowałam dowiedzieć się, czy ten tajemniczy kabel już wymieniono w telefonie mojej przyjaciółki i czy już przełączono do nowej szafy. Okazało się jednak, że trudności są ogromne i musi to znów potrwać. Wtedy z głupia frant zadzwoniłam do dyrektora Urzędu Telekomunikacyjnego, który zdziwił się, że to tak długo trwa. Zadzwonił, gdzie trzeba i moja przyjaciółka natychmiast miała włączony telefon. Z nią razem cały blok, w którym mieszka. Aliści jej szczęście trwało tylko kilka minut, gdyż znów wszystkie telefony zostały wyłączone. Po mojej drugiej interwencji włączono je już na stałe. A zatem można to było zrobić znacznie wcześniej. Dlaczego nie zrobiono?

I oto kolej przyszła na mnie. Chciałam zadzwonić rano z domu i okazało się, że telefon milczy. Jest głuchy. Idąc do pracy zobaczyłam, że nad studzienką, w której są owe tajemnicze i bardzo kłopotliwe kable, siedzi jakiś młody człowiek i coś tam grzebie.

— Przepraszam — powiedziałam — to ja już nie muszę dzwonić do centrali, żeby dowiedzieć się, dlaczego mam głuchy telefon.

— Może pani zadzwonić — grzecznie odpowiedział mi zagadnięty.

— Po co mam dzwonić, skoro pan mi powie.

— Proszę bardzo. Odciąłem wszystkie telefony na osiedlu. Przełączamy do nowej szafy.

— I wieczorem już będą czynne?

Spojrzał na mnie jak na idiotkę, która nic nie rozumie.

— Nie. Może jutro, a może też nie.

W odnośnym urzędzie od telefonów też mnie różnie informowali. Najpierw zdziwili się, że na „Czerwonym Rynku" ktoś w ogóle coś robi z telefonami. Oni nic nie wiedzą. Pod innym telefonem odpowiedziano mi, że owszem przełączają, ale kiedy skończą tego nikt nie może wiedzieć. Jak zrobią, to będą czynne. Wreszcie pod innym numerem usłyszałam, że owszem, że robią, że tylko kierownik wie, kiedy skończą, ale kierownika nie ma i nie będzie. Traktowano mnie jak wielce kłopotliwego natręta, który nie ma co robić tylko zawraca im głowę, a oni na tej głowie mają same kłopoty, z kablem przede wszystkim.

Cieszę się, że centrala na 84 będzie miała nowe szafy i być może będzie przez to sprawniejsza. Ale jeśli Urząd Telekomunikacyjny dokonuje takiej zmiany, to może by jakoś uprzedził o tym swoich klientów. Przeprosił za kłopot i poinformował, że na przykład przez 3, 5, 6 czy wreszcie 10 dni klient będzie pozbawiony telefonu, bo tego wymaga przełączenie. Czy to takie trudne?

Mam nieodparte wrażenie, że UT traktuje się nadrzędnie. On jest ponad klientem, a nie dla klienta. Klient powinien być szczęśliwy, że w ogóle ma telefon i składać z tego powodu codziennie podziękowania. Najlepiej w koncertach życzeń i w gazetach. Nasi pocztowcy jakby zapomnieli, że służą społeczeństwu i utrzymują się za jego pieniądze, jeśli nawet część tych pieniędzy dopłaca się do naszych rachunków ze skarbu państwa.

BOGDA MADEJ

3 Inicjatywa prywatna

Pojęcie „inicjatywa prywatna" narodziło się u początków Polski Ludowej, choć właściwiej byłoby mówić: „sektor prywatny". Mamy bowiem w naszej gospodarce trzy formy własności środków produkcji: własność państwową, spółdzielczą i prywatną. Każda z form tych własności wymaga inicjatywy. Bez tego nie będzie się rozwijała. Ale nie mówimy o inicjatywie państwowej ani też o spółdzielczej. Mówimy o inicjatywie prywatnej. Bierze się to stąd, że niby ten, kto ma inicjatywę własną ma również łatwo widoczne skutki tego. Reszta należy do wszystkich, czyli do nikogo. Jak zmienić ten stosunek do własności społecznej? Bo zmienić go trzeba i to pilnie. Ale przecież wiadomo, że łatwiej jest wydać nawet bardzo dobry i pożyteczny dekret niż zmienić ludzkie przyzwyczajenia, obalić schematy myślowe. Na to trzeba czasu, dużo czasu, cierpliwości i systematycznego działania.

Tak więc mamy inicjatywę prywatną i nie tylko w handlu czy rzemiośle. Jak to bywa w okresie kryzysu, ludzie pragną wzbogacić się szybko i skutecznie. Niektórzy chcieliby dokonać tego wytrwałą pracą i wysokimi umiejętnościami, a inni — i to wszystkich oburza — sposobem. Taki sposób nie zawsze jest zgodny z prawem. Wiedzą coś o tym ludzie walczący ze spekulacją, milicjanci ścigający przestępstwa gospodarcze oraz celnicy i urzędnicy skarbowi. Na przykład pewien obywatel, właściciel fiata 125p ruszając w zagraniczną podróż wyłożył swój samochód 34 skórkami srebrnych lisów. Wnikliwi celnicy mieli sporo kłopotów z rozebraniem samochodu, wyjęciem skórek oraz złożeniem samochodu, aby jego właściciel mógł — po uiszczeniu grzywny oraz cła — podróżować dalej, jeśli nie odeszła mu do tego ochota.

Pewien cudzoziemiec wyłożył natomiast swój samochód markami zachodnioniemieckimi. Miał ich 30 tysięcy, co po przeliczeniu po państwowym kursie daje 2 153 000 złotych. Pomysł ten kosztował go ponadto 1 172 dolary grzywny. Słyszałem też o pewnej damie, która wybrała się w podróż zagraniczną w kurtce ortalionowej, do której wszyta była kurtka z lisa. Czego to ludzie nie wymyślą. Dama ta była jednak tylko detalistką. Człowiekiem ogromnej inicjatywy był twórca skrytek w kolejowym pociągu Warszawa — Wiedeń, w których to skrytkach przewoził futra z różnych zwierząt oraz inną kontrabandę. Celnikom pozostał nieznany, gdyż po odkryciu skrytek nie przyznał się do ich zawartości. Trzeba mieć żelazne nerwy, aby nie mrugnąć nawet powieką, gdy celnicy zabierają towar wartości większej niż milion.

Rozumiem naturalne dążenie ludzi do zapewnienia sobie spokoju i dostatku. To dążenie wyzwala inicjatywę. Ale nie jest to zawsze inicjatywa społecznie pożyteczna, często społecznie szkodliwa i wyrażająca się naruszeniem prawa. A dla społecznego rozwoju potrzebna jest inicjatywa społecznie pożyteczna, która by jednocześnie tym, którzy ją przejawiają dawała duże korzyści. Marzy mi się taki stan rzeczy, kiedy dobrze będzie się płacić za pomysł. Umiesz myśleć i to myślenie okazuje się być pożytecznym, dostajesz za to sowite wynagrodzenie. Nie umiesz myśleć, nie chciało ci się uczyć, cierp teraz. Jak na razie jest to tylko piękne marzenie. Mieć dobry pomysł opłaca się przede wszystkim... prywatnie.

Ten, kto wpadł na pomysł, aby zainicjować grę w tysiąc wcale nie był oryginalny. Grali w to już Jugosłowianie i Węgrzy. Teraz przyszła kolej na nas. Kryzys — jak się okazuje — wyzwala ogromne pokłady irracjonalizmu. To też jest naturalne. Następuje kryzys dotychczas uznawanych wartości, wszystko się wywraca i bierze w łeb, należy zatem albo czekać na cud, albo liczyć na los szczęścia. I oto pojawia się kusząca propozycja. Nic nie tracisz, a możesz wygrać wszystko. Totolotek nie da ci szczęścia, loteria państwowa nie da ci szczęścia, a tu każdy, kto wpisze się na listę wygrywa. Tracisz tylko 15 złotych na zapłacenie przekazu pocztowego i czekasz aż listonosz zacznie ci przynosić tysiączłotowe przekazy. Słuchasz niecierpliwie jak inni opowiadają, ile to już otrzymali przekazów. Sam widziałem 10 takich przekazów, które przyszły na jeden adres.

Wszystkie takie pomysły żerują na ludzkiej naiwności. Bawi mnie wiara grających, że gdzieś w Polsce jest góra pieniędzy, z której gra ta czerpie nieprzerwanie. A przecież wystarczy chwilę się zastanowić, aby zrozumieć, że ktoś musi przegrać, aby wygrać mógł ktoś. Na ogół wygrywają ci z pierwszych miejsc na liście, a przegrywają z końca. W pewnym momencie zaczyna brakować chętnych do odkupienia listy i gra się kończy. Wygrali ci, którzy puścili listy w kurs i im ich więcej puścili, tym więcej wygrali. Przegrani będą milczeli. Takie są prawa tego rodzaju gier.

Ale najbardziej martwi mnie fakt, że ciągle panuje u nas przekonanie, że nie można dorobić się czegokolwiek własną, dobrą, wydajną pracą, pomysłowością i talentem. Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Inaczej będziemy wymyślali coraz to nowe gry zamiast solidnie brać się do roboty. Co może się fatalnie dla nas skończyć.

LUCJAN BOGUSZ

Wielki las

42

ZBIGNIEW NIENACKI

Rozdział piętnasty

Było wczesne przedwiośnie; Józef Maryn ubrany w futrzaną czapkę i kupioną na bazarze wojskową kurtkę, wysiadł na przystanku autobusowym w Mordęgach i najpierw poszedł wzdłuż szosy aż do skraju wielkiego lasu, a potem skręcił na piaszczystą drogę. Swieciło mocno południowe słońce, drogę przegradzały kałuże wody po stopionym śniegu. W lesie, w miejscach, gdzie rosły świerki, leżały płaty brudnego śniegu. Cały las wydawał się trochę brudny, na młodych dębach wisiały strzępki zeszłorocznych liści, żółtych lub czerwonych. Ściółka, która wylazła spod śniegu była aż czarna i lśniła od wilgoci. Nagie konary buków rysowały się w tle niebieskiego nieba, jak szara pajęczyna. Nie czuło się wiatru, a jednak las cicho szumiał.

Tu i ówdzie odmarzło już jezioro i połyskiwało w słońcu oczkami wody. Pozostała powierzchnia wyglądała, jak poplamione prześcieradło, miejscami podarte i wystrzępione. Rude pałki trzcin były połamane od zimowych wichrów i brzegi jeziora wyglądały, jak ogromne pobojowisko.

Maryn chwilę zerkał na las. Zastanawiał się, czy jeszcze rozumie jego mowę i co też w tej chwili ów wielki las mówi do niego. Potem ujrzał sad i czerwony dach domu Horsta Soboty, zalśniły w słońcu kolorowe szybki na ganku. Sad też był martwy, podobnie jak martwy wydawał się las, ale wszystko to miało wkrótce ożyć na nowo, okryć się kwiatami w powietrzu wypełnionym brzęczeniem pszczół i trzmieli. Tylko Horst Sobota był naprawdę martwy a wraz z nim umarła jego nienawiść do lasu. Marynowi wydawało się, że on sam jest także jak ten sad i ten las, z martwymi wspomnieniami, które miały na nowo ożyć. Dopiero teraz pojął, że przez te kilka miesięcy tęsknił za widokiem lasu i sadu, ale ukrywał tę tęsknotę jak coś wstydliwego. Ktoś — może ten wielki las poprzez swojego wroga Horsta Sobotę — darował mu nowe życie i własny kawałek ziemi pod stopy, dach nad głową i sąsiedztwo lasu, który już zdążył przenieść małe brzózki na drugą stronę piaszczystej drogi. Nie umarła więc wraz ze starym Horstem jego nienawiść do lasu, bo była też i miłością, wielkim uczuciem, jakiego potrzebuje człowiek dla osiągnięcia pełni.

Stanął za furtką przy bramie i zza węgła domu wybiegł Ivo. Nie wierzył własnemu powonieniu, własnym oczom i uszom. Na chwilę zamarł, stał się podobny do statuy, a potem przywarł do ziemi i zaczął wolno czołgać się w kierunku bramy. Im bliżej był Maryna tym głośniejszy stawał się jego radosny skowyt. Maryn wszedł poza furtkę, wtedy pies rzucił się na niego, starając się dosięgnąć językiem twarzy. Zachwiał się Maryn pod ciężarem wielkiego cielska, potem zaczął głaskać psie futro, czując pod dłonią jak ciało zwierzęcia dygoce z zaspokojonej tęsknoty Ale ta radość musiała znaleźć jakieś ujście — podkulił ogon i zaczął biegać w kółko po podwórzu, w coraz większych podskokach.

Z drzwi sieni wyszła Weronika. W ciemnej sukience, okryta czarną wełnianą chustką. Nie zobaczył uśmiechu radości ani niechętnego skrzywienia ust. Jej twarz zdawała się nie wyrażać żadnych uczuć. „Ona też jest z pozoru martwa, jak ten las i ten sad" — pomyślał. Zamierzał ją przywitać uściskiem ramion albo pocałować w rękę, ale sam nie wiedząc czemu — wstrzymał się. Nie uśmiechnął się, choćby tym swoim zawodowym uśmiechem. Był poważny, a nawet surowy. Wątłym gestem zaprosiła go do domu, do kuchni. Tam jej powiedział:

— Dopełnię formalności spadkowych, a potem i dom, i sad przepiszę na ciebie, Weroniko. Stary Horst był szalony, gdy mnie darował swój majątek. On należał się wyłącznie tobie.

— Nie mów tak. Nie był szalony. Nie pozostanę tu sama. Tego domu i sadu trzeba bronić, a ja jestem na to za słaba.

— Wciąż chcą ten dom zagarnąć?

— Nie dalej jak wczoraj był tu nadleśniczy Tarchoński. Nie wiedział, że cię odnalazłam Oświadczył mi, że majątek po Horście przejmie skarb państwa, a oni go od państwa dostaną.

— A Horst? Co ci zapisał Sobota?

— Nic — wzruszyła ramionami.

— Nie masz do niego żalu?

— Zrobił dobry wybór.

Chciał widzieć jej oczy w chwili, gdy wypowiedziała te słowa. Lecz chyba celowo pozostawała odwrócona do niego plecami i pokrojony boczek rzucała na patelnię. Irytowało go, że nie mógł choć przez chwilę zobaczyć jej oczu, zrozumieć lub domyślić się jej uczuć.

— Tylko ja wiem, gdzie on ukrył pieniądze — odezwała się znowu. — Mogłam je zabrać i wyjechać. Ale mi nie pozwolił.

— Co to znaczy, nie pozwolił?

— Znalazłam odpis jego testamentu, który zrobił u rejenta. Rejent nie chciał ułożyć testamentu według jego woli. Dlatego on sam, własną ręką dopisał na nim jeszcze to, co ci chciał darować.

Wyszła z kuchni i po chwili wróciła z kopertą, w której był testament Horsta Soboty z wielką urzędową pieczęcią rejenta. Maryn przeczytał tylko dopisek, zrobiony piórem i gotyckimi literami:

„Daruję ci też, Józwa, psa Ivo, izabelowatą klacz oraz kobietę, która jest w moim domu".

Maryn wzruszył ramionami.

— Nie można nikomu darować kobiety...

— Tak mu też powiedział rejent. Ale Horst nie dał sobie tego wytłumaczyć. Znalazł mnie w lesie i uważał za własność.

Teraz siedziała naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu, a między nimi leżał testament Horsta Soboty. Nie śmiał jej spojrzeć w oczy, bo bał się, że zobaczy w nich łzy upokorzenia. Rzucił na nią tylko jedno ukradkowe spojrzenie, ale ta twarz wciąż mu się wydawała maską, bez wyrazu, bez przejawu jakichkolwiek uczuć.

— Ja nie mam dokąd pójść, Józwa — powiedziała. — Oczywiście, mogę zabrać jego pieniądze, bo tylko ja wiem, gdzie są ukryte, a on o nich w testamencie nie mówi ani słowa. Nie potrafię jednak żyć gdzie indziej. Zresztą, on mnie tobie darował i muszę tu pozostać. Za wiele mu kiedyś wyrządziłam krzywd, aby okazać teraz nieposłuszeństwo. Dam ci te pieniądze, gdyż będziesz musiał zapłacić duży podatek spadkowy. Majątek Horsta oszacowano bardzo wysoko.

— Ten dom i ten sad jest tak samo mój, jak i twój — oświadczył.

— Nie mów tak już więcej. Myślisz, że sprawisz mi tym radość albo przyjemność? Twoje słowa znaczą, że chcesz mi oddać wszystko i odejść stąd. Jeśli zamierzasz sprzedać dom i sad, to i mnie będziesz musiał sprzedać. Albo zabrać ze sobą.

— To szaleństwo. Nie można darować kobiety...

— Nie mów w ten sposób — ton jej głosu stał się ostrzejszy. — Wielu twierdziło, że on jest starym wariatem, bo mówił czasami tak dziwnie. Ty i ja wiemy, że on nie był szalony. Las chciał mu zabrać i dom, i sad, i chce tego nadal. Nie wiem, co ze mną zrobisz, Józwa, ale to pewne, że należę do ciebie.

Mówiła to tak stanowczo, że odważył się popatrzeć jej w oczy. Ona była chyba szalona podobnie jak stary Horst. Albo po prostu, z powodu długiego obcowania z Horstem, zaraził ją swoim szaleństwem. On, Maryn, nie ulegnie temu. Ona zaprowadzi go do skrytki z pieniędzmi starego Horsta, wówczas powie jej: bierz te pieniądze i wolność. A jeśli wolisz pozostać tutaj, to tylko jako wolna kobieta.

Odwzajemniła mu spojrzenie. Popatrzyli sobie w oczy i on pierwszy spuścił wzrok ponieważ nie znalazł w jej oczach szaleństwa lecz twarde postanowienie.

Wyszedł na podwórze i w towarzystwie skaczącego radośnie psa, zajrzał do stajni. Izabelowata klacz żuła obrok i nie zwróciła na niego uwagi. Zobaczył wiszące na ścianie swoje siodło i pejcz. Pomyślał: „Tarchoński myśli, że dostanie ten dom i sad. Ale to mu się nie uda, dopóki ja żyję". Przypomniał sobie Tarchońskiego, jak trzymał Weronikę z obnażonym ciałem a leśniczy Kulesza wyciągnął na wierzch sterczącego członka. Za to, co się wtedy stało czuł do siebie obrzydzenie, podobnie, jak do Tarchońskiego. Niemniej właśnie ta chwila budziła w nim podniecenie.

Dotykał palcami ciepłego futra na szyi klaczy i dziwił się, jak łatwo zło przekształca się w dobro, ono zaś niejednokrotnie owocuje złem. Był dla Soboty uosobieniem zła, a przecież Sobota obdarzył go za to dobrem. Podobnie tartak stanął nie w żwirowni lecz obok leśniczówki Stęborka. Wielki las dał Marynowi duszę, choć innym — być może lepszym od niego — tę duszę odbierał.

— Nie przywiozłeś ze sobą żadnych rzeczy — zauważyła, gdy wrócił do kuchni i siedli do obiadu. — Czy to znaczy, że nie zostaniesz tutaj na dłużej?

— Mogę zostać tak długo jak zechcę — odparł.

Po obiedzie poszedł do wioski na cmentarz, aby — jak przystało na spadkobiercę — odwiedzić grób człowieka, który go hojnie obdarował. Pochowano starego Horsta zimą, na mogile leżały twarde żółtawe grudy gliny; dopiero ciepło wiosenne i deszcze powinny je rozsypać. Prosty krzyż z blaszaną tabliczką informował o nazwisku oraz imieniu zmarłego, o dacie jego urodzin i śmierci. Na cmentarzu rosły grube lipy, w ich gałęziach świstał wiatr. Nie był to jednak głos lasu i Maryn pomyślał, że źle zrobiono chowając zmarłego tak daleko od owego zbiorowiska drzew, zwanego Wielkim.

Powracając do domu o wczesnym zmierzchu myślał, że znowu zasiądzie przy stole naprzeciw Weroniki. Gdy jadł z nią obiad, zdjęła z siebie czarną chustkę i siedziała w granatowej sukience ze stójką. Zadziwiła Maryna jej uroda. Śmierć Horsta, a może samotność przydały jej twarzy wyrazu subtelności. Odkrył też jakiś ogień w czarnych oczach Wydawała się bezbronną i słabą, a przecież wyczuwał w niej Maryn, jak gdyby ogromną moc, wolę, zdecydowanie. Nie unikała spojrzeń Maryna, nie opuszczała wzroku, kiedy na nią patrzył, tylko że nic nie potrafił wyczytać z tych oczu. Obecność Maryna zupełnie jej nie trwożyła, ruchy miała spokojne, wyraźnie zaznaczające się piersi podnosiły się równo, nie falowały, jak to zdarzyło mu się zauważać, gdy znalazł się sam na sam z młodą kobietą. Jaką przyszłość widziała dla niego i dla siebie w tym domu? Jak zamyśliła ułożyć swoje stosunki z mężczyzną, na którego została skazana? Odnosił chwilami wrażenie, że ona już od dawna wszystkie te sprawy przemyślała i oczekiwała jego powrotu świadoma każdego swojego gestu i słowa. Czyżby zapomniała jak uciekła z krzykiem z jego łóżka? Na jakiej zasadzie miało się ułożyć ich wzajemne współżycie w tym domu — i to nie przez dzień, tydzień czy miesiąc, albo rok, skoro jak sama rzekła — chciała, aby to trwało długo.

Im bliżej podchodził do domu, tym bardziej zwalniał kroku. Lękał się słów, które mu wypadnie powiedzieć, gdyż to musiały być słowa nijakie, ot, po prostu: „jestem zmęczony, czy w moim dawnym pokoju jest pościel na moim dawnym łóżku". Nazajutrz zapyta ją o stan sadu. O to, co trzeba w nim zrobić, aby go przygotować do wiosny. Takie nijakie słowa i zdania być może mieli wypowiadać przez dnie, tygodnie, miesiące. Zapewne nie będzie pytała o to, co się z nim działo. Ucieszył się z tego, ale także odczuł pewną przykrość. Będą więc jak dwoje obcych ludzi, nieustannie ocierających się o siebie pod jednym dachem, przy jednym stole. Czy może być coś bardziej przerażającego? Ale czy do tej pory kiedykolwiek żył z jakąś kobietą na innej zasadzie? Czy stali się sobie bliscy z Eryką? Czy nie jedyną więź z kobietami stanowiły wybuchy namiętności, przeżyta rozkosz?

W kuchni oślepił go blask jasno świecącej lampy. Chwilę stał w progu, wtedy podeszła do niego Weronika i zrobiła gest, aby podał jej swoją futrzaną czapkę i kurtkę. Powiesiła je w sieni, a ponieważ on ciągle stał na środku kuchni, nie wiedząc co powiedzieć i co dalej robić, rzekła rozkazująco:

— Umyj ręce i siadaj do stołu. Kolacja już gotowa.

Był posłuszny. Umył ręce i usiadł przy stole, a ona postawiła przed nim talerz z jedzeniem. Sama usiadła po drugiej stronie stołu.

— A ty? Nie będziesz jadła? — zapytał widząc, że brakuje dla niej nakrycia.

— Nie jestem głodna. Lubię patrzyć jak jesz...

Milczał. Postanowił nie odzywać się, bo tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia. No, może o tym, że trzeba będzie wkrótce postawić Horstowi pomnik.

— Nie przywiozłeś żadnych swoich rzeczy — odezwała się znowu. —Są wyprane i wyprasowane pidżamy Horsta. Czy przynieść ci którąś?

— Nie. Lubię spać nago.

— Będę musiała pojechać do miasta i kupić ci bieliznę. Koszule, skarpetki. Nie jest teraz łatwo o te rzeczy.

— Wiem — kiwnął głową.

Jadł wolno, nie miał apetytu. Coś go niepokoiło w zachowaniu tej kobiety. Przede wszystkim naturalność, oczywistość spraw, które robiła, i o których mu powiedziała. Miał ochotę wstać od stołu, wziąć czapkę, kurtkę i wyjść na szosę. Wrócić tam, skąd przybył. Niepotrzebnie przyjął dar Horsta Soboty. To była jakaś pułapka.

— Nie smakuje ci? — zapytała, widząc, że przestał jeść.

— Nie jestem głodny.

— Wypij herbatę i połóż się spać. Zmęczyła cię podróż.

Wiedział, że ona ma rację, on jest naprawdę zmęczony. Te wszystkie obawy i lęki wynikają właśnie ze zmęczenia, z przewrażliwienia, jakie wciąż w nim było. Iluż mężczyzn chciałoby być w jego sytuacji, stać się właścicielem domu i sadu i tak wspaniałego kobiecego ciała. „Wszystko się jakoś ułoży" — pomyślał, popijając gorącą herbatę i paląc papierosa.

Weronika krzątała się po kuchni. Wolno, swobodnie, bez skrępowania, że patrzy na zarys jej piersi, bioder, na ruchy jej ramion, uczesanie, na twarz i usta.

— Skąd wiedziałaś, że jednak wrócę? — zapytał.

— Horst tak mówił. Ja mu wierzyłam. Raz w życiu nie dałam mu wiary i źle na tym wyszłam. Idź spać — dodała rozkazująco.

Dopił herbatę, zgasił niedopałek papierosa.

— Rozgrzałam piec w sypialni Horsta. Nie jesteś tu już lokatorem, lecz gospodarzem — znowu ten rozkazujący ton głosu.

Znał drogę do sypialni Horsta Soboty. To był duży pokój z dwoma oknami na las. Pod ścianą stała wielka szafa, pod drugą ścianą dwa wielkie małżeńskie łóżka obok siebie. Nad łóżkiem wisiał krzyż, na podłodze leżał gruby stary dywan. Między oknami znajdowało się lustro i przed nim mały stołeczek z półeczką na kobiece drobiazgi. Ale tych drobiazgów nigdy tam nie widział za czasów Horsta.

W sypialni zastał ciepło buchające od pieca i zapalony staroświecki żyrandol z trzema żarówkami. Dwa łóżka obok siebie miały świeżo powleczoną pościel. Na każdym leżały dwie poduszki, większa i mniejsza, pierzyny były lekko odchylone, zapraszając do snu. Na szafce nocnej obok łóżka po prawej stronie, oprócz lampki nocnej zobaczył popielniczkę, postawioną chyba specjalnie dla Maryna, bo przecież Horst Sobota nie palił.

„Czy ona też tu będzie spała?" — zapytał siebie. Odpowiedź była mu obojętna. Nie pragnął kobiety. Weronika mogła bez żadnych obaw położyć się obok niego. Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że ona chce go wypróbować, czy będzie ją chciał wziąć siłą, a wtedy być może rozstaną się na zawsze.

Rozbierał się, gdy do sypialni bez pukania weszła Weronika. Bezwiednie wstydliwie zasłonił spodniami swoje podbrzusze, ona jednak nawet nie spojrzała na niego. Podeszła do szafy, otworzyła ją i wyjęła nocną koszulę. Wtedy on rozebrał się zupełnie i szybko wsunął pod pierzynę.

— Zamknęłam furtkę i drzwi od sieni — powiedziała. — Dałam klaczy na noc siana. Już wcześniej nakarmiłam psa. On biega po całym obejściu.

Zaczęła rozpinać guziki sukienki, potem zdjęła z siebie bieliznę i widział ją nagą. Piękne, gładkie były jej śniade plecy. Jak harmonijnie poruszały się jej łopatki, wyraźnie i prosto rysował się kręgosłup. Wciągnęła przez głowę niemal przezroczystą koszulę i usiadła na stołeczku przed lustrem. Z szufladki wyciągnęła szczotkę do włosów.

— Ktoś podpalił tartak, ale go już odbudowują. Mówiono, że to Stęborek, to było jednak nieprawdą. Stęborek otrzymał plantację nasienną i dom po Kuleszy. Ja dostałam rozwód.

Czesała przed lustrem swoje gęste czarne włosy i opowiadała mu nowiny, jak to niekiedy czyni wieczorem żona swemu mężowi, zanim położą się spać. Ani śladu niepokoju w głosie, ani śladu wstydliwości, skrępowania. Jakby tak trwało od dawna między nimi. Jak gdyby nie miała okaleczonej duszy, nie czuła *wstrętu do mężczyzn, jak gdyby zapomniała, że uciekła od niego z krzykiem.*

Zapragnął zburzyć jej spokój i powiedział:

— Czy nie masz żalu do Horsta, że darował mi ciebie jak klacz?

— Nie — lekko wzruszyła ramionami i ani na moment nie przestała szczotkować włosów.

— Dlaczego?

— Darował ci dom i sad, klacz, psa i mnie. To jest tak samo, jak gdyby darował nam ciebie.

— Nie rozumiem...

— No tak. Bo skoro ja należę do ciebie, to ty należysz do mnie. Ja tego chciałam. Pragnęłam, żebyś należał do mnie.

— Czy wiesz, co znaczą takie słowa?

— Tak. To od ciebie po raz pierwszy usłyszałam o miłości wielkiej, czystej i prawdziwej. Przez to rozpadło się moje małżeństwo, uświadomiłam sobie kim jestem i czego pragnę.

„Ona jest tak samo szalona jak Horst Sobota" — pomyślał. To chyba wielki las miał w sobie jakiś bakcyl szaleństwa, którym zarażał ludzi.

Położył się i przymknął oczy. Przypomniał sobie ucieczkę skradzionym autem, Hansa Webera, gdy chciał go utopić wraz z samochodem, Yvette z wypiętym tyłkiem, który gładził młody mężczyzna o imieniu Harry.

CDN

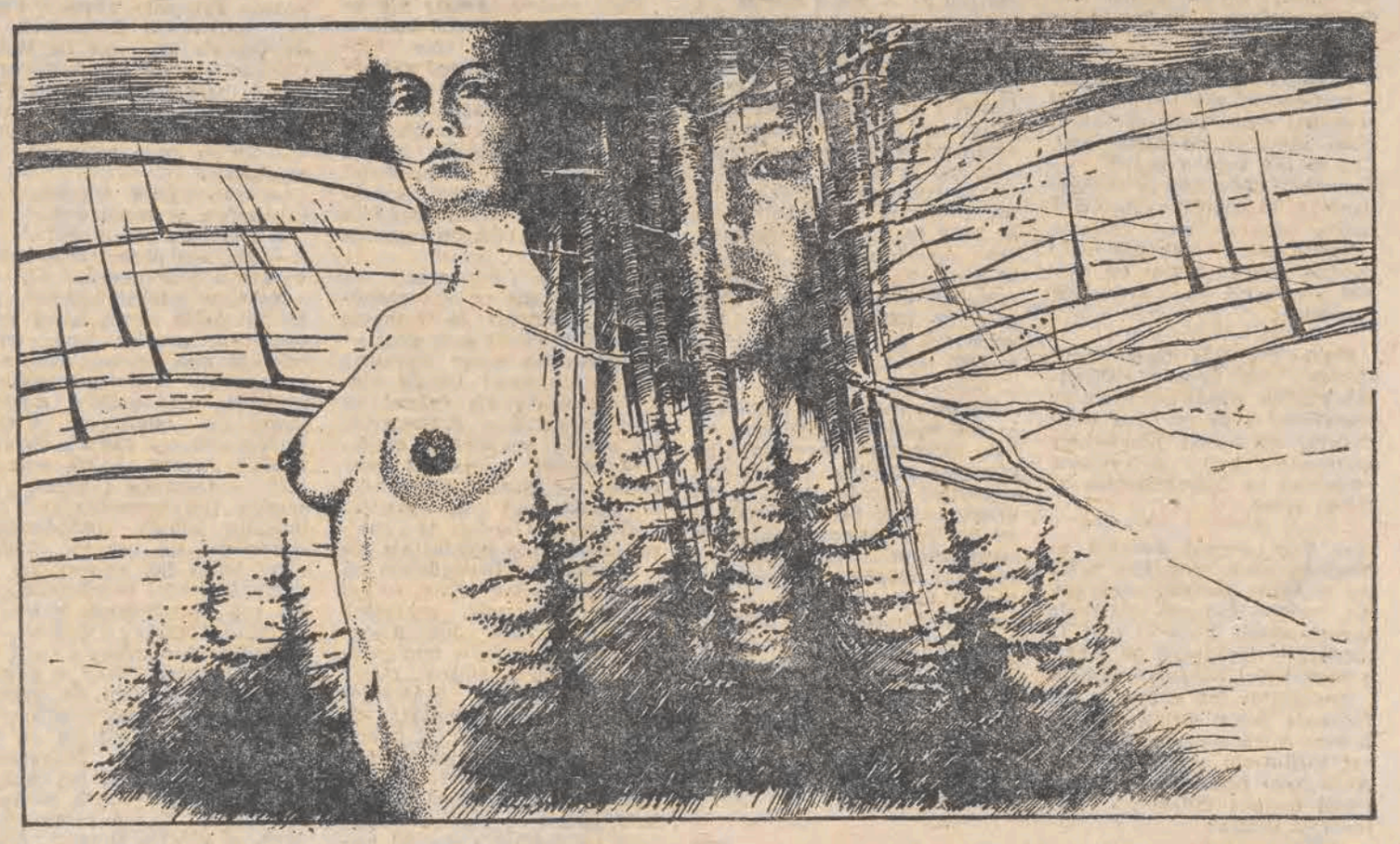

Rys. Janusz Szymański-Glanc